W NUMERZE PLAKAT Z WIZERUNKIEM CUDOWNEGO OBRAZU MATKI BOŻEJ JASNOGÓRSKIEJ. ODDAJMY JEJ CZEŚĆ, PRZEPROŚMY ZA PROFANACJĘ, POKAŻMY INNYM NASZĄ WIARĘ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 19 (337) 2019
13–19 maja
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

OTO RACHUNEK ZA NIEMIECKIE ZBRODNIE

TYLKO U NAS USTALENIA RAPORTU, KTÓRY W TYCH DNIACH DOSTANĄ NAJWAŻNIEJSZE OSOBY W PAŃSTWIE. ZESPÓŁ POSŁA ARKADIUSZA MULARCZYKA OBLICZYŁ, ŻE SUMA POLSKICH STRAT TO WIĘCEJ NIŻ BILION DOLARÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269908 19

WEŹ UDZIAŁ W LOTERII ORLEN
CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88 x

i ponad 11 000 000 produktów VERVA

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w loterii.

KONKURS

plastyczny dla dzieci

AŻ 340 WYJĄTKOWYCH NAGRÓD

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

Konkurs plastyczny dla dzieci w wieku: • 5-9 lat • 10-16 lat •

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna". Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci" (oba mogą pochodzić z tego samego wydania). Obok drukujemy trzeci kupon, ostatni ukaże się 20 maja 2019 r. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.
3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny" na adres redakcji: FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. **Termin dostarczenia prac: 24 maja 2019 r.**
4. Sprawdź, co wygrałeś! **Listę nagrodzonych opublikujemy 3 czerwca 2019 r.** w tygodniku „Sieci" i na **www.wsieciprawdy.pl**.

PARTNER STRATEGICZNY: PZU

SŁODKI PARTNER: Pszczółka od 1952

PARTNER INSTYTUCJONALNY: Fundacja Niepodległości

PARTNERZY:

cybex, GRANNA, KAISERHOF - Cesarski Dwór -, KOMPAS obozy i kolonie od 1998r., PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna

Prószyński i S-ka, SKRZAT, Wydawnictwo Świętego Filipa Apostoła, Wydawnictwo Sfinks Popularnonaukowe

eprasa.pl 24062b618d

WYGRAJ JEDNĄ Z **340** NIESAMOWITYCH NAGRÓD:

<< **2** **wakacyjne obozy o wartości 2200 zł każdy** od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS

2 **weekendowe pobyty rodzinne** >> w KAISERHOF – Cesarski Dwór w Krynicy Morskiej **o wartości 1500 zł każdy**

<< **4** **vouchery o wartości 400 zł każdy** na zakupy odzieży, butów i dodatków

2 **krzesła CYBEX LEMO,** które dzięki regulowanym elementom rosną wraz z dzieckiem, **o wartości 769 zł każde** ∨∨

∧∧ **15** **zestawów książek patriotycznych o wartości 250 zł każdy** od Wydawnictwa Świętego Filipa Apostoła

<< **25** **zestawów książek o przygodach Zuzi** o wartości 72 zł od wydawnictwa Skrzat

40 **książek „Chłopiec i pies”** o wartości 25 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka ∨∨

40 **książek „Kiedyś na pewno”** o wartości 32 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka >>

<< **150** **słodkich zestawów dla młodego patrioty:** komiks o Misiu Wojtku o wartości 16 zł od Fundacji Niepodległości i cukierki od Pszczółki o wartości 16 zł

40 **zestawów gier dla całej rodziny o wartości 140-195 zł każdy** od Granny ∨∨

∧∧ **20** **zestawów książek podróżniczych o wartości 110 zł każdy** od wydawnictwa Skrzat

SIECI KUPON KONKURSOWY **NR 3**

imię i nazwisko rodzica/opiekuna . . . . . .

imię i nazwisko dziecka . . . . . .

data urodzenia i wiek dziecka . . . . . .

dokładny adres zamieszkania . . . . . .

. . . . . .

e-mail rodzica/opiekuna . . . . . .

telefon rodzica/opiekuna . . . . . .

Akceptuję regulamin konkursu.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie konkursowym do przeprowadzenia konkursu pod nazwą „Polska, moja Ojczyzna” przez Administratora – Fratria Sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni, ul. Legionów 126-128.

Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie konkursu „Polska, moja ojczyzna”, dostępnego na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie Administratora.

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis rodzica lub opiekuna . . . . . .

eprasa.pl 24062b618d

SIECI spis treści

26 *Wojna sześciu*
Stanisław Janecki

51--66 XI Europejski Kongres Gospodarczy
Dodatek specjalny

W środku wydania
plakat z wizerunkiem Cudownego Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GWÓŹDŹ PROGRAMU**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PROWOKATOR PIEKŁOSZCZYK**
Jan Pietrzak

13 **„SOLIDARNOŚĆ", GDAŃSK, INTERESY**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **DROGOWA OŚ INTEGRACJI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

19 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z ARKADIUSZEM MULARCZYKIEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

26 **WOJNA SZEŚCIU**
Stanisław Janecki

30 **ANTYKLERYKALIZM ŚRODKIEM DO ZDOBYCIA WŁADZY**
Marzena Nykiel

32 **PIĄTEK NA ORBICIE**
Marek Pyza

36 **Z SEBASTIANEM KALETĄ**
rozmawia Marcin Fijołek

40 **P JAK PROPAGANDA (TOTALITARNA)**
Hanna Karp

42 **Z KRZYSZTOFEM TCHÓRZEWSKIM**
rozmawia Teresa Wójcik

45 **JAK NIE WYCHOWAĆ MAMINSYNKA**
Dorota Łosiewicz

48 **O BŁĄD ZA DUŻO**
Konrad Kołodziejski

SIECI KULTURY

67 **KTO MA TYLE WDZIĘKU**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **OD WIELKOŚCI DO HEJTERSTWA**
Łukasz Adamski

72 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

73 **OKULARY KANTORA**
Przemysław Skrzydelski

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

76 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

78 **Z KS. IRENEUSZEM SKUBISIEM**
rozmawia Artur Ceyrowski

HISTORIA

81 **PASTOR KONTRA HITLER**
Piotr Słabek

ŚWIAT

85 **LITWA–POLSKA: POWRÓT DO „HISTORYCZNEJ JEDNOŚCI"?**
Jan Rokita

88 **TAK MOŻNA ZABRAĆ LUDZIOM OSTATNIE MARZENIE**
Marek Budzisz

91 **ZBAWIENIE PRZYCHODZI ZE SZWECJI**
Grzegorz Górny

94 **STARY CZY NOWY ŚWIAT**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

96 **BUDŻET MA BYĆ DLA LUDZI**
Janusz Szewczak

NATURA DLA LUDZI

96 **NIETYPOWI MIESZKAŃCY KLASZTORNEGO STRYCHU**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: KRZYSZTOF ZARZECKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **WYBIORĄ NAM PRZYSZŁOŚĆ**
Maciej Pawlicki

106 **POWRÓT WOJOWNICZEGO ATEIZMU**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **UNIWERSYTET W BŁOCIE**
Aleksander Nalaskowski

109 **STAND-UP Z BRUKSELI**
Wiktor Świetlik

110 **TERAZ POLSKA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **ULICA, ZAGRANICA, PROFANACJA**
Ryszard Makowski

113 **DAWNO NIE BYŁO MNIE W KAZIMIERZU…**
Leszek Długosz

114 **SZTUKMISTRZ POLITYCZNY TUSK**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

61/0419/F | Autopromocja | 4/0319/F

partner działu gospodarka

Bank Pekao

eprasa.pl 24062b618d

Czy Gdańsk jest niemieckim miastem?

Wiceprezydent Gdańska z okazji 74. rocznicy zakończenia II wojny światowej wygłosił okazjonalną mowę. Jednak nawet człowiekowi obdarzonemu inteligencją trudno dokładnie zrozumieć sens wypowiedzi włodarza miasta nad Motławą. Cytuję zatem jej najważniejszy fragment w całości:

„Co było na początku? Na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo było Polaka przeciwko innemu narodowi, Niemca przeciwko innemu narodowi. Europa została tym złym słowem podzielona".

Co do formy wypowiedzi, Grzelak nawiązał do klasyka tego gatunku z Gdańska – Lecha Wałęsy. Natomiast co do treści najwyraźniej chodziło w niej o postawienie znaku równości pomiędzy winą Niemców i Polaków w rozpętaniu najkrwawszego konfliktu w dziejach ludzkości. Słowa te padają z ust wiceprezydenta miasta, w którym za polskość rozstrzelano 150 pocztowców. Sporą część mieszkańców, którzy nie chcieli się wyrzec własnego kraju, Niemcy wywieźli z Trójmiasta i okolic do pobliskiego obozu koncentracyjnego Stutthof. Jak dodamy do tego rzeź kleru na terenie dzisiejszej archidiecezji gdańskiej (50 proc. rozstrzelanych w pomorskich lasach) oraz 14 tys. inteligencji i lokalnych urzędników wymordowanych planowo w ramach akcji AB w Piaśnicy, to będziemy mieli w pełni to „słowo" zamienione w czyn. Ale nie było to polskie „słowo".

Grzelak zapomniał o słowach nazistowskiego namiestnika, gauleitera Forstera, których żaden przedstawiciel państwa polskiego nigdy by nie użył. Forster stwierdził, że do tej pory germanizacja Gdańska i okolic szła kulawo, ale on przeprowadzi ją w 24 godziny. I słowa, niestety, dotrzymał, panie Grzelak. Niestety takie półinteligentne enuncjacje trafiają w nastroje 75 proc. dzisiejszych gdańszczan, którym się wydaje, że w ten sposób popierają opozycję i walczą z rządem. Tam każde słowo jest odbierane z emfazą, byleby tylko uderzało w Prawo i Sprawiedliwość, obojętnie prawdziwe czy nie.

Lokalny elektorat nie jest zbyt wymagający, czego dowodem jest akceptacja wyborcza tzw. układu gdańskiego. Wśród gdańszczan po zwycięstwie Zjednoczonej Prawicy w wyborach 2015 r. na sile przybrały nastroje kosmopolityczne. Przeciętny mieszkaniec coraz bardziej identyfikuje się z urojonym Wolnym Miastem Gdańskiem albo z realną UE niż z państwem polskim. A jest to podsycane przez lokalne władze samorządowe. Przykłady, proszę bardzo. Choćby nazwa rondo Wolnego Miasta, niemiecki napis „Postamt" na odnowionym zabytku, tramwaj imienia profesora nazisty czy wreszcie zastąpienie flagami UE polskich barw narodowych na ulicach i domach w dniu święta Konstytucji 3 maja.

Oczywiście konsekwencją słów Grzelaka powinna być jego dymisja. Ale gdzie tam. Następnego dnia działacz opozycji Jerzy Borowczak stwierdził na antenie TVP, że przed wojną w Gdańsku mieszkało tylko 3,5 proc. Polaków, a samo miasto zbudowali Niemcy. Widać, że przedstawiciele lokalnego establishmentu nie dość, że nie znają historii własnego miasta, to jeszcze mogą być nieświadomymi zwolennikami nazistowskiego hasła „Danzig ist eine deutsche Stadt und will zu Deutschland" (Gdańsk jest niemieckim miastem i chce do Niemiec).

Andrzej R. Potocki

Sygnalista nadaje

Z okazji okrągłych urodzin „Gazety Wyborczej" ***Adam Michnik*** podzielił się ciepłymi wspomnieniami. „Trzydzieści lat temu zaczynaliśmy więcej niż skromnie, w lokalu dawnego żłobka. Kolegia redakcyjne odbywały się niekiedy w piaskownicy, panowała niemiłosierna ciasnota, a dziennikarze pierwsze teksty pisali przy niskich dziecięcych stolikach. Porwaliśmy się z motyką na słońce. Umieliśmy robić odbijane na powielaczu podziemne gazetki, ale nigdy nie robiliśmy gazety prawdziwej, wielkonakładowej" – przekonywał. Jest w tej relacji i prawda, i kłamstwo.

Prawda, bo to środowisko umie ciężko pracować, i kłamstwo, bo jednak mieli potężne atuty: wsparcie władzy (jakieś 25 lat na trzy dekady III RP), wsparcie wielkiego biznesu (i postkomunistycznego, i zachodniego), wreszcie rzecz rzeczywiście bezcenną – bogate kontakty z Zachodem. Było też bardzo solidne zaplecze w postaci pomarcowej emigracji, mocno usadowionej także w zachodnich mediach. A więc swoją szansę, owszem, wykorzystali, ale budowanie na tej podstawie opowieści o pucybucie, który został milionerem, nie przystoi.

Michnik skomentował przy okazji głośny atak antyklerykalnej wścieklizny w wykonaniu Leszka Jażdżewskiego: „Jak słuchałem tego, co mówił Leszek Jażdżewski, to jego wystąpienie mnie zaskoczyło. To jest bardzo inteligentny człowiek, a to przemówienie było nieinteligentne. To, co jest przesadne, nie ma znaczenia". Warto zapamiętać, bo przecież w wolnym tłumaczeniu brzmi to tak: myślimy tak, jak Jażdżewski, ale mądrość etapu nakazuje, by nie mówić tego głośno. Pośrednio wynika z tego, że Michnik również uznał, że Jażdżewski zaszkodził opozycji.

Podobne zdanie ma chyba Monika Olejnik, która zasypała Jażdżewskiego takimi oto pytaniami: „Postacią tygodnia to był Donald Tusk na Uniwersytecie Warszawskim, a nie pan. Co pan chciał osiągnąć?"; „Chciał pan przyćmić Donalda Tuska?"; „Pan dał paliwo do wojny religijnej, dał pan paliwo Jarosławowi Kaczyńskiemu, żeby ten mógł mówić takie słowa: »Kto podnosi rękę na Kościół, podnosi rękę na naród«. Czy pan się przysłużył Koalicji Europejskiej? Przysłużył się pan, czy nie?"; „Dał pan fantastyczny pretekst, fantastyczny" itd., wszystko z pozycji spin doktora opozycji. Ale najlepsza była mina Jażdżewskiego, po której wszystko stało się jasne: to mentalne dziecko.

Tusk go lubi, bo jest do niego podobny. Były premier uznał kiedyś polskość za „nienormalność", Jażdżewski myśli podobnie. W 2010 r. pisał: „Po co nam Polska? – pytasz Szymonie. Po nic. Uważam, że Polska jest wielkim genetycznym i kulturowym obciążeniem. Potwierdzić to może chyba każdy mieszkający za granicą, widzący Polaków, którzy wyrwali się z małych miasteczek, wsi i rozkwitają tam, świetnie pracują, nie szukają powodów do awantur. Polska jest obciążeniem – to powie każdy pisarz, który starał się zaistnieć na Zachodzie". Ach, gdybyż tak tylko byli konsekwentni i się wynieśli, wszystkim – i nam, i im – byłoby dużo łatwiej.

Niezły numer wyciął za to salonowi Tomasz Piątek. Autor książki, w której wywodził, że Antoni Macierewicz to niemalże wprost ruski agent, wydał kolejne dzieło pt. „Morawiecki i jego tajemnice". Tym razem także przekonuje, że premier to właściwie człowiek Putina; przedstawił nawet grafikę z nitkami łączącymi szefa rządu wprost z Kremlem. W sumie rzecz tak groteskowa, że pozostaje się zgodzić z teorią, że to i sprytny, i groźny plan. Chodzi o to, by skompromitować wszelkie zarzuty o agenturalność i prorosyjskość, tak by realni ludzie Kremla mogli się poczuć pewniej. I być może tak powinna wyglądać prawdziwa grafika: na górze Kreml, na dole Piątek.

eprasa.pl 24062b618d

Jażdżewski pretensji do Polski ma więcej. „W Polsce klimat jest paskudny, żarcie tłuste; trzeba pić wódkę, nie wino, a ludzie są chamscy na ulicach. Gdyby racjonalnie podchodzić do sprawy: biblioteki spalone, architektura przeorana przez komunizm, politycy beznadziejni, Radio Maryja itd. Jeszcze do tego trzeba się zmagać wciąż z tematem: Polska, Polska, Polska". Co prawda wówczas rządził Tusk, ale młody Leszek także nie czuł się dobrze. Może już czas dojść do wniosku, że to nie wina Polski, ale jednostki?

Występ Jażdżewskiego został sprzężony z masowymi profanacjami wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, której dodano gejowską tęczę; bojowcy opozycji nie cofnęli się przed oklejaniem plakatami murów klasztorów i kościołów. Nie ma też tygodnia bez informacji o zbezczeszczeniu jakiejś świątyni lub figury. Kto wie, czy w niedalekiej przyszłości katolicy nie staną przed dramatycznym wyborem: albo bierność i rola ofiary, albo samoorganizacja i samoobrona?

Warto jednak zacząć od podstaw, czyli od walki w sferze społeczeństwa obywatelskiego. A tu, po stronie konserwatywnej, nastroje nie najlepsze. „Rząd jest zbyt reaktywny, nie wspiera lub zbyt mało wspiera ideowe NGO-y, wiele z nich ledwo zipie, bo ludzie nie płacą, mylnie sądząc, że rząd płaci. Nie brakuje za to pieniędzy na inne, trzeciorzędne akcje. A LGBT właśnie idzie po nasze dzieci, Poznań wdraża kartę homopoznaniaka... Płatni dewianci w zasadzie bezkarnie wchodzą do szkół" – słyszymy od człowieka, który próbuje coś robić i nie kryje rozżalenia.

Sprawę podsumował także ***Jarosław Kaczyński***, stwierdzając: „Kto podnosi rękę na Kościół, chce go zniszczyć, ten podnosi rękę na Polskę. Ja jestem praktykującym katolikiem, ale gdybym nim nie był, mówiłbym to samo, bo to jest oczywistość. Co jest po drugiej stronie? Urbanopalikotyzm, nihilizm. Kościoła trzeba bronić, to jest także obowiązek patriotyczny". Ma rację, Polska bez Kościoła będzie miejscem strasznym. Czas na „rozdział lewicy od państwa", jak to celnie ujął Krzysztof Bosak.

Prezes PiS wsparł też kurs na polityczne przytulenie disco polo: „Nie jest tak, że ja nie znam tych piosenek, może nie wszystkie, ale wiele znam. I wcale się tego nie wstydzę. Tylko ludzie, którzy mają kompleksy, się takich rzeczy wstydzą, a ja kompleksów nie mam. I wy, państwo, nie macie kompleksów" – stwierdził Kaczyński, który jednak na koncercie zespołu Bayer Full nie został, bo miał kolejne spotkanie. Cóż, trwa kampania, na przyjemności przyjdzie czas po wyborach.

Kurs prawicy ku disco polo rozpoczął prezes TVP Jacek Kurski, któremu znów sprzyja szczęście. Oto 3 maja niemiecka telewizja ARD w głównym wydaniu serwisu informacyjnego skrytykowała polskiego nadawcę publicznego za to, że zamiast pokazać widzom na żywo wystąpienie Donalda Tuska (według ARD „najważniejszego polityka opozycyjnego w Polsce"), transmitowała wojskową defiladę. Prezent politycznie piękny, ale też ważny sygnał, że niemiecka buta i bezczelność znów przybierają przerażające rozmiary.

Miejskie uroczystości w Gdańsku z okazji 74. rocznicy zakończenia II wojny światowej skończyły się skandalem. Piotr Grzelak podzielił się swoją opinią na temat wybuchu wojny. „Co było na początku? Na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo było Polaka przeciwko innemu narodowi, Niemca przeciwko innemu narodowi. Europa została tym złym słowem podzielona" – mówił zastępca Dulkiewicz. Co powie 1 września? Przeprosi? Jan Pietrzak nazwał Grzelaka „ćwierćinteligentem", ale nie można się z tym zgodzić, to znacznie mniej. Mniej niż zero.

Ale kto wie, czy Grzelak nie dochrapie się tytułu profesorskiego, bo trendy zmierzają właśnie w tę stronę. Choć prof. Zybertowicz zapuścił brodę, by wyglądać jak profesor, to Centralna Komisja do spraw Stopni i Tytułów Naukowych odmówiła mu tytułu. Prof. Tadeusz Gadacz skomentował rzecz następująco: „Środowisko naukowe stanęło na wysokości zadania". Trudno o lepszy komentarz do cynicznych słów Tuska, który sugerował w Poznaniu, że wolność nauki jest w Polsce zagrożona. Jest, ale przez poirytowany salon, który nawet nie ukrywa swoich politycznych motywacji.

Skoro jest wolny tytuł, to może właśnie Grzelak, a może jednak ***Janda***? Znana aktorka ma ostatnio gorszy czas, czego zresztą nie ukrywa, więc takie wyróżnienie mogłoby poprawić jej nastrój. „Nie piszę ostatnio. Nie mam czasu. Tak się złożyło, że mam na głowie w tej chwili zbyt wiele obowiązków i porzuciłam to. Kiedyś poza tym czułam potrzebę wymiany myśli z tym narodem, teraz po prostu jej nie czuję" – stwierdziła gorzko. Ten naród jeszcze nie odpowiedział, ale z pewnością nie są to dla niego łatwe chwile.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 24062b618d

Gwóźdź programu

KRZYSZTOF FEUSETTE

Ale im przyspawałem w te ich uśmiechnięte buźki. Tak im przywaliłem, że normalnie szok. Totalny. Szczerze? Nawet nie wiedziałem, że ze mnie taki szołmen. Bo że intelektualnie jest w porządku, to mi Donald mówił już wcześniej. „Sykuj się na wojnę" – mówi. „Pan mnie psedzeźnia?" – pytam się oburzony. „Ja? A cemu?" – odpowiada. Czyli nie przedrzeźnia. Po prostu – jesteśmy podobni. Chociaż jest ciut wyższy. Mnie jak z góry filmują, to wyglądam, jak siedzisko japońskie, z którego się szoguna woła. Ale jakby mnie Donek polubił, to ja się w polityce odnajdę. Mnie wiele nie trzeba, ot, szczypta owacji, wywiady, autografy, wizyty w zakładach. Najlepiej zamkniętych, żeby mi słuchacze nie pouciekali, jak będę im tłumaczył, kto może, a kto nie może być sumieniem narodu. I dlaczego to właśnie ja, Jażdżewski, kumpel Sienkiewicza. Jaki to jest miły facet, oczywiście, w porównaniu z Grzegorzem. Mówi, że mu Donalda wykład zakłócałem? Przecież myśmy mówili oddzielnie. Władysław jeszcze lepszy, klaskał, aż mu się uszy trzęsły, a teraz się odcina. Przypominam zatem panu Kosiniakowi-Kamyszowi, że Kościół nie może się mieszać do polityki, polityka zaś do Kościoła nie tylko może, lecz nawet musi. Bez tego nigdy się tutaj prawdziwej Europy nie zaprowadzi.

Co tu kryć – jest mi bardzo przykro z kilku powodów. Po pierwsze, opozycja nie wykorzystała szansy, jaką podałem jej na tacy. Można było od razu Mazgułę z Podleśną do czołgu wsadzić, żeby się po parafiach przejechali. Balcerowicz wycedził, że trzeba wiedzieć nie tylko, co się mówi, lecz i kiedy. A gdzie mnie jeszcze zaproszą, żebym mógł o świniach opowiadać? Nawet redaktor Broniatowski stwierdził, że ja tylko powiedziałem to, co ludzie przy kawie mówią. Szkoda, że nam ten ukraiński scenariusz nie wyszedł. Inaczej byśmy dzisiaj z Polakami rozmawiali – my, Europejczycy. Teraz mi wyciągają, że kiedyś mówiłem o Polsce, iż „jest po nic". O, proszę bardzo: „Uważam, że Polska jest wielkim genetycznym i kulturowym obciążeniem. W Polsce klimat jest paskudny, żarcie tłuste; trzeba pić wódkę, nie wino, a ludzie są chamscy na ulicach" – moje własne słowa. Super, co? Donald mnie tak zainspirował, jak pisał, że „polskość to nienormalność".

Na szczęście na uniwersytetach, gdzie teraz trochę się obracam, panuje atmosfera europejska. Ludzie się uśmiechają, nawet gdy nie chcą. Przynajmniej Donek tak mówił: „Kluczowe pytanie brzmi: czy uniwersytety mają u nas możliwości realizować misję udzielania gościny, aby różne, nie zawsze pasujące innym poglądy wygłaszać?". Bardzo mi się to podobało. Bo tak samo było na przykład z prof. Hartmanem, członkiem, zresztą, rady patronackiej w naszym czasopiśmie. Wszystkie drzwi mu pozamykali, a chciał tylko dyskusji o legalności kazirodztwa, bo „jeśli udaje się powiązać harmonijnie miłość macierzyńską albo bratersko-siostrzaną z miłością erotyczną, to osiąga się nową, wyższą jakość miłości i związku". Tyle uczelni, a żadna tematu nie podjęła. Niby wszyscy dzień od „Wyborczej" zaczynają, a jak przychodzi co do czego, to ciemnogród, że aż szczęka chodzi.

O, właśnie, żebym chłopakom z Czerskiej podziękować nie zapomniał. Szczególnie redaktorowi Wrońskiemu, że nie rozumie całego zamieszania, oraz redaktorowi Czuchnowskiemu, że „przeczytał uważnie", ale nie znalazł nic obraźliwego. Prawdziwy śledczy. Ale najbardziej – Adamowi Michnikowi, który po mojej przemowie powiedział, że jestem inteligentny. „Przemówienie było nieinteligentne – mówił – i jestem zdziwiony, bo Leszek Jażdżewski to jest bardzo inteligentny człowiek". Na koniec – perła przed wieprze. Andrzej Saramonowicz, ten od komedii, co już wcześniej Kaczyńskiego „ch..." nazywał. Szczytuję po raz ostatni: „Jeśli Jażdżewski nie spęka [...], może osiągnąć sukces, jaki towarzyszył Nowoczesnej u jej zarania, a nawet go przebić". To nie wszystko. „Jażdżewski ma to, czego nie miał nigdy Ryszard Petru: błyskotliwość, odwagę, przemyślaną wizję świata i Polski oraz – co niezwykle ważne w dobie polityki medialnej – jaja". Że Ryszard nie posiada, przysięgam – nie wiedziałem. Wiedziałem, że Donek ma, bo Marcin Meller opowiadał. W końcu ten nasz wspólny plan też nabiału wymagał. Teraz to już mogę zdradzić – myśmy się zainspirowali żartem. Poważnie. Wpada facet do gabinetu dyrektora cyrku i mówi: „Panie, mam taki numer, że ludzie oszaleją! Będzie pan milionerem!". „Spadaj, pan – odpowiada dyrektor. – Mam dobry program i nie potrzebuję nowego". „Proszę mnie posłuchać tyko przez 30 sekund. Na pewno pana przekonam!". „No, dobra, byle szybko". „Niech pan sobie wyobrazi pięknie oświetloną arenę, a nad nią sufit cyrku obwieszony kolorowymi balonami. Balonami z gów...em. Na arenę wjeżdżają konie. Na każdym koniu prześliczna amazonka. Z łukiem. I te amazonki ruszają galopem w koło. Unoszą łuki. Zaczynają strzelać do balonów. Przebijają je po kolei, a całe g... spada na dół. Po chwili wszystko jest nim pokryte. Widzowie w g..., arena w g..., konie w g..., amazonki w g... I wtedy wchodzę ja... Cały na biało!".

22/0419/F

eprasa.pl 24062b618d

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 24062b6b

Rosja

Powrót Stalina

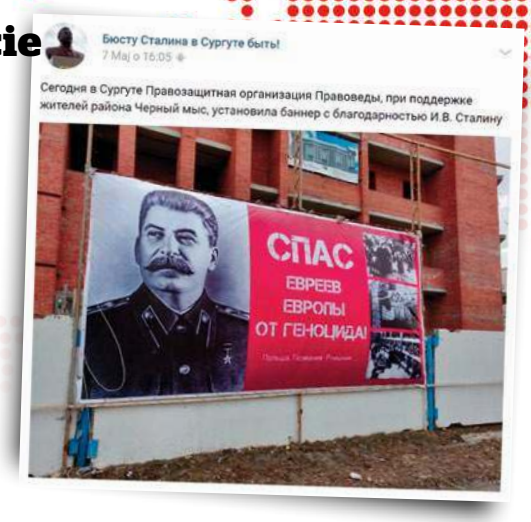

Z czego są dumni przeciętni Rosjanie? Ze Stalina. Dyktator postrzegany jest jako wielki wódz, pogromca Hitlera i twórca sowieckiego imperium. To prawda, był zbrodniarzem i wszyscy się go bali, ale – i to jest dla przeciętnego Rosjanina ważne – bali się go również za granicą: Anglicy, Niemcy, Amerykanie. Właśnie ten zagraniczny strach budzi ich dumę.

Badania na temat Stalina, które przeprowadziło niedawno renomowane Centrum Lewady, wskazują, że tyran cieszy się dziś rekordową akceptacją. Aż 70 proc. ankietowanych pozytywnie ocenia rolę Stalina w historii. Nie słyszeli o represjach? O milionach ofiar? Ależ słyszeli. Niemal każdy z nich ma w swojej bliższej lub dalszej rodzinie przodka, który zginął podczas czystek. Ale najwyraźniej przestaje to mieć znaczenie. Spada bowiem liczba osób, które sądzą, że ofiary stalinowskiego reżimu były niepotrzebne. O ile w 2008 r. uważało tak 60 proc. ankietowanych, to dziś takich osób jest już mniej niż połowa (45 proc.).

Oczywiście wysokie notowania Stalina nie są w Rosji żadną nowością, niepokojący jest jednak ich stały wzrost, który niektórzy interpretują jako rezultat promocji zbrodniarza w popkulturze – filmach, książkach, gadżetach. Dzięki temu Stalin przestaje być demonem i staje się oswojony niczym Che Guevara na koszulce.

Tradycyjnie apogeum kultu dyktatora przypada w okolicach 9 maja. Obchodzony wtedy Dzień Zwycięstwa stał się w putinowskiej Rosji najważniejszym świętem państwowym i jest de facto apoteozą sowieckiego imperializmu, kształtującą umysły przeciętnych Rosjan. Na tej fali w wielu miastach pojawiają się kolejne pomniki (zwykle popiersia) przedstawiające Stalina. Inicjatorami ich budowy są najczęściej komuniści. Ostatnio takie popiersie zostało odsłonięte w Nowosybirsku. Wyrosło pod miejscową siedzibą partii komunistycznej, a nie –jak planowali pomysłodawcy – w samym centrum miasta. Na razie ludzie nie są na to gotowi, w Nowosybirsku znalazło się bowiem 11 tys. osób, które podpisały petycję przeciwko pomnikowi.

Jednak legenda Stalina ciągle ewoluuje. I to w coraz bardziej groźnym kierunku. Jedna z powiązanych z komunistami organizacji społecznych z Surgutu wywiesiła w mieście banner, w którym domaga się uhonorowania Stalina za to, że... uratował Żydów przed Holokaustem. Obok portretu zbrodniarza (skądinąd chorobliwego antysemity) umieszczono fotografie z niemieckich obozów zagłady i dopisano: Polska, Niemcy, Rumunia.

Stalin jako obrońca Żydów w Polsce? Rehabilitacja dyktatora najwyraźniej nabiera rozpędu.

Konrad Kołodziejski

Niemcy

„Gniazdko" dla uchodźców

Niemiecki rząd, pomimo złych doświadczeń z przełomu lat 2015/2016, nadal chce przyjmować imigrantów. Tyle że tym razem ich napływ ma się odbywać w sposób kontrolowany. Według agencji UNHCR ponad 1,4 mln uchodźców wymagających szczególnej ochrony czeka obecnie „na przesiedlenie", najchętniej do Europy. Najbardziej potrzebujący – jak pisze niemiecki dziennik „Die Welt" – mają trafić za Odrę, a opiekę nad nimi przejmie społeczeństwo obywatelskie. Niemcy po raz kolejny chcą pokazać, jak bardzo są odpowiedzialni, otwarci i pomocni. Zademonstrować swoją moralną wyższość.

W tym celu Berlin stworzył we współpracy z Kościołem ewangelickim oraz fundacją Bertelsmanna program „NesT – nowy początek w zespole". Program zakłada, że grupa ochotników zaopiekuje się „ideowo i finansowo" uchodźcami legalnie ściągniętymi do Niemiec. Początkowo ma ich być 500 – ciężarne kobiety, dzieci, niepełnosprawni i chorzy. Warunkiem jest znalezienie co najmniej pięciu wolontariuszy na uchodźcę, którzy przez minimum dwa lata będą opłacali mu mieszkanie, pomagali w integracji i znalezieniu pracy. Staną się jego „łącznikami ze społeczeństwem". Ma to także pomóc w „zmniejszeniu lęku przed obcymi". Jeśli program okaże się sukcesem, zostanie rozszerzony. „Tak jak ptaszki budują na wiosnę gniazdko, tak my będziemy budować program NesT" – przekonywał przewodniczący Ewangelickiej Naczelnej Rady Kościelnej Ulrich Möller.

Tyle że wolontariuszy na razie brak. Powód? W ostatnich latach kilka tysięcy osób w Niemczech uczestniczyło w podobnych programach uruchomionych na początku kryzysu syryjskiego. Podpisywali poręczenia za uchodźców w przekonaniu, że będą płacić za ich utrzymanie tylko do momentu przyznania im azylu. Jednak w 2016 r. rząd w Berlinie nagle uznał, że deklaracja poręczenia za imigranta nie wygasa w chwili zmiany statusu jego pobytu i poręczyciele dalej muszą na niego łożyć. I choć urzędy przestały aktywnie ścigać poręczycieli i ściągać od nich pieniądze, to większość z nich straciła zaufanie do państwa.

Niemieckie MSW wprawdzie zapewnia, że tym razem koszty będą stałe i przejrzyste oraz skończą się po upływie dwóch lat, ale mało kto daje temu wiarę. Tym bardziej że wolontariusze muszą opłacić czynsz za mieszkanie imigranta na dwa lata z góry, a rząd nie zamierza się angażować w program, poprzestając na „koordynacji". Po raz kolejny państwo spycha więc odpowiedzialność za imigrantów na zwykłych obywateli. Szanse na sukces są więc nikłe.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 24062b618d

Fot. Crush Rush/Shutterstock.com

USA

Ostatnia nadzieja demokratów

Trwa gorączkowe poszukiwanie polityka, który w 2020 r. wymiecie Donalda Trumpa z Białego Domu. Nie udało się go pozbyć za pomocą oskarżeń o współdziałanie z Rosją, nie udał się hollywoodzki hejt. Kto ma więc być rycerzem, który na białym koniu zbawi Amerykę od Trumpa? Nazwisk na liście kandydatów w prawyborach jest wiele. Młodzi i coraz bardziej socjalistyczni wyborcy Partii Demokratycznej widzą w tej roli albo 77-letniego weterana Berniego Sandersa, albo byłego burmistrza San Antonio 44-letniego Juliána Castro (nazwisko jest miodem na serce Sandersa). Ich nadzieją jest też 46-letni Beto O'Rourke, wyglądający jak JFK były kongresmen z Teksasu.

Jednak największe szanse na pokonanie Trumpa ma – według sondaży – 76-letni Joe Biden, wiceprezydent USA w administracji Baracka Obamy. „Jeżeli damy Donaldowi Trumpowi kolejne cztery lata w Białym Domu, na zawsze i fundamentalnie zmieni się charakter tego narodu i to, kim jesteśmy. Nie mogę bezczynnie patrzeć na to, co się dzieje" – stwierdził Biden. Polityk w przeszłości dwukrotnie walczył o prezydencką nominację – w 1988 r. (przegrał wtedy z Michaelem Dukakisem) i w 2008 r. (porażka z Obamą). Nie stanął do ostatnich prawyborów z powodów osobistych. Jego ukochany syn zmarł na raka mózgu.

Można się domyślać, z jakich pozycji Biden zamierza walczyć z Trumpem. Jest to polityk kochający liberalny patos i świetnie czujący się w moralnym potępianiu oponentów. O ile nowa fala amerykańskiej lewicy woli łamać dogmaty amerykańskiej polityki, walcząc z korporacjami lub domagając się „darmowej" służby zdrowia i edukacji, o tyle Biden zapewne będzie budował przekaz negatywny, skierowany przeciwko „faszyzmowi" Trumpa. Czy to wystarczy, by porwać wyborców lewicy? Biden to przecież polityk starej daty, a więc związany z wielkimi lobbystami i Wall Street. Głosował nawet za katastrofalną w skutkach interwencją zbrojną w Iraku w 2002 r., co do dziś wypomina demokratom i republikanom Trump.

Problemem Bidena mogą być też zarzuty o molestowanie kobiet. Polityk nieraz obejmował współpracowniczki, robił im masaż pleców i... wąchał ich włosy, co dziś jest eksploatowane przez komików i w internetowych memach. Współpracownicy Bidena przypominają, że lubi też „robić niedźwiedzia" z mężczyznami, bo „taki już jest". Czy Amerykanie będą chętni do niedźwiedzia z wujkiem Joe? Przekonamy się za rok.

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock

Włochy

Dobrego ramadanu, katolicy!

Włoski publicysta Andrea Zambrano zauważa, że maj dla niektórych środowisk katolickich na Półwyspie Apenińskim przestaje być miesiącem maryjnym, a staje się miesiącem ramadanu. Arcybiskup Gian Franco Saba, stojący na czele diecezji Sassari, opublikował bowiem na swojej stronie internetowej życzenia z okazji rozpoczynającego się właśnie muzułmańskiego postu, opartując je datą 1440 r. hidżry i wziętymi z Koranu słowami: „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego". Do wyznawców Allaha zwrócił się też na oficjalnej stronie franciszkanów specjalny asystent tego zakonu ds. dialogu z islamem o. Michael D. Calabria. Nazywając Koran świętą księgą, przytoczył z niej parę cytatów, które – jego zdaniem – wydobywają to, co w niej szczególnie istotne, a więc troskę o imigrantów i harmonię między religiami. Na koniec życzył wszystkim adresatom przesłania błogosławionego ramadanu: „Ramadan Mubarak! Ramadan Kareem!".

Z okazji rozpoczęcia wyjątkowego miesiąca w kalendarzu mahometańskim kilka parafii katolickich w Turynie zorganizowało razem z grupami muzułmańskimi wspólne spotkania modlitewne. W ten sposób wpisali się oni w przesłanie przewodniczącego komisji episkopatu Włoch ds. ekumenizmu i dialogu międzyreligijnego biskupa Ambrogia Spreafico, który swoje orędzie na początek ramadanu zakończył słowami: „Tylko prawdziwa i szczera modlitwa może przynieść światu pokój i miłość".

Zdaniem niektórych watykanistów obecne otwarcie Kościoła w Italii na islam jest wynikiem wspólnej deklaracji podpisanej w lutym w Abu Zabi przez Franciszka i wielkiego imama Egiptu Ahmeda el-Tajeba. W dokumencie znalazło się m.in. zdanie: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru, płci, rasy i języka są rzeczami, których Bóg chce w swojej mądrości, poprzez którą stworzył istoty ludzkie". Powołując się na ten tekst, organizatorzy modłów katolicko-muzułmańskich twierdzą, że istnienie innych religii, w tym także islamu, jest zgodne z wolą Boga. W związku z tym – jak dowodzą – ich działanie jest jedynie afirmacją woli Bożej.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 24062b618d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Prowokator piekłoszczyk

Jan Pietrzak

Przy okazji „wykładu” Donalda Tuska na UW ujawnił się jeden z ideologów Koalicji Europejskiej. Od dłuższego czasu media i społeczeństwo domagają się od totalnej zmowy jakiegoś programu, a ta ani be, ani me, ani kukuryku. Z przecieków wiemy, że ceni ideologię LGBT, co świadczy o tym, że łączy ją jedynie tematyka płciowa. Jest to argument podniecający, lecz niewystarczający, by traktować ją poważnie.

W wystąpieniu Leszka Jażdżewskiego jako supportera Tuska pojawił się silny motyw antyklerykalny. Armata wytoczona przeciwko Polsce – od tysiąca lat chrześcijańskiej, wiernej Bogu – przytłumiła referat Tuska. Wykładowca padł ofiarą swego przedmówcy. Jażdżewski, piekłoszczyk pierwszej klasy, odmówił Polakom prawa do swej wiary, do tożsamości, do swej historii. Tusk po nim wypadł blado. Gaworzył o wszystkim i o niczym, popisując się nowinkami z wielkiego świata, kokietując zgromadzone fanki.

Prawdziwy, do tej pory skrywany temat nadchodzących dwóch kampanii wyborczych, został ujawniony przez figuranta. Nie jest możliwe, by przed mocno reklamowanym wystąpieniem „króla Europy” ktoś chlapnął sobie, co mu ślina na język przyniosła. Temat musiał być zaklepany przez samego wykładowcę. Zapewne w celu prowokacji, bo to ulubiony zabieg tego polityka. Co z tej prowokacji konkretnie wyniknie, obecnie nie odgadniemy, bo jak pamiętamy z minionych przypadków, są to piętrowe konstrukcje, czytelne po pewnym czasie.

Walka o Polskę ma się odbywać na kościelnym podwórku. Na polu socjalnym totalna opozycja nie ma szans, w sprawach finansów jest skompromitowana, w gospodarce ma zero pomysłów. A przecież oni muszą nakręcać złe emocje, wściekłość, wykorzystać dorobek Palikota i Niesiołowskiego, nikczemność peerelowskich kast. Potrzebują dopalaczy, by podburzać i szczuć ludzi na siebie. Od dawna wiemy, że Polakami gardzą, że polskość to dla nich nienormalność. Polacy powinni się zajmować co najwyżej zbieraniem szparagów u bauera.

Ta formacja polityczna naprawdę nazywa się: Koalicja Antypolska. Religię traktuje instrumentalnie. Niestrudzony Tusk po paru dniach w Poznaniu bronił swego koleżki z piekła rodem argumentem wolności słowa... Ciśnie się na usta niejedno słowo!

Cudnie namieszała w historii

*Z aktorką **Pauliną Lasotą** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Cudna, zgodnie z imieniem, była pani bohaterka z „Korony królów”?

Paulina Lasota: Bardzo mi zależało, żeby miała też charakter. Nie była jednowymiarowa, lecz mogła odsłonić więcej barw. Cieszę się, że w drugim sezonie pokazała pazurki. Bo i w tamtych czasach kobiety miały wiele twarzy, chociaż patriarchalne tradycje i dworskie konwenanse widziałyby w nich najchętniej ciche, wierne i potulne postacie drugiego planu.

Piękna córka kasztelana Pełki, żona rycerza Niemierzy, a czy kochanka monarchy? Tu historycy nie są zgodni.

Myślę, że nie tylko w serialu, gdzie urodziła Kazimierzowi synów, Cudka namieszała w historii. I stała się silną, wpływową kobietą.

Rola w „Koronie królów” to pani telewizyjny debiut. Bardzo dobrze przyjęty, niezależnie od tego, jak oceniany był cały serial.

To było niezwykle miłe, kiedy czytałam i słyszałam, że jestem dla kolejnego widza ulubioną postacią. Zaczynałam przygodę z Cudką na ostatnim roku studiów w łódzkiej Filmówce. Wtedy też zagrałam w wyprodukowanym przez szkołę filmie fabularnym „Monument” [który trafił do kin w marcu tego roku – przyp. red.]. Serialowo, w większości byliśmy twarzami „nieogranymi”. Dla wielu osób stałam się Cudką.

I jak się pani czuła w jej świecie, w jej strojach?

W tamtych czasach kobiety chciały być wyższe. Krój sukni służył wydłużaniu sylwetki, a nie, jak to jest dziś, podkreślaniu kształtów. Nie tylko pod tym względem wolę chyba współczesność. Chciałabym w niej być dla widzów nie tylko Cudką.

Fot. Mieczysław Wlodarski/REPORTER

eprasa.pl 24062b618d

BRONISŁAW WILDSTEIN

„Solidarność", Gdańsk, interesy

Wiceminister kultury Magdalena Gawin walczy o wpisanie Stoczni Gdańskiej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wpis ten miałby ogromne znaczenie dla uznania roli Stoczni, a więc i „Solidarności", dla historii światowej. Aby znaleźć się na liście, określony obiekt musi reprezentować „wyjątkową powszechną wartość" i spełniać określone kryteria. To, które uzasadnia uznanie za taki Stoczni, ma charakter kulturowy i odwołuje się do zapisu, że dane miejsce winno: „przedstawiać szczególny przykład typu budowli, zespołu architektonicznego lub technologicznego albo krajobrazu ilustrującego ważny etap (lub etapy) w historii ludzkości". Oznacza to więc, że walka o umieszczenie Stoczni na liście UNESCO ma charakter starcia o pamięć.

Niemcy zabiegają, aby do tego rejestru wpisany został jako symbol komunizmu i jego klęski mur berliński. Na pierwszy rzut oka świetnie się do tego nadaje: dzielił Europę, próba jego przekroczenia groziła śmiercią, którą poniosło wielu podejmujących to ryzyko, po jego obaleniu nasz kontynent znowu odzyskał jedność. Jednak zgoda na dominację tego obrazu fałszuje historię. Zapamiętujemy obraz berlińczyków rozbierających mur. Gdzie na nim mieszczą się Polacy? Gdzie jest „Solidarność", która ponad dziewięć lat wcześniej zachwyciła cały świat? Gdzie są ci, którzy pod jej znakiem podjęli walkę z komunizmem zakończoną jego pokonaniem?

Coś, co było oczywiste 30 lat temu, wcale nie jest takie oczywiste dziś. Jesień narodów coraz częściej w świadomości powszechnej przekształca się w jesień dyplomatów, a Polska gubi się w tym na nowo malowanym pejzażu. Doświadczenia z pamięcią o II wojnie światowej, a raczej z jej zanikiem i dokonywanymi na niej manipulacjami, powinny uwrażliwić nas na te kwestie. Pamięć historyczna ma znaczenie jako kapitał społeczny, element tak eksponowanej obecnie „miękkiej siły".

To, że postulat umieszczenia Stoczni na liście UNESCO spotka się z nie zawsze chętnym odbiorem naszych europejskich sojuszników, wydaje się dość oczywiste. Te opory da się przezwyciężyć, gdyż racja historyczna jest po naszej stronie i, jeśli spełnimy określone wymagania formalne, Stocznia, a więc i „Solidarność" zostaną uhonorowane. Okazuje się jednak, że najtrudniejsze do przezwyciężenia są interesy grupki deweloperów gdańskich, którym – jak to oględnie sformułować? – nie sprzeciwia się gdański samorząd. Stanowisko takie reprezentował Paweł Adamowicz, a obecnie jego następczyni Aleksandra Dulkiewicz.

Po to, aby jakieś miejsce wpisane zostało do katalogu UNESCO, musi przypominać siebie z czasu wydarzeń, które określiły jego rolę. W wypadku Stoczni chodzi m.in. o żurawie dominujące zakład i jego najbliższe otoczenie. Oznacza to, że jego najbliższa zabudowa nie powinna przekraczać 30–40 metrów. Wydawałoby się nic prostszego, ale to tylko pozór. Okazuje się, że wysokościowce powstać muszą bezpośrednio w sąsiedztwie Stoczni, niszcząc jej wygląd, jakby nie było wystarczająco dużo miejsca gdzie indziej. Adamowicz deklarował, że próba zachowania integralnego wyglądu Stoczni to zemsta (!) rządu na samorządzie i hamowanie rozwoju miasta. Jego następczyni nie mówi nic, ale nic także nie robi, aby przeciwstawić się deweloperskim planom.

Normalnie funkcjonujące miasto powinno wykupić ten teren z rąk prywatnych właścicieli i zaplanować koherentny projekt całościowej zabudowy miejsca. Samorząd pod wodzą Adamowicza nie tylko tego nie zrobił, ale zachowywał się tak, jakby wspierał projekty w rodzaju budowy wielkiego supermarketu tuż w sąsiedztwie Stoczni. Konserwator Agnieszka Kowalska przeciwstawiała się jak mogła tym zamiarom, ale w końcu – na skutek nieustającego ataku – zrezygnowała ze swojego stanowiska. Chodziło nie tylko o szykany, ale o realne poczucie zagrożenia. „Sieci" opisywały już deweloperski układ gdański, który przypomina praktyki mafijne. To nie tylko porównanie.

Dziedzictwo „Solidarności" nie jest własnością jednego miasta, a zwłaszcza polityczno-biznesowej grupy, która jest w stanie je kontrolować. Należałoby stworzyć ruch na rzecz wpisania Stoczni na listę UNESCO, a więc również obrony tego miejsca przed zakusami deweloperów gdańskich. Działalność ministra kultury, która wspierana jest przez Stowarzyszenie Konserwatorów, może w tej sprawie nie wystarczyć. Potrzebne jest ponadpartyjne porozumienie. Przecież główne ugrupowania polityczne w Polsce odwołują się do dziedzictwa „Solidarności". Wybory do PE wydają się idealnym momentem, aby tego typu inicjatywę wspólnie podjąć.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 24062b618d

OGNIEM NA WPROST

Bo im wszystko się kojarzy z...

Co ma wspólnego słynny kryptolog z Bydgoszczy Marian Rejewski (złamał w 1932 r. szyfr niemieckiej Enigmy) czy Kazimierz Wielki (w życiu prywatnym był namiętnym kobieciarzem) z homoseksualizmem? Odpowiedź człowieka normalnego brzmi: „nic"? Ale dalekie od zdroworozsądkowego systemu myślenia środowiska waginosceptyczne w Bydgoszczy uważają inaczej. Stowarzyszenie Stan Równości, które organizuje tam lokalną „pedaliadę", do promocji wydarzenia użyło grafik, na których homoseksualna tęcza oplata pomniki m.in. właśnie wyżej wspomnianych postaci. W tej sytuacji powstaje pytanie, skąd pomysł oplatania na zdjęciach tęczą pomników, pomimo kompletnego braku związku kryptologa oraz króla ze zboczeniami seksualnymi. Odpowiedź zawarta jest w starym dowcipie: „Im wszystko kojarzy się z tylną częścią ciała".

Rok temu Kaja Godek (Fundacja Życie i Rodzina) w programie Agnieszki Gozdyry w stacji Polsat News podczas rozmowy z Katarzyną Piekarską z Sojuszu Lewicy Demokratycznej nazwała homoseksualnego premiera Irlandii Leo Varadkara osobą o „dziwnej orientacji seksualnej", dodając: „zboczeńcem". Szesnastu znanych aktywistów LGBT złożyło do sądu pozew m.in. o zablokowanie strony homopozew.pl, na której Kaja Godek zawiesiła treść pisma. LGBT-owcy nie chcą jego ujawniać z powodu zawartych tam dość szczegółowych opisów jednopłciowego pożycia seksualnego. Sąd nie przychylił się do żądań waginosceptyków i oddalił wniosek o zablokowanie treści pozwu na portalu Kai Godek. Tak więc portal homopozew.pl może w świetle prawa działać dalej, ale pytanie, czy w stosunku do osób o orientacji seksualnej można używać określenia „zboczeńcy", pozostaje otwarte. Gwoli przypomnienia. Skreślenie homoseksualizmu z listy chorób psychicznych przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne miało miejsce w 1973 r. Pierwszy raz w historii o skreśleniu czegoś z listy chorób zadecydowały nie badania naukowe, a referendum przeprowadzone wśród psychiatrów i psychologów. W dodatku dobór osób głosujących nie był reprezentatywny i brakowało kworum. Casus Kai Godek to na razie pierwsze w Polsce zwycięstwo sądowe nad homoseksualnym lobby. I tak trzymać!

Podczas corocznej Parady Zwycięstwa w Moskwie Rosjanie chwalili się zawsze jakąś nową bronią. W tym roku odstąpiono od tego zwyczaju, choć z małym wyjątkiem. Żołnierze z czworoboku uformowanego przez 131. Pułk Powietrznodesantowy 2. Gwardyjskiej Dywizji Zmechanizowanej nieśli wprowadzane obecnie do rosyjskich sił zbrojnych karabinki szturmowe AK-12 (kalibru 5,45 mm). I co najważniejsze, swój debiut miał ukrywany do dnia defilady potężny, dwudrzwiowy kabriolet Aurus, w którym minister obrony Federacji Rosyjskiej, generał armii Siergiej Szojgu, dokonał przeglądu pododdziałów na placu Czerwonym. Jako fan designu Alfy Romeo stwierdzam z mocy autorytetu: rosyjska konstrukcja sprawia wrażenie wyjątkowo topornej, ciężkiej i brzydkiej. Widać, że w tzw. wzornictwie przemysłowym Rosja w stosunku do Europy osiągnęła wysoki poziom... lat siedemdziesiątych.

Gubernator stanu New Jersey Phil Murphy podpisał ustawę wprowadzającą większe kary za znęcanie się nad zwierzętami oraz utrudnia usypianie chorych psów. I bardzo dobrze, gdyby nie to, że ten sam gubernator jeszcze całkiem niedawno postulował o wprowadzenie prawa do eutanazji dla ludzi niepełnosprawnych i nieuleczalnie chorych. Ten człowiek jest również autorem projektu prawa chroniącego nienarodzone... cielęta. Na końcu drogi lewicy, sądząc wg koncepcji Murphy'ego, świnie będą rządzić ludźmi w nowej edycji „Folwarku zwierzęcego".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 24062b618d

Drogowa oś integracji

Marta Kaczyńska-Zielińska

W 2006 r. w Łańcucie pod patronatem prezydenta Lecha Kaczyńskiego ministrowie Litwy, Polski, Słowacji i Węgier obradowali na konferencji zatytułowanej „Jedna droga – cztery kraje", poświęconej rozszerzeniu Transeuropejskiej Sieci Transportowej. Miało ono nastąpić poprzez utworzenie najkrótszego szlaku drogowego na osi Północ–Południe, łączącego Litwę, Polskę, Słowację i Węgry. Spotkanie zakończyło się podpisaniem tzw. deklaracji łańcuckiej, określającej plan budowy międzynarodowego korytarza transportowego. W 2010 r. do inicjatywy przystąpiły Rumunia, Bułgaria i Grecja. Kolejna konferencja poświęcona nowemu szlakowi komunikacyjnemu odbyła się z inicjatywy rządu Zjednoczonej Prawicy dopiero w 2016 r. w Warszawie i wówczas koncepcja budowy arterii Północ–Południe została rozszerzona o Ukrainę i Turcję.

Via Carpatia to aktualnie planowany szlak międzynarodowy, który ma przebiegać z Kłajpedy i Kowna na Litwie, przez Białystok, Lublin, Rzeszów i słowackie Koszyce, do Debreczyna na Węgrzech, a dalej do Rumunii, Bułgarii i Grecji. Docierać ma m.in. do rumuńskiego portu w Konstancy nad Morzem Czarnym oraz greckich Salonik nad Morzem Egejskim. Na terytorium Polski szlak liczący 760 km (wraz z odnogami 1 533 km) prowadzić ma drogami S61 na odcinku od granicy poprzez Augustów do Ełku, a następnie drogą S16 na odcinku rozpoczynającym się w Ełku i prowadzącym do Knyszyna, by przejść w drogę S19 do Dobrzyniewa Dużego, Choroszczy, Siemiatycz, S12 (Lublin), przez Rzeszów (A4), aż do granicy państwa w Barwinku.

Jesienią 2016 r. przygotowany przez europosła PiS Tomasza Porębę raport dotyczący dostępności komunikacyjnej Europy Środkowo-Wschodniej poparło 500 europosłów, a obecny rząd przekazał środki na budowę odcinka Rzeszów–Barwinek. Wymieniony dokument to pierwsze kompleksowe opracowanie poświęcone rozwojowi infrastruktury w tej części Europy. Zamieszczono w nim wezwanie do Komisji Europejskiej i państw członkowskich o pilne zajęcie się wzmocnieniem infrastruktury drogowej wzdłuż wschodniej granicy UE. Podkreślono, że Via Carpatia stanowi najważniejszy z planowanych w najbliższych latach szlak komunikacyjny. W kwietniu br. w trakcie konferencji dotyczącej korzyści dla regionów wynikających z wdrożenia trasy Via Carpatia 11 państw podpisało wniosek do Komisji Europejskiej o uznanie Via Carpatii jako szlaku bazowego sieci komunikacyjnej UE i włączenie do Transeuropejskiej Sieci Transportowej. Parlament Europejski podjął decyzję o współfinansowaniu transgranicznych odcinków wymienionej trasy.

Zdaniem prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego Via Carpatia zmieni europejską geopolitykę. Stanowi ona wielkie przedsięwzięcie łączące północ i południe Europy, tworzące nowe możliwości dla przedsiębiorców, ale także konstruujące oś o charakterze politycznym. Nowa arteria komunikacyjna przysłuży się handlowcom i transportowcom, którzy zyskają możliwość budowy centrów logistycznych wzdłuż trasy, a także zwiększy obroty polskich portów, które to lepiej skomunikowane z krajami niemającymi naturalnego dostępu do morza staną się także dla nich wrotami do przewożenia towarów z odległych, pozaeuropejskich lokalizacji. Nowoczesny korytarz drogowy zapewni rozwój portu zarówno w Gdańsku, jak i w Gdyni. Dzięki Via Carpatia możliwy będzie szybki i stosunkowo tani przewóz towarów zarówno z Grecji poprzez Bułgarię, Rumunię, Węgry, Słowację, Polskę aż na Litwę, jak i w przeciwnym kierunku. Według ekspertów szlak sprawi, że Ukraina stanie się bliższa państwom UE. Zyska z pewnością także turystyka poszczególnych państw, które lepiej skomunikowane z sobą staną się jeszcze bardziej dostępne. Europejskie idee solidarności, swobody przepływu ludności, towarów i usług będą jeszcze sprawniej wdrażane, a stosunki pomiędzy państwami połączonymi Via Carpatia się zacieśnią.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 28 kwietnia 2019 roku zmarł w Warszawie

ŚP

PŁK DR INŻ. MARIAN PIOTR KAZUBSKI

PS. „NOWACZYK", „SĘP"

urodzony 14 października 1921 roku w Lesznie.
Od grudnia 1939 roku współorganizator struktur
Obwodu Garwolin Związku Walki Zbrojnej.
Od maja 1942 roku służył w 1. batalionie
Wojskowej Służby Ochrony Powstania
w 1. Rejonie Obwodu Śródmieście Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej.
W Powstaniu Warszawskim walczył na Czerniakowie
w składzie 2. Batalionu „Tum" Zgrupowania AK „Kryska".
14 września 1944 roku ciężko ranny podczas ataku na Klub Sportowy „Syrena".
Wieloletni Prezes Związku Inwalidów Wojennych RP
oraz Zastępca Przewodniczącego Rady do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej,
Medalem Wojska czterokrotnie
oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

10/0519/F

eprasa.pl 24062b618d

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Szczyt ignorancji

30–40 euro. Tyle trzeba zapłacić za poduszkę albo spódniczkę ze zdjęciami z obozu Auschwitz-Birkenau. Taką ofertę wprowadził sklep Redbubble, szczycący się sprzedawaniem ubrań zaprojektowanych przez niezależnych artystów. Obrazy z byłego niemieckiego obozu zagłady można było znaleźć na spódniczkach, torebkach i poduszkach. „Czy naprawdę sądzicie, że sprzedawanie takich przedmiotów jak poduszki, spódniczki i torby z nadrukami z Auschwitz – miejsca niewyobrażalnej ludzkiej tragedii, gdzie zamordowanych zostało ponad 1,1 mln ludzi – jest akceptowane? To raczej niepokojące i pozbawione szacunku" – skomentowało muzeum Auschwitz na Twitterze. Po tej interwencji gadżety usunięto ze sprzedaży. Gdyby jednak ignorancja mogła latać, niezależni artyści z Redbubble dawno dolecieliby na Marsa.

2,5 proc.

– o tyle średnio spadła emisja dwutlenku węgla ze spalania paliw kopalnych w ubiegłym roku w UE – podał Eurostat. Jednak nie we wszystkich krajach Unii emisja CO_2 zmalała.

8,5 proc.

– o tyle wzrosła emisja dwutlenku węgla na Łotwie. W Polsce odnotowano wzrost o 3,5 proc.

1 mln

– tyle gatunków zwierząt i roślin jest zagrożonych wyginięciem. Tysiące z nich mogą wymrzeć w ciągu najbliższych dziesięcioleci – wynika z alarmistycznego raportu „The Global Ecosystem Assessment".

Ku pamięci

Pozostańmy jeszcze przez chwilę w nieco dramatycznej poetyce. To za sprawą firmy pogrzebowej działającej na terenie USA, która przygotowała nietypową usługę. Podobno nic nie jest równie cenną pamiątką po zmarłym, jak... fragment ciała z tatuażem. „Firma Save My Ink Forever na prośbę rodziny zmarłego chirurgicznie usuwa z ciała fragment skóry z tatuażem, a następnie odsyła go do laboratorium, gdzie tkanka zostaje poddana specjalistycznej obróbce. Zabezpieczenie i zakonserwowanie trwa około trzech miesięcy. Po tym okresie rodzina otrzymuje skórę z tatuażem oprawioną w ramkę i pokrytą szkłem chroniącym przed promieniami UV" – informuje wp.pl. Jeśli Save My Ink Forever połączy siły z Redbubble, gotowi te tatuaże wkomponowywać w poduszki lub naszywać na części garderoby. Brrr. Koszmar.

W imię zasad

W sieci pojawiło się nagranie, na którym muzułmańskie dzieci mówią, że są gotowe oddać życie w imię przekonań religijnych. Nagranie opublikowane w społecznościówkach powstało w islamistycznym centrum Amerykańskiego Stowarzyszenia Muzułmańskiego (MAS) w Filadelfii. Filmik zapewne pozostałby bez echa, gdyby nie czujność aktywistów z MEMRI, czyli grupy zajmującej się kontrolowaniem materiałów zamieszczanych w sieci pod kątem ich zgodności z obowiązującymi przepisami i regułami. To nie pierwsze tego typu nagranie. Film budzi tym większy niepokój, że pojawiające się w nim dzieci są nieletnie. „Będziemy bronić ziemi boskiego przewodnictwa naszymi ciałami. Zetniemy im głowy i wyzwolimy smutny i wzniosły meczet Al-Aksa. Poprowadzimy armię Allaha, wypełniając jego obietnicę oraz poddamy ich wiecznym torturom" – mówi m.in. kilkunastoletnia dziewczynka. Warto, żeby rzucili okiem na sprawę ci, którym wciąż się wydaje, że islam to religia miłości.

eprasa.pl 24062b618d

Miauuu

W Toronto u pewnej miłośniczki kotów znaleziono 300 tych zwierząt. O sprawie poinformowała na Facebooku organizacja Toronto Cat Rescue, która zajmuje się ratowaniem kotów w tym mieście. Organizacja dostała informację, że w mieszkaniu w stolicy Kanady kobieta hoduje 70 kotów. Na miejscu się okazało, że kotów są trzy setki, a i ta liczba miała się niebawem powiększyć, bo kilka kocic spodziewało się młodych. Miłośniczka kotów prawdopodobnie poniesie odpowiedzialność przed sądem, zgodnie bowiem z przepisami obowiązującymi na terenie Toronto w mieszkaniu może przebywać maksymalnie sześć mruczków. Powiedzenie „mieć kota" nabiera w tym kontekście nowego sensu.

> Kiedyś poza tym czułam potrzebę wymiany myśli z tym narodem, teraz po prostu jej nie czuję" – pożaliła się na współrodaków w tygodniku „Wprost" aktorka Krystyna Janda. Może naród jakoś to przeżyje.

Afera szparagowa

Nasi sąsiedzi zza Odry mają poważny problem. Otóż okazało się właśnie, że nie ma komu rwać niemieckich szparagów. Właśnie trwają zbiory tych warzyw. Przy tej okazji nasi sąsiedzi korzystali często z siły roboczej z Polski i Rumunii. Teraz jakoś Polacy przestali się garnąć do tej pracy. „Niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych, szukając powodów takiego stanu sytuacji, zauważa, że Polska odnotowuje bardzo wysoki wzrost gospodarczy, a poza tym w naszym kraju funkcjonuje program 500+. »Być może jest to czynnik decydujący dla rodzica: czy naprawdę muszę opuścić rodzinę na trzy miesiące i pracować na niemieckim polu?«" – cytuje ndr.de portal wPolityce.pl. Jest tak źle, że niemieccy rolnicy apelują do rządu o otwarcie rynku pracy dla pracowników z Ukrainy i Białorusi. Widać imigranci z Bliskiego Wschodu jakoś się do zbierania szparagów nie garną. Zbyt mało intratne zajęcie?

Fot. Andrzej Wiktor, mat. prasowe (x2), Toronto Cat Rescue, Shutterstock

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Grzesiek się nie zaciągał

Dominik Zdort

„Słuchałem, ale nie klaskałem" – stwierdził lider PO Grzegorz Schetyna, zapytany, jak przyjął antyklerykalne wystąpienie szefa pisma „Liberté!". Leszek Jażdżewski użył słów – nawet jak na dzisiejsze standardy – nie tylko mocnych, ale wręcz niegrzecznych. Chciał obrazić, udało się. Został dostrzeżony, bo swoje mądrości wygłosił przed przemówieniem Donalda Tuska, w obecności najważniejszych liderów opozycji.

Stąd pytanie do Schetyny i jego odpowiedź. Sprytna. Można by nawet powiedzieć, że dowodząca erudycji szefa Platformy. Bo nawiązująca do klasycznej już frazy Billa Clintona: „Paliłem, ale się nie zaciągałem".

Co więcej, słowa Schetyny są z ducha postmodernistyczne. Wielowymiarowe, niejednoznaczne. Dające pole do licznych, nawet i sprzecznych interpretacji. „Nie klaskałem" – to może oznaczać, że nie akceptował treści wypowiedzi, ale niekoniecznie. Może nie klaskał, bo go to nie interesowało. Wszak dodaje: „Byłem na uniwersytecie, żeby posłuchać Tuska".

Jednak z drugiej strony chyba coś do niego dotarło: „Miałem dystans do tego, co słyszałem". No i z trzeciej strony (tu chyba porównanie Tuska i Jażdżewskiego): „Przestrzeń analizy politycznej między jednym a drugim jest naprawdę ogromna, bo to są kompletne skrajności".

Ekwilibrystyka godna najlepszego politycznego cyrku. Jeśli ktoś się dziwił, że Schetyna tak długo i skutecznie bryluje w polityce, to właśnie otrzymał najlepszy pokaz jego akrobatycznych umiejętności.

Nie piszę tego, żeby atakować Grześka, którego miałem przyjemność kiedyś poznać bliżej i którego osobiście szczerze lubię. Jego słowa to jednak tylko współczesna technologia polityczna. W czasach miałkości, gdy chodzi o to, aby nie zrazić jak największej części wyborców, w sprawach najważniejszych, ideowych lepiej być jak najmniej konkretnym. To epoka, gdy niektórzy jeszcze „palą", ale już nikt się „nie zaciąga".

Na zachodzie Europy osiągnęło to postać skrajną. Chrześcijańscy demokraci, konserwatyści, republikanie – a więc partie historycznie należące do prawicy – godzą się na najbardziej oszalałe lewackie eksperymenty ideologiczne.

A i w Polsce nie jest lepiej. Raz rządzi partia, która ma usta pełne frazesów o przywilejach dla gejów – ale nic w tej sprawie (dzięki Bogu) nie robi. Innym razem partia, która chciałaby ograniczenia aborcji – ale (niestety) palcem w tej sprawie nie kiwnie. O tempora!

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 24062b618d

RZECZY POSPOLITE

Komisarz od „wolności”

Tomasz Łysiak

Jeśli ktoś z państwa szuka dobrej lektury, to polecam Junckera. Żana Kloda. Tego, który czasem się chwieje na konferencjach, bełkocze po kilku głębszych czy zakłada buty nie do pary. To artysta jest. Potrafi tak wykrzywić rzeczywistość w trakcie udzielanych wywiadów, że niejeden pisarz fantasy czy science fiction z zazdrości by zzieleniał. Ztęczowiał. Gdyby Orwell żył, pisałby o Junckerze.

Oto pojawiają się w mediach włoskich, a także nad Wisłą (np. w „Rzeczpospolitej”) różne jego wypowiedzi i wywiady – w większości wypadków dotyczą one nadchodzących eurowyborów i tego, co się może po nich stać.

Juncker mówi w nich m.in. o tzw. suwerennościowcach (termin „i sovranisti” używany we Włoszech tak chyba najlepiej przetłumaczyć – brzmi co prawda koślawo, ale najlepiej oddaje sens), zapowiadając, że nawet jeśli wygrają wybory w kilku krajach, to generalnie się ich „wytnie z urzędu”. („Wyrżnie”, żeby użyć terminu stosowanego przez Radka Sikorskiego wraz ze słowem „wataha”). Wyjaśnia, że przecież kandydatury na urzędników unijnych i tak muszą być akceptowane przez szefa Komisji Europejskiej i zatwierdzane przez parlament, a zatem cokolwiek by się stało, to i tak będzie można się pozbyć niewygodnych polityków.

Podobne wątki można było wychwycić w wywiadzie dla „Rzepy” – Juncker przypomina w nim, że już wcześniej zablokował kandydatury sześciu komisarzy. Zapytany, czy chodziło o Polskę i Węgry, zaprzecza, a potem dodaje: „Gdybym chciał, aby to było upublicznione, dawno bym to zrobił. Przypomnę tylko, że rządy jedynie proponują komisarzy, ale to przewodniczący KE ich akceptuje i dzieli między nimi kompetencje, a Parlament Europejski to zatwierdza lub odrzuca”.

Innymi słowy, można to zrozumieć jako następujące przesłanie – możecie sobie wygrywać wybory, a i tak zrobimy z wami, co zechcemy.

Demokracja, wolność i te wszystkie inne „duperele” owszem, są na ustach, ale tylko wtedy, gdy służą uderzaniu w politycznych oponentów. W istocie rzeczy Juncker to prawdziwy artysta – mówiąc o wolności, jednocześnie wyjaśnia, jak w jej imię z ludzi robić niewolników.

Coś strasznego

Piotr Cywiński

Najpierw poszedł w świat komunikat, że „osoba publiczna kierująca autem potrąciła na oznakowanym przejściu dla pieszych w Hajnówce 70-letnią rowerzystkę”. Potem wyszło, że tą osobą jest były sekretarz uczelniany komunistycznej PZPR, a po wyprowadzeniu jej sztandaru i niecnej, pardon, „nocnej zmianie”, kolejno: minister sprawiedliwości, premier oraz szef polskiej dyplomacji, obecnie kandydat lewicy w partyjnej sklejce tzw. Koalicji Europejskiej do europarlamentu Włodzimierz Cimoszewicz. Podaniu jego nazwiska do publicznej wiadomości towarzyszyły informacje, że to nierozważna rowerzystka wjechała mu pod maskę na tym przejściu, a on bardzo się o tę w sumie lekko potrąconą zatroszczył, odwiózł do szpitala i sam powiadomił policję o zdarzeniu.

Niestety, wraże media zaczęły świdrować i się doświdrowały, że: kobieta nie wjechała, lecz prowadziła rower, że Cimoszewicz jechał samochodem niedopuszczonym do ruchu, że „potrąconą” miał odwieźć do domu jego przyjaciel, a gdy trafiła do szpitala, okazało się, że ma złamane podudzie, uraz twarzy i dłoni, no i że to lekarze powiadomili policję o wypadku. W międzyczasie osoba publiczna wydała publiczny komunikat, że współczuje, ubolewa, że badanie techniczne auta nie było istotne, bo jest sprawne, natomiast – cytuję: „pewnym usprawiedliwieniem był fakt jazdy pod słońce” oraz „bolesna dla mnie informacja sprzed dwóch dni o wykryciu u mnie choroby nowotworowej”.

Aliści reżimowa, bezduszna policja nie ma zrozumienia dla chorobowego argumentu Cimoszewicza, wszczęła „postępowanie wyjaśniające” i pewnie teraz się na nim odegra. Wszak nikt inny, tylko on ostrzegał parę miesięcy temu przed prawnikami kandydującymi do Sądu Najwyższego: „W moim przekonaniu to ludzie bez poczucia godności, którzy nie spełniają elementarnego warunku bycia sędzią – nieskazitelności charakteru. Ci ludzie w przyszłości, kiedy nastąpi okres depisyzacji naszego kraju, powinni być usunięci z zawodu”, tymczasem „to jest państwo, które premiuje patologiczne, negatywne, aspołeczne zachowania. Zachowania służące interesom osobistym”. Na wstawiennictwo prezydenta Dudy też nie może liczyć. Gdy ten podpisał reformę sądownictwa, Cimoszewicz konstatował: „Wszedł cham w zabłoconych gumofilcach do salonu, wypróżnił się i rechocząc, mówi – nic mi zrobicie. To jest coś strasznego, co się dzieje z naszym krajem”.

Dzisiejszy felieton piszę z pewną dozą ryzyka, albowiem zanim pojawi się na łamach, być może Cimoszewicz zrezygnuje chociaż z kandydowania do europarlamentu, skoro... chory?

eprasa.pl 24062b618d

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

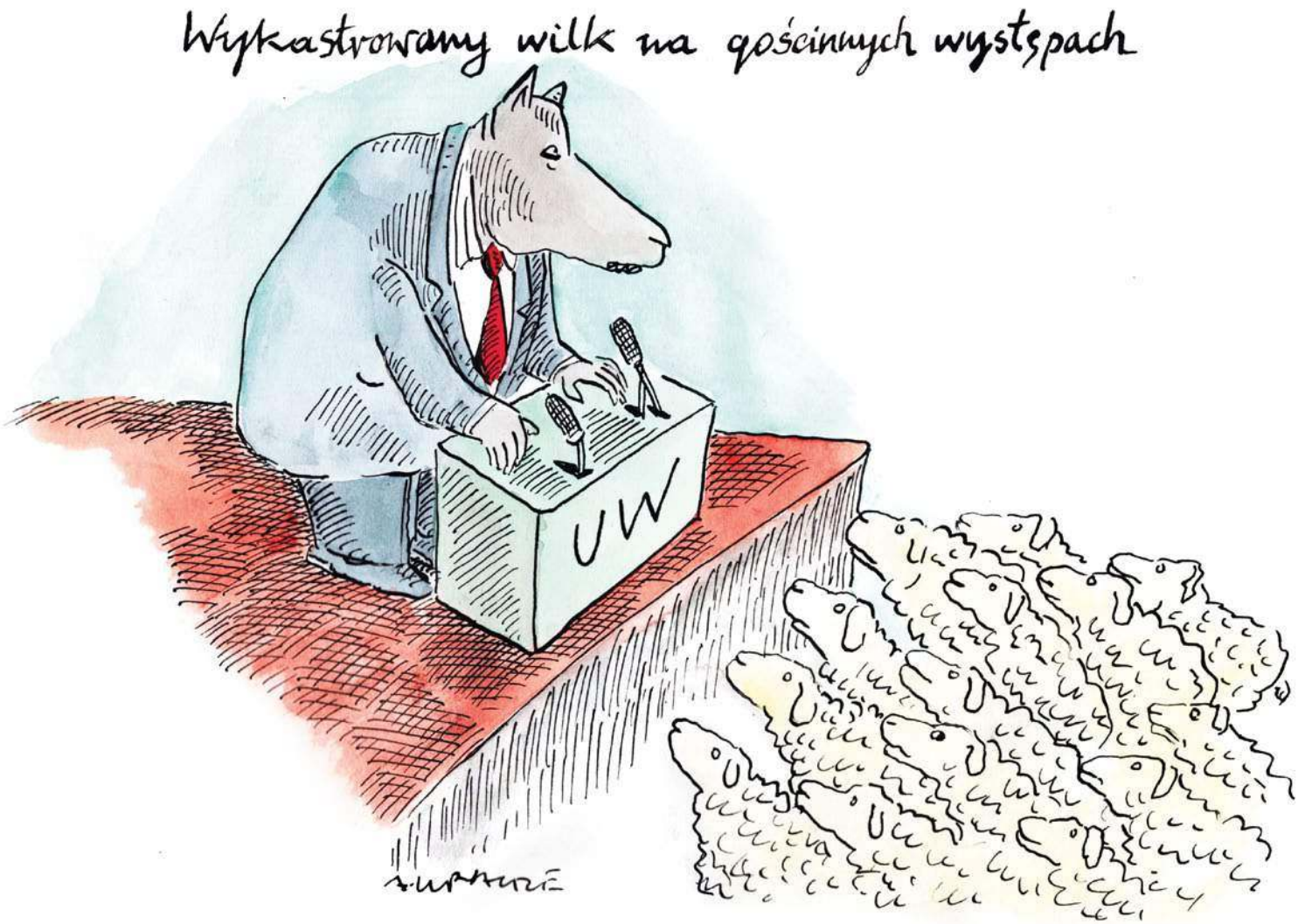

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: AFP PHOTO/TOBIAS SCHWARZ/EASTNEWS, ANDRZEJ WIKTOR, PAP/PHOTOSHOT, MPW, ARCHIWUM ZAKONU PAULINÓW NA JASNEJ GÓRZE

eprasa.pl 24062b618d

Ponad bilion dolarów strat

Uważam, że ten raport strona niemiecka powinna potraktować jako zaproszenie do dialogu i rozmowy. Jesteśmy otwarci na dyskusję, na uwagi

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Arkadiuszem Mularczykiem, posłem Prawa i Sprawiedliwości, przewodniczącym Parlamentarnego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w Trakcie II Wojny Światowej

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Do końca kadencji polskiego parlamentu zostało mniej niż pół roku. Pan kandyduje do Parlamentu Europejskiego. Czy prace dotyczące reparacji niemieckich, którym poświęcił pan ostatnie lata, doczekają się jakiegoś finału? Czy Polska wystawi rachunek za hekatombę lat 1939–1945?

Arkadiusz Mularczyk: Pracujemy nad tą sprawą od września 2017 r., gdy z inicjatywy prezesa Jarosława Kaczyńskiego powstał Parlamentarny Zespół ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w Trakcie II Wojny Światowej, bo tak brzmi nasza pełna nazwa. Cel był od początku jasny: przygotowanie raportu o stratach wojennych, a jednocześnie pogłębienie naszej wiedzy w sferze strat wojennych. I dziś, po półtora roku, mogę powiedzieć, że wypełniliśmy powierzoną nam misję.

Czyli wkrótce poznamy raport końcowy?

Prace nad raportem o stratach wojennych zostały już ukończone, w dużej mierze dzięki wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, która wzięła na siebie sfinansowanie pracy zespołu wysokiej klasy ekspertów z różnych dziedzin. Powstał dokument, który w sposób kompleksowy szacuje straty poniesione przez Rzeczpospolitą podczas II wojny światowej. Dokument, który możliwie precyzyjnie obrazuje wszelkie zniszczenia z bardzo różnych perspektyw, oczywiście te, które daje się w jakikolwiek sposób wycenić. Częścią raportu jest także analiza historyczna przygotowana przez historyków IPN pracujących pod kierownictwem prof. Włodzimierza Sulei oraz opinia prawna przygotowana przez dr. hab. Roberta Jastrzębskiego i dr. Przemysława Sobolewskiego z Biura Analiz Sejmowych, analizujących podstawy prawne naszych roszczeń wobec Niemiec. W tej części znalazł się też rys historyczny sprawy reparacji w relacjach polsko-niemieckich w okresie po zakończeniu wojny aż do czasów współczesnych. W sumie, powtarzam, powstało bardzo kompleksowe dzieło, stanowiące bardzo dobry punkt wyjścia do dalszych działań, a także badań.

Dokument jest, ale opinia publiczna jeszcze go nie zna. Kiedy zostanie opublikowany?

W najbliższych dniach raport zostanie przekazany najważniejszym osobom w państwie. A więc prezydentowi, premierowi, także prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu. To do przywódców naszego państwa należy decyzja, co zrobią z tym dokumentem, choć sądzę, że dość szybko całość raportu pozna także opinia publiczna. Osobiście uważam, że dobrym pomysłem byłoby upublicznienie dokumentu 1 września 2019 r., a więc w 80. rocznicę niemieckiej napaści na Polskę.

Na jaką kwotę, całościowo, szacują państwo polskie straty? Ile winni są nam Niemcy?

Raport o stratach wojennych przygotowany w 1947 r. przez Biuro Odszkodowań Wojennych wycenił polskie straty na 48 mld ówczesnych dolarów, co dziś po waloryzacji daje sumę ponad 850 mld dolarów. Teraz nie chcę ujawniać końcowej sumy, najpierw z tymi danymi powinny się zapoznać osoby, do których skierujemy dokument. Ale mogę powiedzieć, że nasze wyliczenia znacznie przekroczyły kwotę przyjętą tuż po wojnie.

To jest więcej niż bilion dolarów?

Są panowie blisko.

Co się składa na tę sumę?

To suma dotycząca wyliczeń w kilku obszarach. Największą jej część stanowią straty demograficzne związane

eprasa.pl 24062b618d

> Naszym założeniem było przyjęcie możliwie precyzyjnych, naukowych kryteriów. Wybraliśmy tzw. metodę dochodową. Trzeba podkreślić, że straty związane z utraconymi dochodami osób zamordowanych i okaleczonych stanowią niemal trzy czwarte całej sumy polskich roszczeń

z utratą kapitału ludzkiego. Eksperci, którzy pracowali w tym obszarze, a byli to dwaj profesorowie Uniwersytetu Łódzkiego – prof. Jan Jacek Sztaudynger, dr hab. Paweł Baranowski – badali przede wszystkim utracone PKB, na które składają się głównie utracone wynagrodzenia osób, które straciły życie. Przyjęliśmy więc bardzo precyzyjne założenie. Szacowaliśmy, ile żył statystyczny Polak przed wojną, ile lat mógł przepracować i ile zarobić w tym czasie. Dodaliśmy straty wynikające z innych efektów wojny, a więc z okaleczenia setek tysięcy ludzi, z chorób – fizycznych i psychicznych. Dodaliśmy straty poniesione przez Polskę z powodu eksploatacji przez III Rzeszę ponad 2 mln robotników przymusowych. Wreszcie także utratę 200 tys. zrabowanych i zgermanizowanych dzieci. To wszystko miało przecież wpływ na mniejszą wydajność naszego społeczeństwa i w konsekwencji na PKB. Wcześniej oczywiście trzeba było ustalić straty demograficzne Polski.

Kto się tym zajmował?

Skalę strat szacował prof. Konrad Wnęk z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z jego wyliczeń wynika, że w czasie II wojny światowej Niemcy

eprasa.pl

zamordowali 5,2 mln obywateli polskich. Ta liczba z kolei została podzielona na obszary, a więc osobno ci, którzy stracili życie w Polsce środkowej i południowej, osobno ci, którzy zginęli na Kresach. To jest liczba, która nie obejmuje też ofiar czystek etnicznych na Wołyniu, choć formalnie te ponad 100 tys. ofiar to także pośrednio wina niemiecka, bo przecież były to tereny pod administracją Rzeszy.

Do tej pory mówiło się o 6 mln zamordowanych Polaków.

Liczba 6 mln powstała tuż po wojnie i wówczas zapewne z powodów politycznych ofiary zbrodni sowieckich przypisano zachodniemu najeźdźcy. Wyliczona przez prof. Wnęka liczba – 5,2 mln obywateli polskich – obejmuje wyłącznie ludzi zamordowanych przez Niemców, z czego 150 tys. to żołnierze, a reszta cywile. Nie ma w tej liczbie, jak już powiedziałem, ofiar ukraińskich nacjonalistów, ofiar wywózek na Sybir, ofiar masowych egzekucji z Katynia i innych miejsc kaźni.

Ile wynosi według państwa szacunków całość strat polskich w czasie II wojny światowej?

Przed II wojną światową Polska liczyła, według danych GUS, 35,3 mln mieszkańców, a w 1946 r. już tylko 23,9 mln. Ubyło więc 11,4 mln obywateli, z tym że część została na Kresach, stanowiących już wówczas część Ukrainy, Białorusi i Litwy.

W odniesieniu do strat ludzkich skupili się więc państwo na wyliczeniu utraconego PKB? Nie ma tam kwoty stanowiącej zadośćuczynienie za utracone życie – wartość samą w sobie, niezależnie od tego, czy ktoś pracuje, czy nie?

Tego nie ma, nie ma także strat związanych z utratą kolejnych pokoleń, a więc dzieci i wnuków osób zamordowanych. Naszym założeniem było przyjęcie możliwie precyzyjnych, naukowych kryteriów, nawet jeśli na tle wojennej tragedii brzmią one strasznie technicznie. Trzeba podkreślić, że straty związane z utraconymi dochodami osób zamordowanych i okaleczonych stanowią niemal trzy czwarte całej sumy polskich roszczeń. To odwrotne proporcje niż w powojennym raporcie BOW – tam straty związane z utratą ludności stanowiły jedynie 25 proc.

Skąd to odwrócenie proporcji?

Wydaje się, że dziś jesteśmy w stanie bardziej precyzyjnie wycenić wartość ludzkiego życia pod względem utraconego PKB kraju. W tym aspekcie to dość precyzyjna metoda naukowa i łatwa do weryfikacji.

Czy korzystali państwo z ekspertów od odszkodowań, z doświadczenia polskich firm ubezpieczeniowych?

Analizowaliśmy tę ścieżkę, ale ostatecznie wybraliśmy tzw. metodę dochodową, czyli skupiliśmy się na analizie utraconych dochodów. Trudno byłoby wskazać obiektywną wartość człowieka w kontekście np. hipotetycznej polisy ubezpieczeniowej, bo w polisach są zawarte różne kwoty, zależne od zamożności, pozycji społecznej, zdrowia, wieku itp.

eprasa.pl 24062b618d

Z tego, co pan mówi, wynika, że nie korzystali państwo z cudzych doświadczeń, ale samodzielnie opracowali całą metodologię?

To rzeczywiście była pionierska praca, oparta na analizie ogromnej ilości danych statystycznych, dotyczących długości życia, średnich wynagrodzeń, spodziewanej dynamiki polskiej gospodarki i wzrostu wynagrodzeń. Przyjmowaliśmy, podkreślam, założenia ostrożne, konserwatywne. Na przykład – o ile przed samą wojną polska gospodarka rosła bardzo szybko, roczny wzrost PKB szacuje się dla późnych lat 30. nawet na 10 proc., o tyle wcześniej było gorzej; przyjęliśmy więc średnią, choć jest prawdopodobne, że koniunktura potrwałaby jeszcze parę ładnych lat. Przeprowadziliśmy także zewnętrzne kontranalizy, które miały na celu weryfikację naszych ustaleń.

A straty materialne? Zburzona Warszawa, dziesiątki innych miast zbombardowane, zrujnowane, setki spalonych wsi?

Tymi wyliczeniami zajmował się najliczniejszy zespół rzeczoznawców pod kierownictwem prof. Mieczysława Prystupy. Stanęli przed bardzo trudnym, chyba najtrudniejszym zadaniem. Musieli podliczyć zniszczenia budynków mieszkalnych, niemieszkalnych, obiektów zabytkowych, sakralnych i inżynierskich. Wzięto pod uwagę także straty poniesione w energetyce, przemyśle i rzemiośle. Zbadano straty wynikające ze zniszczenia gruntów rolnych, z zaprzestania uprawy, z ugorowania, ze spadku plonów, z zaboru i konfiskaty gospodarstw rolnych, z utraty inwentarza, także straty związane z wymuszaniem przez okupanta kontyngentów zbożowych, mięsnych, mlecznych. W tej kategorii mieszczą się także straty obejmujące rabunkową wycinkę drzew w lasach. Podliczono także utracony dochód np. z budynków, które – gdyby nie wojna – byłyby użytkowane lub wynajmowane. Staraliśmy się także wyliczyć straty dotyczące mienia ruchomego oraz majątku Wojska Polskiego, dworców, poczty, administracji rządowej, leśnej, lotnisk, hangarów itp. W sumie olbrzymia skala, ale – co ciekawe – w naszym raporcie stanowią one jedynie kilkanaście procent całości polskich strat.

Tylko kilkanaście procent? Wszyscy mamy w głowach obraz Warszawy, która wygląda jak pustynia.

Zebraliśmy wszystkie wyceny, zarówno z raportu powojennego, jak i z innych źródeł, kompleksowo je zestawiliśmy i podsumowaliśmy. Też byliśmy zaskoczeni faktem, że to straty materialne stanowią jedynie kilkanaście procent zniszczeń, ale tak wynika z obiektywnych wyliczeń. Wniosek jest jeden: największą dziś wartość stanowi utracony kapitał ludzki, ale także straty, które poniósł skarb państwa oraz cały jego system finansowy i gospodarczy.

> Byliśmy zaskoczeni tym, że straty materialne stanowią jedynie kilkanaście procent zniszczeń, ale tak wynika z obiektywnych wyliczeń

Czy w tych kilkunastu procentach jest Zamek Królewski w Warszawie?

Tak oczywiście. Straty obejmujące dobra kultury to oddzielny element naszego raportu, także bardzo trudny do wyliczenia. Podkreślamy, że Niemcy ze szczególną bezwzględnością prowadzili niszczycielską akcję całego obszaru życia kulturalnego Polski i Polaków. Niszczyli wszystko: szkolnictwo, muzealnictwo, architekturę zabytkową, archiwa, literaturę, teatr, muzykę, sztuki plastyczne. Postanowili zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, co było związane z kulturą polską. To była systemowa akcja, całkowicie sprzeczna z wieloma konwencjami międzynarodowymi. Jak to wyliczyć? To naprawdę niełatwe zadanie.

Jaką metodę państwo przyjęli?

W raporcie BOW przyjmowano np. średnią wartość obrazu i mnożono ją przez liczbę straconych dzieł. My dziś uznajemy, że arcydzieła właściwie nie mają ceny, że są one dosłownie bezcenne. Idźmy dalej: przed wojną radioodbiornik to był bardzo cenny przedmiot, a dziś to rzecz relatywnie tania. W tej sferze przedstawiamy więc jedynie możliwie obiektywne szacunki. Zaznaczam też, że w naszym raporcie uwzględniamy wyłącznie straty materialne dotyczące tzw. ziem dawnych, a więc tej części przedwojennej Polski, która leży w naszych obecnych granicach. Nie uwzględniamy ani Kresów, ani Ziem Odzyskanych, też przecież bardzo zdewastowanych w toku działań wojennych.

Mamy więc w raporcie podsumowanie strat ludzkich, strat materialnych, strat w obszarze kultury. Co jeszcze?

Mamy też ekspertyzy dotyczące strat w bankowości i sektorze ubezpieczeń przygotowane przez prof. Mirosława Kłuska. Mieliśmy przecież przed wojną i relatywnie silne banki, i towarzystwa ubezpieczeniowe, i dobrze zorganizowaną sieć kas oszczędnościowych. Wszystkie zebrane tam środki zostały zrabowane. Depozyty, rezerwy, obligacje, złoto, waluty obce – wszystko to trafiło do niemieckiego okupanta i do jego obiegu gospodarczego.

I krąży tam do dziś.

Duża część na pewno. Co ważne, straty związane z depozytami nie były ujęte w raporcie BOW. My to uwzględniamy, to jest więc nowy element. Uwzględniamy także stworzony przez Niemców system eksploatacji ekonomicznej ziem polskich, który opisuje także prof. Mirosław Kłusek. Polegał on na stworzeniu okupacyjnego Banku Emisyjnego w Polsce z siedzibą w Krakowie, który emitował swoje banknoty, tzw. górale. Cała polityka tej instytucji sprowadzała się do przerzucenia na ludność polską kosztów działania administracji niemieckiej oraz kosztów finansowania

eprasa.pl 24062b618d

niemieckiej machiny wojennej. Mamy dowody w postaci śladów przelewów bankowych z Banku Emisyjnego do Banku Rzeszy; to są także dokumenty niemieckie. Z pewnością to obszar, który wciąż wymaga badania, można tu odkryć wiele ważnych faktów, choćby w archiwach niemieckich.

Kto powinien się tym zająć?

Uważam, że państwo polskie powinno powołać specjalną instytucję, np. Biuro Odszkodowań Wojennych, która zajmie się tą sprawą systemowo i naukowo. To obszar, w którym jest wiele do zrobienia. Kiedy otwieramy jedne drzwi, widzimy po chwili kilka kolejnych. Można sięgać po wiele różnych perspektyw badawczych, po ciekawe metody porównawcze. Można np. – co akurat jest w naszym raporcie – porównywać poziom rozwoju Polski, kraju zaatakowanego przez Niemcy, i Hiszpanii, której nie dotknęły ani II wojna, ani komunizm. Przed wojną oba kraje miały podobny poziom PKB, dziś Hiszpania jest 13. gospodarką świata, a Polska 23. Rozwijamy się szybko, ale mamy nadal ogromny dystans do nadrobienia. To jest wciąż skutek II wojny i tego, co ona przyniosła. Pionierską ekspertyzę w tym zakresie o szacunkach strat dochodu obywateli Polski z punktu widzenia makroekonomicznego przygotował dr Paweł Pońsko.

Co jeszcze zawiera raport? W jakim stopniu mogli państwo opisać np. konkretne straty polskich miast, zburzone domy, zabytki, pomniki?

Oprócz wielkich liczb, wynikających z sumowania naszych analiz i wyliczeń, prezentujemy także kilka tzw. case studies, czyli studiów przypadku. Jest Warszawa, której straty przedstawił inż. Józef Menes. Wkład tego eksperta w nasze prace jest zresztą trudny do przecenienia. Mamy także opis zniszczeń Wielunia, przypadek Nowego Wiśnicza, w którym barbarzyńsko zburzono i zniszczono kościół karmelicki. Analizujemy również zniszczenia Nowego Sącza. Przed wojną mieliśmy tam piękny zamek, na którym Witold i Jagiełło planowali kampanię zakończoną bitwą pod Grunwaldem, a który został wysadzony w wyniku działań wojennych i dziś została z niego jedna baszta. Nie mogło zabraknąć także opisu terroru niemieckiego na Zamojszczyźnie. Tu przykładem jest pacyfikacja wsi Sochy. Inne studia przypadku obejmują Sokołów Podlaski, Węgrów. Oprócz dużych liczb chcieliśmy bowiem pokazać technologię niemieckiej zbrodni.

W raporcie uwzględniamy wyłącznie straty materialne dotyczące tej części przedwojennej Polski, która leży w naszych obecnych granicach. Nie uwzględniamy ani Kresów, ani Ziem Odzyskanych

W raporcie, jak już pan wspomniał, jest także analiza prawno-historyczna kwestii reparacji. Czy rozstrzygają państwo kwestię rzekomego zrzeczenia się roszczeń przez Polskę stalinowską?

Prezentujemy bardzo poważne argumenty, które przemawiają za uznaniem, że ów akt po pierwsze, nie ma mocy wiążącej, po drugie, jest więcej niż dyskusyjne, czy w ogóle zaistniał. Takiej uchwały Rady Ministrów nie pamiętał np. Kazimierz Mijal, wówczas minister – szef Urzędu Rady Ministrów, z którym rozmawiał przed laty wspomniany już Józef Menes. Co ważne, pod tym materiałem jest podpis Bieruta, jest lista obecności, ale nie ma podpisów członków Rady Ministrów. Nie został on też opublikowany ani w Dzienniku Ustaw, ani w żadnym materiale urzędowym. Nie został także, co ustalił tygodnik „Sieci", zarejestrowany w organizacjach międzynarodowych, w tym w ONZ. Niemiecki historyk Karl Heinz Roth zwrócił nam też uwagę, że skuteczne zrzeczenie się reparacji przez Polskę wymagałoby zawarcia traktatu pokojowego z czterema sprzymierzonymi mocarstwami, bo to one przyznały nam w Poczdamie reparacje. Sami jednostronnym aktem nie mogliśmy tego uczynić, bo ani Polska, ani Niemcy nie były stronami w czasie obrad wielkiej czwórki. W sumie w mojej opinii zrzeczenie się było fikcyjne, nigdy rzeczywiście nie zaistniało.

Strona niemiecka twierdzi, że wypłaciła już Polsce odszkodowania liczone w sumie w miliardach. Czy zespół zebrał dane na ten temat?

Niemcy prowadzili w tej sprawie sprytną politykę. Najpierw problemem było to, że PRL i RFN nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych. Później, po podpisaniu traktatu, który wynegocjował Gomułka, pojawił się argument przedawnienia oraz inne sztuczki dyplomatyczne i prawne. A ofiary systematycznie umierały. Pieniądze z Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie dla robotników przymusowych, choć ważne, były jedynie jednorazową wypłatą, do tego związaną z rezygnacją z roszczeń. Od zakończenia II wojny światowej Republika Federalna Niemiec wypłaciła ofiarom III Rzeszy w sumie 75,5 mld euro, z czego do poszkodowanych w Polsce trafiło niecałe 2 proc. (1,41 mld euro) tej kwoty. Najwięcej otrzymał naród żydowski, bo 35 mld euro.

W raporcie, jak rozumiemy, opisane są straty, które poniosła cała ludność Polski, bez rozróżnienia narodowościowego?

Oczywiście. To są straty obywateli polskich, niezależnie, jakiej byli narodowości: polskiej, żydowskiej czy ormiańskiej.

Nie obawia się pan, że podnoszenie sprawy roszczeń wobec Niemiec może w reakcji wywołać za Odrą dyskusję o polskich granicach?

Te sprawy nie mają z sobą nic wspólnego. Po pierwsze, granice zostały przesunięte decyzją mocarstw, a nie Polski czy Niemiec. Po drugie, na

eprasa.pl 24062b618d

Wschodzie straciliśmy większy obszar, niż zyskaliśmy na Zachodzie. Pewnie nieco bardziej rozwinięty, ale przecież Polska, w której nie byłoby masowego przemieszczenia ludności, byłaby kulturowo i tożsamościowo znacznie silniejsza. Do tego dochodzi problem poczucia tymczasowości i niepewności, który znacznie ograniczał rozwój tych ziem w pierwszych powojennych dekadach.

Czy poza raportem Biura Odszkodowań Wojennych z 1947 r. i państwa raportem powstał w Polsce jakiś dokument, który próbowałby się zmierzyć z kwestią strat wojennych?

Było kilka takich prób, ale żadna nie zakończyła się powodzeniem. Próbował rząd na emigracji, próbowały władze komunistyczne, i to kilkukrotnie. Prace zazwyczaj kończyły się bardzo połowicznie. W III RP nie powstał w tej sprawie żaden poważniejszy dokument. Także Instytut Pamięci Narodowej nie zajmował się stratami wojennymi, skupiając się na konkretnych zbrodniach. Była Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, która również w interesującym nas obszarze wiele nie wniosła. Przy okazji wyszło na jaw, że część dokumentów dotyczących zbrodni niemieckich została wysłana do Niemiec jako pomoc w procesach zbrodniarzy, ale do Polski już nie wróciła. To wielkie zaniedbanie. Zwróciliśmy się w tej sprawie do polskich władz o podjęcie koniecznych działań.

Czy zakończenie prac nad raportem oznacza, że zespół parlamentarny przestanie istnieć?

Nie. Nadal jest wiele do zrobienia. Przypominam, że w Trybunale Konstytucyjnym toczy się postępowanie dotyczące poselskiego wniosku o zniesienie immunitetu sądowego państw obcych w sprawach o odszkodowania za II wojnę światową. Zagadnień jest tyle, że pracy starczy na parę kadencji. Chyba że zadanie to przejmie specjalna instytucja, której powołanie postuluję.

Może powinien powstać także zespół, który oszacuje straty związane z sowiecką napaścią i późniejszymi dwiema okupacjami sowieckimi?

To postulat ze wszech miar słuszny. Tylko z tytułu np. umowy węglowej w latach 40. i 50. Polska straciła, według dzisiejszych cen, 836 mln dol. To także gigantyczne wyzwanie, może nawet trudniejsze niż nasze, ale trzeba je podjąć. To była także straszna okupacja, ale nie możemy zapominać, że w czasie niemieckiej okupacji statystycznie codziennie ginęło w Polsce 3 tys. osób! Dlatego zobowiązania Niemiec wobec Polski tej sferze mają wymiar dziejowo bezprecedensowy.

Raport trafi – jak już wiemy – do najważniejszych osób w państwie. Czy zostanie później przedłożony oficjalnie stronie niemieckiej?

Uważam, że ten raport strona niemiecka powinna potraktować jako zaproszenie do dialogu i rozmowy. Jesteśmy otwarci na dyskusję, na uwagi.

Jeśli wywalczy pan mandat do Parlamentu Europejskiego, czy w Brukseli i Strasburgu będzie pan dalej zajmował się sprawą reparacji?

Tak, po to startuję w tych wyborach w okręgu małopolsko-świętokrzyskim. Chcę umiędzynarodowić sprawę polskich reparacji wojennych i ten konkretny raport. Uważam, że nasz dokument powinni dostać europosłowie z całej Unii Europejskiej. Parlament Europejski to także doskonałe pole do pracy nad budową międzynarodowej koalicji w sprawie odszkodowań. W końcu nie może być tak, że z jednej strony tyle mówimy o prawach człowieka, o szacunku dla prawa, a z drugiej wciąż żyją poparzeni, niewidomi, okaleczeni Polacy, którzy do dziś nie dostali ani eurocenta od sprawców i którzy mogą liczyć wyłącznie na pomoc państwa polskiego. Ci ludzie próbowali walczyć o swoje prawa w niemieckich sądach, zawsze spotykali się z odmową. Polska także nigdy nie otrzymała reparacji wojennych. Tak dalej być nie może. Zrobię wszystko, co jest możliwe, jako polityk i adwokat na arenie międzynarodowej, aby to zmienić.

eprasa.pl 24062b618d

Wojna sześciu

Po raz pierwszy wszystkie ogólnopolskie komitety wyborcze mogą wprowadzić swoich przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego

STANISŁAW JANECKI

Jeszcze nigdy w wyborach europejskich list w całym kraju nie zarejestrowało tak mało komitetów jak w 2019 r. – tylko 6 (w 2004 r. było ich 14, w 2009 r. – 10, zaś w 2014 r. – 9). Zważywszy na niższą frekwencję niż w innych wyborach (w 2004 r. – 20,9 proc. w 2009 r. – 24,53 proc., w 2014 r. – 23,83 proc.), wszystkie zarejestrowane komitety, czyli Prawo i Sprawiedliwość, Koalicja Europejska, Kukiz'15, Konfederacja Korwin Braun Liroy Narodowcy, Wiosna i Lewica Razem, mają szansę przekroczyć próg wyborczy. Tak jak Nowa Prawica Janusza Korwin-Mikkego w 2014 r., której 505 586 głosów (7,15 proc.) przełożyło się na cztery mandaty. Podobnie jak w wypadku Polskiego Stronnictwa Ludowego w 2014 r., którego 480 846 głosów (6,8 proc.) przełożyło się także na cztery mandaty w europarlamencie. W wyborach do Sejmu i Senatu w 2015 r. 779 875 głosów PSL ledwie wystarczyło na przekroczenie progu (5,13 proc. i 16 mandatów). Mała liczba komitetów oraz niska frekwencja wytrącają dużym ugrupowaniom argument, że nie warto głosować na mniejszych i marnować głosów, gdyż nie muszą być one stracone. Z tego powodu walka wyborcza toczy się nie tylko między największymi (PiS kontra Koalicja Europejska), ale też na (umownej) prawicy (PiS kontra Konfederacja, PiS kontra Kukiz'15, Konfederacja kontra Kukiz'15) oraz (umownej) lewicy (Koalicja Europejska kontra Wiosna, Lewica Razem kontra Wiosna, Koalicja Europejska kontra Lewica Razem). Walka toczy się też między poszczególnymi ugrupowaniami prawicowymi i lewicowymi.

PiS W GÓRĘ, PO W DÓŁ

PiS startuje w wyborach europejskich przede wszystkim w roli tego ugrupowania, które (wraz z innymi krajowymi partiami, które wejdą do frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów lub utworzą nową frakcję) ma blokować, a przynajmniej utrudnić działanie funkcjonującemu od ponad 30 lat i wszechwładnemu w instytucjach Unii Europejskiej układowi chadeków, socjalistów i liberałów. Mimo swej różnorodności Koalicja Europejska jest częścią tego układu, a on decyduje o kształcie i ewolucji UE. A ta ewolucja co najmniej od 2007 r. jest dla Polski niekorzystna, uwzględnia bowiem coraz większe nieformalne wpływy Niemiec i Francji (czasem także Holandii, Szwecji, Danii czy Belgii), wbrew traktatom poszerza uprawnienia Komisji Europejskiej i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, prowadzi do wewnętrznych podziałów w Unii (grupy państw różnej prędkości), a w konsekwencji zagraża całej UE. Mimo że Donald Tusk jest (od 1 grudnia 2014 r.) przewodniczącym Rady Europejskiej, a Jerzy Buzek był (od 14 lipca 2009 r. do 17 stycznia 2012 r.) przewodniczącym Parlamentu Europejskiego, nie mieli oni ani nie chcieli mieć żadnego wpływu na kształt i ewolucję UE. Należąc do dużego i decydującego w sprawach Unii ugrupowania (Europejska Partia Ludowa), Platforma Obywatelska w najważniejszych europejskich kwestiach nie miała nic do powiedzenia. Więcej znaczyło pod tym względem PiS, należąc do frakcji liczącej tylko 72 deputowanych.

Po wyborach 26 maja rola PiS (i frakcji, w której będzie działać) jeszcze wzrośnie, „pakt trzech" (EPP, PES, ALDE) zaś będzie słabszy niż kiedykolwiek. Rola PiS jeszcze wzrośnie, ponieważ – jak na początku maja obwieścił komisarz ds. ekonomicznych i finansowych Pierre Moscovici – Polska będzie w 2019 r. drugim najszybciej rozwijającym się państwem UE (pierwszym spośród państw największych). I ten wzrost, a właściwie jego przełożenie na portfele przeciętnych Polaków, jest jednym z najważniejszych elementów programu wyborczego PiS. Polacy mają doganiać bogatszych obywateli UE pod względem dochodów (obecnie nasze dochody to 70 proc. unijnej średniej). Koalicja Europejska próbuje z PiS rywalizować na gruncie „bogacenia

eprasa.pl 24062b618d

się" Polaków, lecz ma podstawowy problem z wiarygodnością. Politycy tej koalicji oraz Tusk są świadomi wzrostu znaczenia PiS w niedalekiej przyszłości w PE oraz wpływu ewentualnej wygranej partii Jarosława Kaczyńskiego w wyborach europejskich na wybory krajowe, dlatego zaatakowali ją zarzutami o polexit. Zaatakowali też oskarżeniami o łamanie europejskich traktatów i generalnie unijnego prawa (donosy do Komisji Europejskiej i do TSUE) oraz oczywiście polskiej konstytucji, żeby PiS delegitymizować i stygmatyzować jako siłę antyeuropejską i antydemokratyczną. To wszystko zneutralizował jeden tekst Mateusza Morawieckiego w „Politico" (30 kwietnia br.) o polskiej wizji UE, gdzie premier przedstawił „piątkę dla Unii Europejskiej" (walka z nierównościami, zwiększanie innowacyjności, walka z monopolami i protekcjonizmem gospodarczym, zwiększanie wydatków na obronę przed zagrożeniami dla UE i ochrona granic oraz ochrona demokracji). Do tego doszły wystąpienia Kaczyńskiego, np. 27 kwietnia na konwencji w Poznaniu, gdy mówił, że „przynależność do UE jest wymogiem patriotyzmu". I słaba narracja o polexit stała się po prostu groteskowa. A mimo to wciąż obowiązuje.

OFIARY „BLUZGU" JAŻDŻEWSKIEGO

Wbrew histerii na punkcie PiS i euforii na temat własnych sukcesów oraz przewag, czego pełno w mediach sprzyjających opozycji, lider Koalicji Europejskiej Grzegorz Schetyna jest w głębokiej defensywie. Przełomem ma być zapowiedziany na 18 maja w Warszawie marsz organizowany przez Koalicję Europejską. Sam Schetyna opowiedział już, po co organizuje marsz, i wyszły te same banały, jakie słyszymy od miesięcy. Zaprasza na marsz „wszystkich, którzy chcą wolnej, europejskiej Polski. (...) Bez przemocy, podziałów, nienawiści. Polskę, która nie będzie musiała się wstydzić swojego rządu. Polskę, gdzie zwycięża zaufanie i prawdziwa solidarność, która śmiało spogląda w przyszłość, w której po prostu żyje się jak na Zachodzie". Schetyna porównał PiS do rosyjskich oligarchów: „W kategoriach dorabiania się na władzy ścigają się już dziś z politykami Rosji czy republik azjatyckich. (...) Tworzą nową kastę partyjnych mandarynów, odgrodzeni od ludzi płotami, barierkami, armią ochroniarzy, widzą Polaków tylko zza ciemnych szyb rządowych limuzyn i wszyscy jeżdżą na sygnale. (...) Nagrody, służbowe wille, kontrakty w państwowych firmach, rodzina na swoim, kolesie, a jednocześnie pogarda dla konstytucji i ludzi. Na końcu ten jednowładca, który rozdaje koncesje na buszowanie w państwowej kasie. PiS urządził sobie Bizancjum w Warszawie i w całej Polsce". I znowu problemem jest wiarygodność tej wizji oraz oskarżeń, szczególnie na tle tego, czego o PO Polacy dowiedzieli się z taśm z dwóch warszawskich restauracji. A dowiedzieli się m.in. o wysługiwaniu się przez polityków PO rekinom polskiego biznesu, o ich funkcjonowaniu w roli chłopców na posyłki krajowych oligarchów.

Mimo że kampania Koalicji Europejskiej od początku była nudna i schematyczna, ugrupowanie to nie traciło poparcia (w sondażach mogło liczyć na 30–35 proc. głosów). Aż 3 maja zorganizowano „wykład" Tuska na Uniwersytecie Warszawskim, na który najważniejszy garnitur polityków Koalicji Europejskiej czekał niczym na objawienie nowego mesjasza. I doczekał się antykościelnego „bluzgu" poprzedzającego Tuska Leszka Jażdżewskiego. Tego „bluzgu" słuchali liderzy ugrupowań składających się na koalicję, a przez to go legitymizowali. I przylgnęła do nich antykościelna obsesja Jażdżewskiego, wdepnęli w muł wojny kulturowej i ideologicznej, jakiej koalicja chciała uniknąć i którą wyciszała po wyskokach swoich lewicowych działaczy. Tym samym koalicja objawiła swoje mocno lewicowe, a wręcz libertyńskie oblicze. Objawiła zaczadzenie najprymitywniejszym antyklerykalizmem, podczas gdy wcześniej snuła narrację o tolerancji, zgodzie i walce z mową nienawiści. Sam Schetyna i jego otoczenie wietrzą w tym, co się stało 3 maja, spisek Tuska, któremu ma nie zależeć na wygranej inicjatywy obecnego szefa PO, gdyż sam chce stworzyć inną koalicję opozycyjną, a może to zrobić tylko na gruzach Koalicji Europejskiej.

eprasa.pl 24062b618d

Marsz 18 maja ma przykryć fatalne skutki zwrotu, jaki nastąpił 3 maja. Tylko takich problemów nie da się tak łatwo przykryć.

TERAZ KONFEDERACI

PiS ma stabilną pozycję w sondażach, lecz nie ma spokoju, także po prawej stronie. Atakuje go Konfederacja, chcąc wykorzystać „masę" rywala, a przez to sama nabrać „masy". Atakuje przede wszystkim za rzekome uleganie żydowskiemu lobby. Na Marszu Suwerenności 1 maja, zorganizowanym przez Konfederację, poseł Robert Winnicki oskarżał: „Jarmułki im się zsunęły na oczy! Już im przyrosły do mózgu. A 11 maja w Warszawie ma się odbyć (zorganizowany przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości) marsz przeciw roszczeniom środowisk żydowskich dotyczących tzw. mienia bezspadkowego (amerykańska ustawa JUST Act-447). Kaja Godek, jedynka Konfederacji na Mazowszu, twierdziła, że PiS pozoruje działania przeciwko JUST Act: „Mamy prawo podejrzewać, że obietnica związana z roszczeniami [niepoddawania się żadnym naciskom] jest uspokojeniem elektoratu, a nie zapowiedzią realnych działań politycznych". Poseł Robert Winnicki, jedynka na Podlasiu, Warmii i Mazurach, powołał się na notatkę ujawnioną przez Stanisława Michalkiewicza (o rozmowach amerykańskich dyplomatów z urzędnikami polskiego MSZ w sprawie JUST Act): „To oznacza, że rząd RP prowadzi tajne negocjacje na temat roszczeń". „Wisi nad nami groźba, w której mowa jest o tym, że Polska ma zapłacić 300 mld dol. (...) To przekłada się na 120 tys. zł na każdą czteroosobową polską rodzinę" – straszył Winnicki. Reagując m.in. na ataki ze strony Konfederacji, Morawiecki zapowiedział przyjęcie ustawy, która zabezpieczy Polskę przed roszczeniami związanymi z II wojną światową. Prezes PiS zaś powiedział: „Próbuje się stwierdzić, że Polska ma w związku z II wojną światową jakieś zobowiązania finansowe. Otóż tak, są zobowiązania finansowe – wobec Polski i wobec Polaków, a Polska żadnych zobowiązań nie ma".

> PiS ma stabilną pozycję w sondażach, lecz nie ma spokoju, także po prawej stronie. Atakuje go Konfederacja, chcąc wykorzystać „masę" rywala, a przez to sama nabrać „masy"

Politycy Konfederacji są przekonani, że odbiorą wyborców PiS. 25 kwietnia Sławomir Mentzen z Konfederacji mówił: „Doskonale wiedzą [politycy PiS], co się dzieje, widzą, że podbieramy im elektorat. (...) PiS w 2015 r. szedł do wyborów z programem prawicowym. Mówił o zaostrzeniu prawa aborcyjnego, o zatrzymaniu ofensywy LGBT, mówił o zatrzymaniu inwazji imigrantów na Polskę. Czy coś w tych sprawach się ruszyło?". Mentzen twierdził, że „gdy w wewnętrznych sondażach PiS wyszło, że mamy 7–8 proc., zaczęli z jednej strony pompować Kukiza, z drugiej wściekły atak na Konfederację". Konfederaci powołują się na sondaż Kantar Public (dla „GW"), z którego wynika, że popiera ich 29 proc. mężczyzn w wieku 18–30 lat (PiS ma w tej grupie poparcie 22 proc., a Kukiz'15 – 11 proc.). Zwolennicy PiS atakują Konfederację za jej domniemane związki z Rosją. Odwołują się do wizyt Korwin-Mikkego na okupowanym przez Rosjan Krymie, na wywiad Krzysztofa Bosaka dla „Sputnika". Przywołują raport węgierskiego think-tanku z 2016 r., gdzie działający obecnie w Konfederacji Bosak, Witold Tumanowicz i Robert Winnicki są wymienieni jako „narzędzia Kremla". Przywołują kandydatkę Konfederacji Lilię Moszechkową, która była na Krymie razem z Korwin-Mikkem, przychylnie wypowiadała się o Donieckiej Republice Ludowej.

eprasa.pl 24062b618d

TRZY DANIA FIRMOWE

Na tle wielkiej wojny Koalicji Europejskiej z PiS i lokalnej wojny Konfederacji z PiS, pozostałe trzy ugrupowania liczące się w eurowyborach są mniej widoczne. Paweł Kukiz stwierdził, że jego ruch chce być w europarlamencie, gdyż „nie może być tak, że Europę trzyma w garści Komisja Europejska, która tak naprawdę służy interesom dwóch państw, takiemu swoistemu małżeństwu Macrona z Angelą Merkel". Także na europejskim forum Kukiz zapowiedział „walkę z establishmentem". Chodzi o to, „by władza nie była władzą, nie zachowywała się w sposób władczy, ale była naszymi zarządcami, zatrudnionymi przez nas pracownikami". Lider Kukiz'15 uważa, że trzeba chodzić na wybory, także europejskie, gdyż „poza wyborami Polacy nie mają żadnego realnego wpływu na władzę". Kukiz'15 ma też własną receptę na roszczenia związane z ustawą 447. Poseł Tomasz Rzymkowski, stojąc 2 maja przed Białym Domem, przedstawił projekt ustawy, która zakazuje podejmowania jakichkolwiek działań prowadzących do zaspokojenia roszczeń odnoszących się do tzw. mienia bezdziedzicznego. „Chcę wprowadzić do polskiego porządku prawnego przestępstwo polegające na próbie wymuszenia na Polsce środków finansowych" – mówił w Waszyngtonie Rzymkowski. Projekt wyklucza z polskiego porządku prawnego kwestię tzw. mienia bezspadkowego. W razie wystąpienia wobec Polski z roszczeniami w sprawie takiego mienia Prokuratura Generalna poinformuje stosowne podmioty, że to bezpodstawne. Za podjęcie prób zadośćuczynienia takim roszczeniom groziłaby kara do pięciu lat więzienia.

Wiosna Roberta Biedronia chce wejść do europarlamentu, gdyż „nadszedł najwyższy czas, żeby zainwestować w człowieka. Żebyśmy byli równi i prawdziwie wolni, musimy wszyscy zacząć godnie zarabiać, w każdym zawodzie bez wyjątku". Wiosna proponuje podwyższenie płacy minimalnej do co najmniej 2,7 tys. zł, najniższej emerytury do 1,6 tys. zł i 3,5 tys. zł na start dla początkującego nauczyciela. Poza podwyżkami w budżetówce partia Biedronia będzie walczyć w Brukseli, Strasburgu i Warszawie o prawo do urlopu dla wszystkich pracowników, w tym na tzw. umowach śmieciowych, i wsparcie na rynku pracy dla kobiet. Wanda Nowicka, jedynka Wiosny w Kujawsko-Pomorskiem, mówiła, że skoro 44 proc. kobiet ma wyższe wykształcenie, a wśród mężczyzn tylko 27 proc., to nie może być tak, że tylko 45 proc. Polek jest zatrudnionych, a mężczyzn – 62 proc., a jak już kobiety pracują, zarabiają ok. 20 proc. mniej niż mężczyźni, czyli średnio 700 zł brutto mniej.

Adrian Zandberg z koalicji Lewica Razem (jedynka w Warszawie) domaga się, aby wszystkie ugrupowania startujące w eurowyborach przyjęły Pakt dla Pracowników. Obejmuje on likwidację umów śmieciowych, wprowadzenie europejskiej pensji minimalnej, która miałaby zapewnić, że „polskie płace będą szybciej gonić Zachód", odmrożenie płac i podwyżki w całej budżetówce, powiązanie wysokości kar za łamanie prawa pracy z obrotami firm. „Wprowadźmy zasadę, że kary za łamanie prawa pracy nalicza się od obrotów firmy" – mówił Zandberg. Propozycje programowe na eurowybory uzupełniła Julia Zimmermann z komitetu Lewica Razem: „Dziś wiele osób staje przed dylematem: wykupić zalecone przez lekarza leki czy jedzenie. Trzeba to zmienić. Chcemy wziąć przykład z innych krajów europejskich, takich jak Holandia. Proponujemy prostą zasadę: jeśli lekarz przepisuje lek na receptę, to ten lek powinien być bezpłatny".

Najcięższe armaty ideologiczne wytaczają w kampanii do europarlamentu Koalicja Europejska i Konfederacja. PiS stara się w wojny ideologiczne i kulturowe nie wchodzić. A Kukiz'15, Wiosna i Lewica Razem w kampanii prezentują to, co na co dzień, czyli starają się nie włączać w wielką wojnę Koalicji Europejskiej z PiS, bo uważają, że nie można na tym nic zyskać. Czy wszystkie sześć ogólnopolskich list (komitetów) skorzysta na historycznej szczupłości konkurentów? Wiele na to wskazuje.

Fot. Shutterstock, Andrzej Wiktor x3, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 24062b618d

MARZENA NYKIEL

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Antyklerykalizm środkiem do zdobycia władzy

Nie udało się aktywistom LGBT wśliznąć do Kościoła ze swoją homopropagandą, więc wdarli się do niego siłą. Profanacje mają zadziałać szokowo i raz na zawsze przesunąć granice, zawłaszczyć symbole, przemianować pojęcia. Lewicowa wojna kulturowa wkracza w kluczowy etap, a polska opozycja wykorzystuje ją do własnych celów – politycznej walki z PiS

Matka Boża Jasnogórska w tęczowej aureoli – obrazoburcze obrazki rozklejone zostały w okolicy kościoła św. Maksymiliana w Płocku. Także w toalecie. Reakcja na ten skandaliczny cios w święty dla katolików wizerunek była natychmiastowa. Sprzeciw wobec profanacji błyskawicznie zamanifestowali internauci, głos zabrały środowiska katolickie oraz politycy urażeni treścią prowokacji. Zareagował również szef MSWiA Joachim Brudziński, który określił wydarzenie mianem kulturowego barbarzyństwa i zapowiedział, że z urzędu zajmie się nim policja.

Niebawem okazało się, że za sprawą stoi działaczka totalnej opozycji Elżbieta Podleśna, znana już wcześniej z nagonkowych manifestacji wobec dziennikarzy TVP przed siedzibą „Wiadomości". I choć z formą jej zatrzymania (wizyta kilku policjantów w jej domu o 7 rano) trudno mi się zgodzić (można ją było najzwyczajniej wezwać na przesłuchanie), nie można było pozostać obojętnym na ten skandaliczny czyn. Do tak barbarzyńskich ataków nie posunięto się do tej pory w Polsce. Widać wyraźnie, że granica przesuwana jest z pełną premedytacją i z pełnym przyzwoleniem polityków totalnej opozycji. Czas powiedzieć to wprost: walka z Prawem i Sprawiedliwością przerodziła się w walkę z wszelkimi przejawami katolickiego i narodowego życia społecznego.

ODEBRAĆ ZAUFANIE

Prowokacja płocka nie była jednorazowym ani odosobnionym aktem agresji na Kościół. W strategię wpisuje się wiele antyklerykalnych działań mających uruchomić w opinii publicznej trwałe i automatyczne skojarzenie ksiądz pedofil. Celem jest odarcie Kościoła z autorytetu, odebranie mu zaufania wiernych, wykluczenie go z publicznej debaty i maksymalne osłabienie jego pozycji.

eprasa.pl 24062b618d

Proces realizacji tych założeń trwa od lat, choć w ostatnim czasie znacznie przyspieszył. Środowiska homoseksualne i antyklerykalne weszły w zażyłą współpracę z partiami dążącymi do obalenia rządu Zjednoczonej Prawicy. Wspólnie protestują, manifestują i oskarżają. Aktywiści mówią i robią to, czego nie wypada powiedzieć ani zrobić politykom opozycji. Przykłady? Przemówienie Leszka Jażdżewskiego z „Liberté" na Uniwersytecie Warszawskim i profanacyjna prowokacja Elżbiety Podleśnej z Matką Bożą Częstochowską.

Środowiska homoseksualne i antyklerykalne weszły w zażyłą współpracę z partiami dążącymi do obalenia rządu Zjednoczonej Prawicy. Wspólnie protestują, manifestują i oskarżają

MANIFESTACJA NA UNIWERSYTECIE

Wystąpienie Leszka Jażdżewskiego na Uniwersytecie Warszawskim, poprzedzające wykład Donalda Tuska, nie było przypadkowe. Ktoś wpadł na ten pomysł, skrzętnie go zrealizował, napisał przemówienie, które Jażdżewski z płomienną namiętnością wygłosił. Ktoś bił brawo, ktoś gratulował, ktoś tej hucpy bronił. Padły słowa, które do cna obnażyły prawdziwe intencje i cele totalnej opozycji. Wydarzenie to zweryfikowało też postawę „intelektualnych elit" zgromadzonych wokół Koalicji Europejskiej. Liderzy PSL, śpiewający swoim wyborcom „Rotę", nawet nie mrugnęli, gdy łżono Kościół. Dzień później, gdy dostrzegli potężne oburzenie społeczne, próbowali wprawdzie tuszować swój błąd, ale odruch w chwili zdarzenia był niezwykle wymowny.

Jażdżewski otrzymał burzę oklasków po wygłoszeniu skrajnie antyklerykalnego manifestu. „Kościół katolicki w Polsce obciążony niewyjaśnionymi skandalami pedofilskimi, opętany walką o pieniądze i o wpływy stracił moralny mandat do tego, aby sprawować funkcję sumienia narodu. Ten, kto szuka transcendentu, Absolutu w Kościele, będzie zawiedziony. Ten, kto szuka moralności w Kościele, nie znajdzie jej. Ten, kto szuka strawy duchowej w Kościele, wyjdzie głodny. Polski Kościół zaparł się Ewangelii, zaparł się Chrystusa i gdyby dzisiaj Chrystus był ponownie ukrzyżowany, to prawdopodobnie przez tych, którzy używają krzyża jako pałki do tego, aby zaganiać pokorne owieczki do zagrody" – perorował redaktor naczelny „Liberté", porównując z lubością ludzi Kościoła do świń.

Wypełniona ludźmi po brzegi sala szalała ze szczęścia. Antyklerykalna manifestacja najwyraźniej przypadła zgormadzonym do gustu. Jak widać, jest spore grono zwolenników Polski opartej na antywartościach i antykatolickiej pseudowolności. Nie ma najmniejszych wątpliwości, w którą stronę podąży Koalicja Europejska, jeśli zdoła wrócić do władzy. Nie ma też wątpliwości, że PSL nie będzie próbowało powstrzymać antyklerykałów przed ateizacją państwa. A deklaracje są coraz wyraźniejsze.

Leszek Jażdżewski nie pojawił się na Uniwersytecie Warszawskim przypadkowo. Jego support był przemyślany i celowy. Warto przypomnieć, że naczelny „Liberté" kilka lat temu rozpoczął swój antyklerykalny bój o „świecką szkołę". Na pierwszych spotkaniach koncepcyjnych Jażdżewski przekonywał, że jeśli uda się zablokować finansowanie lekcji religii w szkołach, „wszystkie inne problemy rozwiążą się później same". Ostrzegał też, że nie można jednak mówić wprost o zbieraniu podpisów pod projektem wycofania religii ze szkół, ale podejść do sprawy chytrze – zaangażować w akcję środowiska katolickie. „Dostałem taką niebezpośrednią informację, że »Tygodnik Powszechny« jest zainteresowany, żeby zrobić z nami jakąś debatę w Krakowie" – mówił Jażdżewski na jednym z pierwszych spotkań organizacyjnych w 2015 r. Inni członkowie sugerowali, żeby udać się po wsparcie do Klubów Inteligencji Katolickiej, aby stworzyć „wrażenie akcji szerokiej, a nie antykościelnej". (Ciekawe, że dziś, kiedy zdecydowana większość środowisk katolickich protestuje przeciwko profanacji obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, niektórzy przedstawiciele KIK i „TP" jej bronią).

Dziś Jażdżewski doceniony został przez Koalicję Europejską. Doceniony do tego stopnia, że poproszono go o wygłoszenie manifestu tuż przed wystąpieniem Donalda Tuska. To ważny sygnał. Donald Tusk nie odciął się od niego, ani przejmując bezpośrednio po nim głos, ani kilka dni później na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Co więcej, nie tylko nie skrytykował prowokacji Elżbiety Podleśnej z Matką Bożą, lecz ją usprawiedliwił, podniósł do rangi sztuki i zrównał z dziełem Hansa Memlinga. „Matka Boska z tęczą w tle. Jako gdańszczanin mam okazję obcować od urodzenia z podobnymi dziełami. Jedno z nich wisi w kościele Mariackim. To kopia obrazu Hansa Memlinga »Sąd Ostateczny«. W centrum obrazu jest postać Chrystusa, a w tle wielka tęcza" – stwierdził Tusk zupełnie serio w swoim uniwersyteckim przemówieniu.

PRZYZWOLENIE NA AGRESJĘ

Skąd takie jawne i totalne przyzwolenie na antyklerykalizm? Politycy opozycji z Donaldem Tuskiem na czele ewidentnie przykładają rękę do coraz brutalniejszego atakowania Kościoła. Granica przesuwana jest coraz bardziej, a podłoże ciągłych oskarżeń wykorzystywane do wzmacniania antyreligijnej agresji.

Sfrustrowani politycy opozycji, zamiast stawiać tamę, zachęcają do rozrób. Walka z PiS przerodziła się w walkę z wszelkimi przejawami katolickiego i narodowego życia społecznego. Naturalną tego konsekwencją jest polityczne przyzwolenie na profanację i agresję. Będzie coraz brutalniej. W imię wolności będą mieszać sacrum z profanum i prawdę z kłamstwem, ale jeszcze bardziej bezwzględnie niż dotąd.

Ten bój wygrać można tylko zdecydowaną obroną katolickich wartości i jednoznacznością.

eprasa.pl 24062b618d

Fot. M. Lasyk/REPORTER

Piątek na orbicie

Już po nas. Polską włada sitwa na wszelkie sposoby powiązana z Kremlem. Może nawet jest gorzej niż w czasach Gomułki i Breżniewa. Taki obraz wyłania się z nowej książki „Morawiecki i jego tajemnice" Tomasza Piątka, który walczy o światową palmę pierwszeństwa w kategorii najbardziej nieprawdopodobnych teorii spiskowych

MAREK PYZA

Dzieło rozpoczynają trzy „mapy powiązań", których ofiarą mógłby paść dosłownie każdy polityk. Bo każdy zna kogoś, kto zna kogoś, kto kiedyś z kimś rozmawiał, kto prowadzi jakieś interesy i z tego powodu kiedyś z kimś się spotkał itd. Grafiki te zrobiły karierę w sieci, zanim książka ukazała się na rynku. Są przerabiane na różne sposoby i dostarczają internautom wielu uciech.

Wystarczy spojrzeć na te rysunki – koniecznie wraz z legendami! – by się zorientować, z jaką fantastyką mamy do czynienia. I można by na tym poprzestać, ale skoro Piątek tak się napracował, by na 360 stronach pofantazjować o związkach premiera z Moskwą, to poświęćmy parę chwil i zajrzyjmy głębiej do tej publikacji.

ROSYJSKIE OBSESJE

Na przystawkę dostajemy zajmującą kilkadziesiąt stron analizę, powiedzmy, politologiczno-śledczą, która daje jasny sygnał, dla kogo i po co Piątek pisze. Chodzi nie tylko o zarobienie kolejnych kilkudziesięciu tysięcy złotych (to honorarium, które może otrzymać, jeśli jego nowe „dzieło" powtórzy rynkowy sukces poprzednich), lecz o przyłożenie na finiszu kampanii wyborczej obozowi rządzącemu. O podtrzymanie antypisowskiego ducha w najtwardszych wyznawcach totalnej opozycji. Fakty i ich analiza mają tu znaczenie drugorzędne. Ma się coś przykleić, mają być kolportowane graficzki z „mapą powiązań", ma pozostać wrażenie, że Morawiecki (a wraz z nim i Kaczyński) mają za uszami grube sprawy i z daleka pachną Moskwą. A że

eprasa.pl 24062b618d

żaden z czytelników nie będzie potrafił powiedzieć – nawet gdy ostygną wypieki na jego licu – jakie konkretnie zarzuty ma Piątek do Morawieckiego... Nie o to przecież tu chodzi.

Piątek zwraca się do tej części elektoratu najeżonego na PiS, która charakteryzuje się młodością i słabym oczytaniem. W przeciwnym razie po co miałby wyjaśniać, czym była Służba Bezpieczeństwa lub kim był Bolesław Bierut? Ale przede wszystkim do ludzi lubujących się w teoriach spiskowych. A te – jak wiadomo – polegają nie na przedstawieniu klarownych dowodów, lecz na manipulacjach, sklejaniu na siłę niespajających się faktów.

Przykład jeden z wielu: skoro jednym z elementów łączących Morawieckiego z Kremlem ma być były szef partii Zmiana Mateusz Piskorski, to przypomnijmy sobie, od kiedy siedzi on w areszcie (m.in. za szpiegostwo na rzecz Rosji). Czy nie od maja 2016 r., gdy rządziło już PiS, a Morawiecki był wicepremierem?

Nielogiczne, nieprawdopodobne. Ale to Piątkowi nie przeszkadza. Ważniejsza jest narracja. W zasadzie cała książka to publicystyczna hucpa, naszpikowana koglem-moglem dat, cytatów, liczb.

Stwierdza on, że Polska jest na ścieżce Wenezueli, że społeczeństwo jest przekupywane „przez agresywnych, wspieranych przez Kreml populistów". Przestrzega, że jeśli sprawy w Polsce nadal będą szły w takim kierunku, niebawem „(...) niczego nie będziemy mogli być pewni. Ani tego, że w sklepie będzie ser, ani tego, że policjant nie połamie nam kończyn bezkarnie". „Rząd, który rządzi z łaski Putina, będzie skazany na sojusz z Putinem" – konstatuje.

Dowiadujemy się, że zagraniczni turyści przestają przyjeżdżać do Polski na wakacje, że biznes przestaje u nas inwestować. I że w latach 2015–2019 dokonało się „wielkie przesunięcie geopolityczne" Polski, naderwano więź z Europą Zachodnią i staczamy się na Wschód – „ku Kremlowi i Putinowi, ku postsowieckim tyraniom".

Mało? „Kierownictwo PiS wie, że jedynym naturalnym otoczeniem dla pisowskiej Polski jest postsowiecki lub zsowietyzowany Wschód. I dlatego bez skrupułów przeciąga nasz kraj w stronę Kremla. Mateusz Morawiecki odgrywa w tym wszystkim kluczową rolę". Gdzie indziej jest mowa o „wspólnym gwałcie [Kaczyńskiego i Morawieckiego – przyp. red.] podstawowych standardów demokratycznego państwa prawa i cywilizacji zachodniej".

Jak widać, fantazje Piątka są ubrane w mało finezyjny język, łopatologiczny, prostacki. Z każdej strony wyziera niskich lotów publicystyka, garściami czerpiąca z najbardziej tandetnych kalek pojawiających się w naszej debacie publicznej. Z dziennikarstwem śledczym nie ma to wiele wspólnego. Zresztą wystarczy przejrzeć bibliografię książki. Z blisko 600 pozycji zdecydowana większość to ogólnodostępne źródła internetowe.

JAK MORAWIECKI TAŚMY NAGRYWAŁ

Piątek nie ma wątpliwości, że podsłuchiwanie elit polityczno-biznesowych w czasie rządów PO-PSL było zorganizowane przez Rosjan, by pokarać rząd Platformy za wsparcie dla Ukrainy. Jednym z wykonawców tej operacji czyni byłego senatora PO (i znajomego Morawieckiego) Tomasza Misiaka. Stawia tezę, że w 2014 r. przy publikacjach o aferze oszczędzono Morawieckiego, bo ktoś, kto podsuwał taśmy, wiedział już, że będzie on premierem.

Utyskuje, że nagrania z Sowy & Przyjaciół pozbawiły Platformę władzy, choć nie było w nich niczego zdrożnego. Ale niewdzięczni Polacy dali się nabrać, bo „nieprzerwany wzrost gospodarczy już nie cieszył". Pisząc o skutkach afery, używa języka znanego od polityków totalnej opozycji („szeregowy poseł Jarosław Kaczyński rządzi Polską"). Bałamutnie porównuje koszty luksusów władzy – ośmiorniczki u Sowy za 800 zł zestawia z jakimiś miliardami wydawanymi przez PiS. Irytuje się, że dopiero w 2018 r. poznaliśmy nagranie z udziałem Morawieckiego. Do jego fragmentów wraca wielokrotnie, przekłamując zresztą sens słów byłego prezesa BZ WBK.

Wreszcie stawia pytanie o to, czy Morawiecki miał jakiś związek z organizacją operacji podsłuchowej u Sowy? Można zapytać: gdzie są granice obłędu? Piątek plecie swoje tezy z poszarpanych nitek, które nijak się nie łączą. Do bębna maszyny losującej wrzucamy kilka dowolnych faktów na temat dowolnych osób, a urządzenie Piątka wypluwa wniosek wiążący je z największymi przestępcami, dyktatorami, spiskami. Od znajomego premiera szybciutko przechodzi do biznesów mafii sołncewskiej inspirowanej przez GRU, działającej za aprobatą Kremla.

„W mojej książce przedstawiam twarde dowody na to, że istniała relacja między Markiem Falentą [skazanym na dwa i pół roku więzienia za zlecenie nielegalnego nagrywania polityków i biznesmenów – przyp. red.] a Mateuszem Morawieckim" – mówił przed kilkoma dniami w jednym z wywiadów. Zerknijmy więc na stronę 76. To tu zaczyna się rozdział łączący premiera z właścicielem spółki Hawe. Co znajdujemy? Porażający opis... bezradności autora, który dzieli się zerowymi efektami swojego długiego poszukiwania wspólnego zdjęcia obu panów. Wniosek? „Zdjęć, przynajmniej na razie, nie ma. Czyżby trafiły do Moskwy?". A może na ISS (tam też są Rosjanie), albo jeszcze dalej, ku bezkresowi przestrzeni kosmicznej...

NA PASKU SB

Piątek przekonuje też czytelnika, że szef KPRM Michał Dworczyk to „zwornik między dwoma prorosyjskimi elementami pisowskiej elity" (środowiskiem Morawieckiego i Macierewicza). A w dodatku „promuje antydemokratyczny, antyzachodni kult »żołnierzy wyklętych«". Takiego określenia na pamięć o bohaterach powojennego podziemia jeszcze chyba nie mieliśmy...

Szef rządu miał według Piątka wspierać powstanie Kukiz'15, a zatem już wtedy mocno zaangażował się w wielkie przesunięcie Polski na Wschód (bo takie wszak cele autor przypisuje ruchowi Pawła Kukiza).

Mamy również przemyślenia, jakoby rozmowy Morawieckiego z Aleksandrem Łukaszenką w 2016 r. miały na celu nie tylko ominięcie przez Polskę rosyjskich sankcji gospodarczych, lecz też unieszkodliwienie działania sankcji unijnych nałożonych na Rosję. A co za tym idzie – zniszczenie zachodniego planu zmuszenia Putina do zaniechania agresji

eprasa.pl 24062b618d

na Ukrainie. Właśnie tak – to Morawiecki z Łukaszenką są odpowiedzialni za to, że Krym wciąż jest w rękach rosyjskich.

Po 239 stronach lektury autor wreszcie puentuje swoje śledztwo w sprawie Morawieckiego juniora, by za chwilę zająć się seniorem. Czytamy: „Jak widać, dobrze jest zbadać ścieżkę kariery polityka pod względem geopolitycznego charakteru jego działań i powiązań. W przypadku Mateusza Morawieckiego ta ścieżka zaczyna nam odsłaniać swój kierunek i cel. Jednak wciąż jeszcze nie wiemy, co było główną motywacją, która prowadziła Morawieckiego po tej ścieżce coraz wyżej – i coraz bliżej Moskwy". I tak do znudzenia.

Dowiadujemy się także, że Mateusz Morawiecki mógł w latach 80. współpracować z SB. Dowody? Brak (trudno uznać za nie samo zarejestrowanie młodego działacza Solidarności Walczącej jako osoby zabezpieczonej, bo ta kategoria w esbeckiej nomenklaturze nie definiowała powodów zainteresowania człowiekiem). To wciąż fantasmagorie Piątka.

> Gdyby chcieć się rozprawić ze wszystkimi manipulacjami zawartymi w „Morawieckim i jego tajemnicach", trzeba by napisać kolejną książkę, bo na niemal „co drugiej stronie" znajdujemy coś, co nie trzyma się kupy

Gdzie indziej autor kreśli rys psychologiczny premiera i snuje wywody, według których niełatwe dzieciństwo i relacje z ojcem są powodami dzisiejszej gestykulacji szefa rządu czy jego „sztywności". On, Tomasz Piątek, nam to mówi. Od siebie. Bo wie.

Co zaś tyczy się Kornela Morawieckiego, to już nikt nie powinien mieć wątpliwości – jego Solidarność Walczącą nie tylko infiltrowało KGB, lecz była ona niemalże przybudówką SB. Kornel promował esbeckich agentów, osłabiał antykomunistyczne podziemie. I tym podobne, i tak dalej, coraz gęstsza plątanina wizji bliższych twórczości Aldousa Huxleya niż rzetelnemu spojrzeniu na najnowszą historię Polski.

PRZEPIS NA SKANDAL

Pamiętam autobiograficzną „Heroinę", debiut literacki Tomasza Piątka sprzed 17 lat. To lektura miejscami wstrząsająca, miejscami obrzydliwa, miejscami nudnawa. Nie zachęciła mnie do sięgania po kolejne jego powieści. Literacko nic wybitnego, ale gdyby Piątek powrócił do tej tematyki i przestrzegał przed narkotykami, przynajmniej zrobiłby dla Polski i świata coś pożytecznego. A tak dorobił się pozycji specjalisty od publikacji spiskowych, najbardziej zuchwałego pozowania political fiction na literaturę śledczą.

Nawet gdyby Mateusz Morawiecki miał coś na sumieniu, gdyby można było na którymkolwiek etapie jego działalności publicznej czy biznesowej doszukać się nieprawidłowości, książka Piątka skutecznie by je neutralizowała, a wręcz ośmieszała, bo nie sposób traktować poważnie tej publikacji.

A to, że stała się przedmiotem jakiejkolwiek debaty (podobnie jak jego poprzednie, pisane według tego samego schematu, „dzieła" poświęcone Antoniemu Macierewiczowi), pokazuje tylko, w jakich szuwarach ma się odbywać w Polsce spór polityczny. Ci, którzy serio traktują najnowszą książkę autora „Heroiny", wynoszą debatę publiczną na tytułową orbitę.

Gdyby chcieć się rozprawić ze wszystkimi manipulacjami zawartymi w „Morawieckim i jego tajemnicach", trzeba by napisać kolejną książkę, bo niemal na „co drugiej stronie" znajdujemy coś, co nie trzyma się kupy. Zapewne stanie się to na sali sądowej, przy okazji procesów, które czekają autora. Jeden z bohaterów publikacji już takowy zapowiedział. „Bardzo miło, panie Tomaszu, szkoda, że wykazał się pan szczytem braku profesjonalizmu. Rozumiem, że te maile z pytaniami o pana Falentę dotyczyły pana urojeń w sprawie mojej osoby? Przykre, że z chęci zysku stracił pan jakąkolwiek wiarygodność. Do zobaczenia na sali sądowej" – napisał Tomasz Misiak w jednym z tweetów i zapowiedział proces cywilny i ściganie karne autora książki.

Możliwe, że honoraria, które Piątek otrzymał i otrzyma za książki o Macierewiczu i Morawieckim, nie wystarczą na odszkodowania dla pomawianych w nich ludzi.

A sam autor robi wiele, by do tego doszło. W rozmowie z naTemat.pl wypalił: „Mateusz Morawiecki jest powiązany z organizatorami afery taśmowej z 2014 r., czyli z tzw. mafią sołncewską (rosyjską organizacją przestępczą stworzoną przez kremlowskie służby, która działa też w Polsce i na Zachodzie). W latach 80. ojciec premiera, założyciel podziemnej Solidarności Walczącej, chroniony był przez komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa". O książce ma być głośno, ma towarzyszyć jej aura skandalu. Bez jakichkolwiek dowodów autor rzuca najcięższe oskarżenia wobec najważniejszych ludzi w państwie, pozując na jedynego odważnego. Może znów otrzyma jakąś nagrodę od niemieckiej fundacji za walkę z panującym w Polsce reżimem (tak było po publikacji o szefie MON)?

Co będzie dalej? Czy przed wyborami prezydenckimi Tomasz Piątek wyda książkę „Donald Tusk i jego tajemnice"? Nie musiałby nawet specjalnie popuszczać wodzy fantazji, wystarczyłoby wspomnieć prorosyjskie działania byłego premiera (i jego wicepremiera Pawlaka) na niwie dyplomacji, energetyki i oczywiście wokół katastrofy smoleńskiej, by zebrać materiał do kilku książek. Ale to mało wyobrażalne. Bardziej prawdopodobne, że Piątek wybierze trudniejszy sposób zarobienia pieniędzy i zaproponuje na rok 2020 np. „Tajemnice Andrzeja Dudy".

On bowiem kuje po takiej właśnie linii, jak by powiedział pisarz Sofronow, ulubiony autor Stanisława Anioła.

Kończę nawiązaniem do Barei, bo właśnie Bareją zalatuje Piątek. Choć on sam tego nie dostrzega.

Autopromocja

eprasa.pl 24062b618d

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem

koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

~~463,80 zł~~

40% TANIEJ

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**,
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70

Wybrałem „House of Cards”

Polityka przypomina często „closingi”, jakie poznałem w kancelarii prawniczej, gdzie przez kilka dni trwało domykanie projektów, co przekładało się na pracę po 13–14 godzin dziennie – mówi ***Sebastian Kaleta***, członek komisji weryfikacyjnej, kandydat w wyborach do Parlamentu Europejskiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Jaka średnia była na dyplomie z prawa?

Sebastian Kaleta: Z tego, co pamiętam, to 4,8, dyplom z wyróżnieniem.

Znaczy się kujon. Jakie były plany na przyszłość?

Przez kilka lat, zaczynając jeszcze na studiach, pracowałem w dużej, renomowanej kancelarii. To był mój świat.

Nie ciągnął cię ten świat? Pieniądze, znaczenie, dobre garnitury. Dzisiaj biegasz z ulotkami po mieście.

Jeśli chodzi o pieniądze, to przechodząc z kancelarii do Ministerstwa Sprawiedliwości, musiałem się pogodzić z obniżką pensji i poczuciem, że muszę od nowa zapracować na własną pozycję. Ale to też pytanie o to, kto jakie ma cele w życiu. Równolegle z pracą w kancelarii działałem społecznie w stowarzyszeniu Młodzi dla Polski. Bardzo mnie ta działalność wciągała, dlatego podjąłem decyzję, by zaangażować się w życie publiczne na tzw. cały etat.

A może po prostu nie dałeś sobie rady w kancelarii, odbiłeś się od świata prawników i dzisiaj będąc w polityce, dorabiasz teorię?

Sam wskazałeś, że należałem raczej do orłów na studiach (śmiech), byłem na aplikacji radcowskiej (później ją skończyłem), miałem pewną, perspektywiczną pracę. Zajmowałem się obsługą firm, procesem przejmowania spółek, ich organizacji. To było ciekawe, ale bardziej pociągało mnie życie publiczne, polityka. Kiedy dostałem propozycję z ministerstwa, poszedłem do swojego szefa z pytaniem, co myśli o zmianie mojej ścieżki kariery. Odpowiedź nie ułatwiła mi zadania: „Jesteś potrzebny w kancelarii, ale musisz odpowiedzieć sobie na pytanie, jak będziesz się czuł za kilka lat, jeśli z takiej propozycji nie skorzystasz”. Czasem trzeba się rzucić na głęboką wodę. A powrót do świata prawniczego jest przecież otwarty.

Nie jest to podróż w jedną stronę?

W przypadku prawników nie, wszyscy znamy wiele przykładów. (śmiech)

Łatki prawnika od Ziobry, żyranta tzw. dobrej zmiany w sądownictwie, się nie pozbędziesz.

Mam to szczęście, że nie muszę niczego udawać, bo jestem w obozie politycznym, z którego kierunkami jest mi po drodze. Jednak jeśli kiedyś przygoda z polityką miałaby się zakończyć, mam zawód, który lubię i mogę wykonywać. Nie myślę o tym, czas szybko ucieka, a reform do wprowadzenia i spraw z przeszłości do wyjaśnienia jest dużo.

Do tych reform jeszcze wrócimy. Pytam o to, czy czasem wybór polityki zamiast kancelarii nie jest drogą na skróty, a nie skokiem na głęboką wodę?

eprasa.pl 24062b618d

W przypadku młodych ludzi zawsze jest pytanie, czy to czasem nie droga na skróty. Ale jeśli spojrzeć na moje życie w ciągu ostatnich czterech lat, jeśli spojrzeć na tryb pracy, godziny wyjścia i powrotu do domu... Przypomina to zresztą „closingi", jakie poznałem w kancelarii prawniczej, gdzie przez kilka dni trwało domykanie projektów, co przekładało się na pracę po 13–14 godzin dziennie. I tak to wygląda w polityce, niemal każdego dnia. Zresztą co tam ja, moja żona powiedziałaby, że wolałaby mnie częściej widzieć w domu.

No dobrze, ale z jakiegoś powodu zamieniłeś prawniczy serial „Suits" na polską wersję „House of Cards".

Ani praca w kancelarii nie wygląda jak „Suits", ani życie polityka jak w „House of Cards". (śmiech) Chociaż niektóre elementy się pokrywają: wysokie wieżowce, praca do późnej nocy, nerwowe negocjacje... W każdym zawodzie odczucie młodej osoby jest podobne: czy to w polityce, prawie czy mediach – trzeba wyciąć sobie swoje miejsce ciężką pracą.

Wracam do pytania, dlaczego polityka? Z przypadku?

I w czasie studiów, i jeszcze przed nimi, angażowałem się w wiele spraw społecznych, publicznych. Na pewnym etapie, kończąc studia, a zaczynając pracę zawodową w kancelarii, powołaliśmy Młodych dla Polski, uruchomiliśmy masę projektów, spotkań. A kiedy przyszedł rok 2015 i zwycięstwo PiS, to ministrowie Ziobro i Jaki poszukiwali współpracowników wśród młodych prawników. Padło m.in. na mnie...

Znasz środowisko prawników na wylot: jako student, pracownik w kancelarii, później w randze ministra. Jak duży procent prawników jest przeciwny temu, co się dzieje za sprawą Zbigniewa Ziobry?

Trudno mówić o konkretnych procentach, ale na pewno nie jest tak, że prawnicy, którzy popierają nasze zmiany lub widzą ich zgodność z prawem, stanowią margines. Niestety, ale w naszych sporach z opozycją prawo stało się dziedziną, w której poglądy polityczne często determinują ocenę prawną. Gdy widziałem autorytety prawnicze, ludzi, którzy powinni dostrzegać niuanse w zakresie tego, co zrobiono w Trybunale Konstytucyjnym na początku sporu, to przecierałem oczy ze zdumienia. Z pełną powagą profesorowie prawa mówili, że można wydać orzeczenie niezgodnie z procedurą. Kiedy prof. Kamil Zaradkiewicz nazwał rzeczy po imieniu, to spotkał go niebywały środowiskowy ostracyzm, włącznie z utratą pracy.

Ale jeśli większość twoich wykładowców jest nastawiona krytycznie do zmian Ziobry, jeśli kolejne wydziały prawa, rady adwokackie, uznani prawnicy zwracają uwagę, że idzie to w kierunku łamania praworządności, to nie miałeś myśli, że to ty się mylisz? Że jak ci nie jedna, ale trzysta jeden osób mówi – jesteś chory, to idziesz do łóżka?

Każdy ma swój rozum. Jeśli mówimy o praworządności w UE, to opowiem anegdotę. Na zajęciach z prawa konstytucyjnego jedna z szanowanych wykładowczyń na Uniwersytecie Warszawskim mówiła nam, że gdy prawnik nie wie,

Fot. Andrzej Wiktor

jaki postawić zarzut naruszenia konstytucji, to powołuje się na zasadę demokratycznego państwa prawnego. Przypomniałem sobie te zajęcia z drugiego roku studiów w środku politycznej awantury, bo opozycja w zasadzie w każdym przypadku odmienia to sformułowanie. Pójdźmy dalej – jeśli mówimy, że wszystkie państwa UE są równe, to jak to możliwe, że w Niemczech sędziowie są wybierani przez polityków? Bo mają lepszą kulturę polityczną, jak kiedyś usłyszałem? I dlatego czuję się w tym zakresie nonkonformistą w stosunku do poglądów tzw. prawniczych elit, choć zawsze z tyłu głowy jest refleksja, czy mam prawo kwestionować tytuł naukowy moich dawnych wykładowców. Ale tytuł nie zawsze czyni autorytet w każdej sprawie.

A może to po prostu pycha? Młody adept prawa rozdaje razy i ciosy profesorom z doświadczeniem dłuższym niż całe jego życie.

Zawsze można myśleć o relacji mistrza i ucznia. Pytanie o to, czy uczeń ma prawo kwestionować poglądy mistrza, jest otwarte tak długo, jak istnieje filozofia. Jest jeszcze jedno bolesne zderzenie z rzeczywistością. Zajmuję się w ramach komisji weryfikacyjnej sprawą afery reprywatyzacyjnej w Warszawie – niemal wszystkie autorytety prawnicze przez lata nie widziały w tym niczego złego. Kamienice przejmowane na 120-latków? Deale na poziomie adwokatów, urzędników, często na podstawie absurdalnych postanowień sądów? I nic, zero reakcji!

Z tego, co mówisz, wynika, że w prawie każdy gra znaczonymi kartami.

Nie, ale w kilku płaszczyznach tak się niestety dzieje. Sam jestem zawsze gotowy dyskutować na argumenty.

eprasa.pl 24062b618d

To skąd te protesty w sądach?

Coraz mniejsze, polegające na tym, że część środowiska sędziowskiego paraduje w koszulkach z napisem „Konstytucja". Abstrahuję od ich poczucia godności zawodu...

...ale może właśnie to ich poczucie godności każe im dziś protestować, może to też jest pewnego rodzaju nonkonformizm?

Sędzia musi być apolityczny. Pewnych zachowań, jakie mogą powodować wątpliwości co do bezstronności, muszą unikać. Przywdziewając togę i łańcuch, sędziowie mają ograniczone pole prezentowania poglądów. Nikt nie broni im wybierać tej czy innej partii przy urnie wyborczej, ale nie mogą publicznie wspierać którejkolwiek ze stron.

Co zmieniło się z perspektywy czytelnika naszego tygodnika? Procesy ciągną się dalej, może nawet dłużej, sądy są tak samo dalekie, może nawet bardziej. Żonglerka nazwiskami to nie wszystko.

Wiele prac w resorcie, szczegółowych, organizacyjnych, nie jest tak atrakcyjnych z perspektywy mediów, ale są bardzo ważne. Ułatwiane procedury, losowanie sędziów, zakaz przenoszenia sędziów między wydziałami. Dotychczas prezes sądu wybierany przez ministra sprawiedliwości (tak, w czasach rządów PO ministrowie też powoływali prezesów sądów) mógł przerzucić sędziego, który orzekał 10 lat w wydziale karnym do innego wydziału, np. cywilnego.

> Czuję się nonkonformistą w stosunku do poglądów tzw. prawniczych elit, choć zawsze z tyłu głowy jest refleksja, czy mam prawo kwestionować tytuł naukowy moich dawnych wykładowców

Może to dobrze? Może czasem trzeba odświeżyć perspektywę takiemu sędziemu?

Tylko takie władztwo w rękach prezesa sądów rodzi pytania o możliwość wywierania nacisku na konkretnego sędziego. Jeśli jakiś sędzia wyda wyrok skazujący przeciwko lokalnemu establishmentowi, to następnego dnia mógł – ot tak, po prostu – trafić do wydziału cywilnego, bez słowa uzasadnienia. Dziś tego nie ma, mamy obiektywne przesłanki.

Zostawmy to. Ciebie też tak przerzucają jak tego sędziego: najpierw ministerstwo, później komisja, wybory samorządowe, teraz europejskie.

Lubię nowe zadania i wyzwania. Jeśli jest konkretna potrzeba, kierownictwo obozu politycznego decyduje, że

Fot. Andrzej Wiktor

mam się zająć czymś innym, a mi to odpowiada, to nie widzę problemu. Bo nasz obóz polityczny jest zespołem, który ma zmieniać kraj. Jeśli chodzi o aspekt wyborów do Parlamentu Europejskiego...

...to wiesz, że się nie dostaniesz. Ósme miejsce na liście nie jest biorące, arytmetyka polityczna jest bezwzględna. Szkoda zawracać głowę.

Arytmetyka i prawidła polityki są znane każdemu z nas, ale gdyby przyjąć założenie, że wybory wygrywa tylko jedynka, względnie dwójka z listy, to nie ma sensu zapełniać wszystkich dziesięciu miejsc. Dostałem zaproszenie na listy, gryzę trawę i walczę. Zresztą nie powinno się odmawiać oddania do dyspozycji wyborców.

Ale dopiero co to zrobiłeś! Nie dalej jak jesienią wyborcy w Warszawie dali ci mandat radnego na pięć długich lat. A ty po pięciu miesiącach szukasz wrażeń gdzie indziej i mówisz: „Dziękuję, chcę do Brukseli".

Jeśli już, to wyborcy mi podziękują za dotychczasową pracę i wyślą dalej. Pokazuję na sesjach rady miasta, że jestem gotowy reprezentować mieszkańców Warszawy, a dużo prawa jest przecież uchwalane właśnie w Parlamencie Europejskim.

Zaczęliśmy od uniwersytetu, to i na nim skończmy. Czy cała twoja przygoda polityczna nie zaczęła się od pewnego wykładu Jarosława Kaczyńskiego na UW? Zorganizowałeś to spotkanie.

Organizacja tego spotkania to temat na osobną rozmowę. Powiedzieć, że jako Młodzi dla Polski mieliśmy pod górkę, to nic nie powiedzieć.

Jak to? Widzimy w ostatnich dniach polityków, którzy bez problemu wygłaszają w uniwersyteckich aulach mocne, polityczne tezy.

Nie zawsze tak było. Nam wtedy odmówiono wynajmu sali z powodu... trwającej kampanii wyborczej, po niej wymuszono bardzo szczegółową moderację tego spotkania i wielką troskę o jego akademicki charakter... A dziś, gdy przyjeżdża na uniwersytet duet Tusk–Jażdżewski, to warunki okazują się niepotrzebne, wtórne, marginalne. To kolejny dowód na to, że bajania o apolityczności – w części środowiska prawniczego, jak i akademickiego – są po prostu fasadą.

48/0419/F

eprasa.pl 24062b618d

Czy uratujesz swój Kościół?

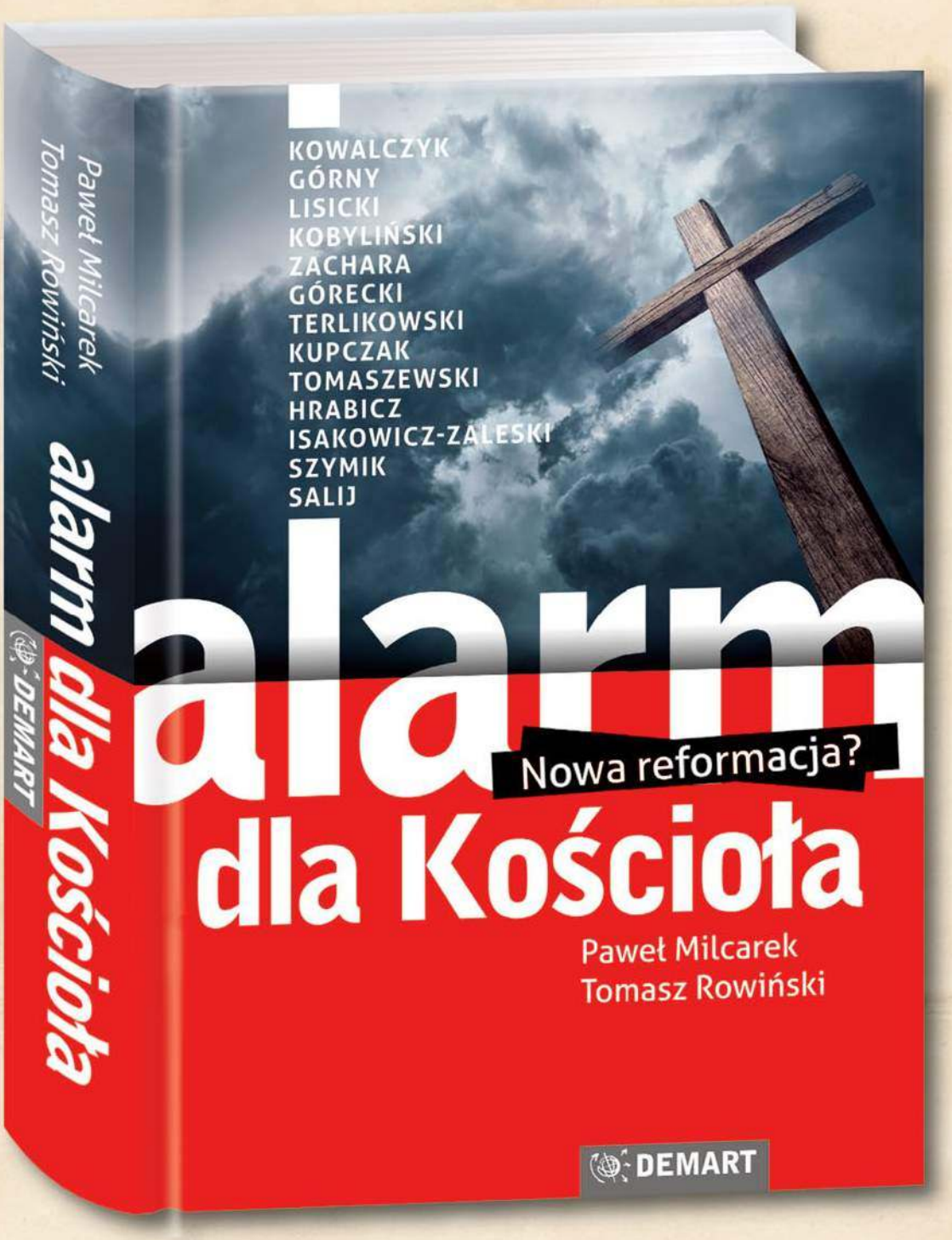

Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl

DEMART

eprasa.pl 24062b618d

P jak propaganda (totalitarna)

Dr Hanna Karp, medioznawca

Współczesna propaganda to jedna z najbardziej zinstytucjonalizowanych form komunikowania perswazyjnego. Jej kreatorzy to głównie rządy, partie polityczne, organizacje społeczno-polityczne, korporacje międzynarodowe, globalne imperia medialne oraz instytucje finansowe itp. Czy dziś współcześni zleceniodawcy i producenci przekazów medialnych czerpią z arsenału propagandy... totalitarnej i w jakim zakresie?

Warto pamiętać i przypominać słowa Hannah Arendt o totalitaryzmie, ostrzegające, że system ten objawia się stopniowo i dynamicznie. Dąży do całkowitej dominacji nad jednostką, by w efekcie zawładnąć światem. Czy to tylko przeszłość? A może odradzająca się siła o zdolnościach kameleona, przybierająca kolor otaczających dekoracji?

Warto także przypomnieć, czym w istocie jest propaganda totalitarna, by nie pozwolić sobie wmówić, że każda zdecydowana obrona świata własnych wartości to... faszyzm. Takim m.in. oskarżeniem propaganda stalinowska atakowała odrzucających na ziemiach polskich nowy sowiecki porządek. Podobne oskarżenia dziś unijna propaganda kieruje w stronę swoich oponentów. I niestety to niejedyna analogia eksperymentu, jakim jest Unia Europejska, do systemu opisywanego w tym alfabecie. Zobaczmy zatem...

Propaganda totalitarna oddziałuje na odbiorcę, by przekształcić jego świadomość w sytuacji monopolu jednej ideologii w sprzężeniu z potencjalnym terrorem. Funkcjonuje w systemie zamkniętym, czyli centralnie zarządzanej gospodarki i ścisłej kontroli państwa nad wszystkimi dziedzinami życia obywateli. Wszelkie wpływy propagandy obcej blokuje system państwowej cenzury, stanowiącej szczelny filtr na każdym etapie przepływu informacji.

Siła totalitarnej propagandy polega na odcinaniu społeczeństwa od realnego świata. Jedynie miejsca i tematy, których propaganda nie widzi lub których nie podejmuje publicznie, tzw. puste miejsca propagandy mogą być wolne od jej kłamstw. Ale i one ostatecznie, paradoksalnie służą jedynie uwiarygodnieniu reżymu.

W podobny sposób kreowano propagandę Polski Ludowej i PRL. Jej system medialny wytwarzał, reprodukował i multiplikował przekazy skierowane do poszczególnych audytoriów. Geneza środków komunikowania wskazuje na ich jednoznaczne funkcje. Miały na celu budowanie mentalnych centrów przemocy, skutkując sowietyzacją, sowiecką dominacją, kontrolą oraz inwigilacją całego społeczeństwa.

Kanały komunistycznej propagandy prowadzili lub raczej obsługiwali dziennikarze, pełniąc de facto zadanie funkcjonariuszy kreujących i zarazem realizujących, niejako z urzędu, model mentalnej i duchowej przemocy na usługach systemowego kłamstwa.

W klasycznym studium „Origins of Totalitarianism" („Korzenie totalitaryzmu") z 1951 r. Hannah Arendt przedstawiła totalitaryzm, obnażając jego „strukturalną tożsamość", w wydaniu zarówno sowieckim, jak i nazistowskim. Wedle Arendt totalitaryzm to efekt także ludzkich predyspozycji, to zdecydowanie coś więcej niż system społeczno-polityczny. Objawia się dynamicznie, dążąc do totalnej dominacji nad jednostką, by w efekcie dokonać globalnego podboju świata.

eprasa.pl 24062b618d

Charakteryzując totalitaryzm, Hannah Arendt za jego podstawową zasadę uznaje ideologię, a za istotę wszelki terror. Jako główne doświadczenie egzystencjalne jednostki w totalitaryzmie wymienia jej dojmujące poczucie „osamotnienia" i „zbędności". To co istotne w charakterystyce totalitaryzmu w ujęciu Arendt, to jego bezcelowy i antyutylitarny charakter. To droga do totalnej dominacji systemu nad człowiekiem, a jak udowadnia filozof – urzeczywistnieniem istoty totalitaryzmu jest obóz zagłady.

Według autorki „Korzeni totalitaryzmu" system totalny unicestwia jednostkę na trzech planach: 1. Zabija osobowość prawną (pojęcie winy i jej braku traci sens, bo człowiek i tak nie ma żadnych praw). 2. Zabija istotę moralną w człowieku (wraz z człowiekiem ginie pamięć o nim). 3. Zabija indywidualność i spontaniczność, redukuje istotę ludzką do organicznych reakcji na bodźce zewnętrzne.

Totalitaryzm jest odmienny od innych postaci politycznego ucisku, takich jak despotyzm, tyrania czy dyktatura. Wszędzie tam, gdzie zapuszcza korzenie, tworzy nowe instytucje polityczne, niszcząc wszystkie społeczne, prawne i polityczne tradycje kraju. Słabość totalitarnej propagandy wychodzi na jaw – zauważa Arendt – w chwili klęski i załamania sytemu. Wtedy jego zwolennicy natychmiast przestają wierzyć w dotychczasowe dogmaty, za które jeszcze przed chwilą byli gotowi eliminować innych.

W ustrojach totalitarnych propaganda zmienia się szybko w narzędzie uzależniania odbiorcy od nadawcy, w instrument zniewalania obywateli i utrwalania władzy reżymu, m.in. przez zacieranie różnicy między prawdą i fałszem, informacją obiektywną i narzuconą oceną. System dąży do zyskania panowania nad językiem i prowadzonym dyskursem. Zbigniew Herbert nazywał te procesy zapaścią semantyczną. Skutkują one utratą kontaktu społeczeństw z rzeczywistością.

Zobrazowaniem tego mechanizmu może być dewiza ministra oświecenia narodowego i propagandy III Rzeszy Josepha Goebbelsa: „Kłamstwo powtarzane tysiąc razy staje się prawdą". Goebbels wypracował własny rodzaj oddziaływania na wyobraźnię mas, warto będzie do jego opisu jeszcze w przyszłości wrócić. Siła i rozmach totalitaryzmu oddziałują na szeroko rozumiane masy, które pozyskuje się siłą propagandowych przekazów. W krajach totalitarnych propaganda i terror – jak zauważa Hannah Arendt – dwie strony tego samego medalu, towarzyszą jego obywatelom od początku po kres ich życia.

Rozwój propagandy w świecie Zachodu zaznaczył się w początkach XVIII w. wraz z rozwojem druku i masowego piśmiennictwa. Gustaw Le Bon w pracy „Psychologia tłumu" zauważył, że ograniczenia wolności, które były symptomatyczne zwłaszcza w systemie totalitarnym, objawiały się niezliczoną ilością przepisów, stale ograniczających zakres wolności, powiększając zakres władzy i wpływ urzędników. Urzędnicy z czasem zmieniali się w udzielnych władców. Stanowili stały element władzy wykonawczej. Ich potęga rosła, gdyż przy ciągłych zmianach rządów władza obawiała się przede wszystkim wytrawnych urzędników. Ponadto – jak pisze Le Bon – kasta urzędnicza nie odpowiada przed nikim, jest bezosobowa i nieprzemijająca (w tym kontekście samorzutnie przychodzi na myśl unijna biurokracja). Z kolei Elias Canetti w „Masie i władzy" opisywał cele władzy komunistycznej, realizowane z pomocą narzędzi propagandy. Uważał, że władzy chodzi przede wszystkim o przemianę niebezpiecznej masy w posłuszne stado albo wierną trzodę owieczek.

Ze względu na kierunek oddziaływania wyróżniamy propagandę zewnętrzną – kierowaną np. do obywateli innych państw czy członków wrogich partii; propagandę wewnętrzną – jej odbiorcami są członkowie własnej grupy, własnego państwa czy własnej partii. Bardzo ważne jest kryterium odnoszące się do czasu realizacji i działań propagandowych. Tu spotkamy propagandę poprzedzającą – wyprzedza wydarzenia lub fakty, których dotyczy, oraz propagandę towarzyszącą – bliską obecnie kreowanym wydarzeniom. Natomiast propaganda następcza pojawia się bezpośrednio po wydarzeniu lub kreowanym fakcie.

W ustrojach totalitarnych propaganda zmienia się szybko w narzędzie uzależniania odbiorcy od nadawcy, w instrument zniewalania obywateli i utrwalania władzy reżymu, m.in. przez zacieranie różnicy między prawdą i fałszem, informacją obiektywną i narzuconą oceną

Jacques Ellul, francuski socjolog i uznany badacz zjawisk dotyczących propagandy w połowie lat 60. XX w., opisywał rozwój propagandy na płaszczyźnie szerokiej i szczegółowej, wąskiej. Na planie szerokim do działań propagandowych zaliczał akcje psychologiczne, modyfikujące opinie odbiorców; wojny psychologiczne, mające za pomocą środków psychologicznych obniżyć lub całkowicie zniszczyć morale odbiorcy. Innym działaniem propagandy jest według Ellula reedukacja i pranie mózgu prowadzące do przemiany przeciwnika w sprzymierzeńca. Ostatni, trzeci etap, to publiczne i ludzkie relacje, które tworzą istotny element akcji propagandowych, promujących afirmację jednych wartości, np. konsumpcji czy określonych postaw konformistycznych, negujących inne niewygodne i niepożądane, dla propagandzisty.

Jacques Ellul rozbudował także pojęcia. Pisał o propagandzie horyzontalnej i wertykalnej. Ta pierwsza odnosi się do wydarzeń aktualnych, nie zaznacza wyraźnie liderów opinii, ostatecznie prowadzi do unifikacji poglądów audytoriów. Propaganda wertykalna przebiega przez struktury społeczne. Jest zinstytucjonalizowana, wyraźnie wyodrębnia liderów opinii i opiera się niemal wyłącznie na przekazach płynących ze środków masowego przekazu. Ale to już nowy, kolejny temat...

eprasa.pl 24062b618d

Jestem człowiekiem kompromisu

Jako minister energii mam świadomość tego, że bez energii nie ma cywilizacji. To od niej zależy funkcjonowanie naszego życia osobistego, rodzinnego, domowego i publicznego

eprasa.pl 24062b618d

Z Krzysztofem Tchórzewskim, ministrem energii, rozmawia Teresa Wójcik

Polski minister będzie przewodniczył w grudniu posiedzeniu Międzynarodowej Agencji Energetycznej (MAE), najważniejszej światowej organizacji w sektorze energetyki. To z jednej strony przejaw uznania dla Polski, z drugiej – uznania dla dorobku i doświadczenia pana ministra. Jak pan przekonał do siebie tak ważne światowe gremium?

Krzysztof Tchórzewski: Wyraziłem zgodę, żeby kandydować na tę funkcję z myślą, że jeszcze mocniej zaznaczy to pozycję Polski i Ministerstwa Energii na świecie. Byłem i jestem aktywnym uczestnikiem trudnych debat o przyszłości energii i jej źródeł wytwarzania. Wielu ministrów uważa, że moja obecność przy podejmowaniu decyzji zwiększa szansę wypracowania nawet tych kompromisów, które są uważane za niemożliwe. Nasze Ministerstwo Energii ma znaczący udział w generowaniu i rozwoju tego, obecnie najważniejszego na świecie dobra, jakim jest energia. To od niej zależy funkcjonowanie naszego życia osobistego, rodzinnego, domowego i publicznego. Jako minister energii mam świadomość tego, że bez energii nie ma cywilizacji.

Ma pan dobre relacje międzynarodowe w sektorze energetyki?

Po kilkudziesięciu latach pracy w tym sektorze wiem, jak ważne jest, by być solidnym człowiekiem. Staram się więc rzetelnie i skutecznie wykonywać swoje obowiązki jako minister energii i tak też podchodzę do moich obowiązków w relacjach zagranicznych. Utrzymuję i dbam o liczne kontakty międzynarodowe. Dzięki temu mam okazję przedstawiać swoje poglądy na kluczowe problemy w tym sektorze. Moje ponaddwudziestoletnie doświadczenie w energetyce bardzo mi w tym pomaga. Dodatkowym atutem jest to, że byłem także członkiem zarządu – dyrektorem ds. ekonomiczno-finansowych w dużym przedsiębiorstwie energetycznym, co pozwala mi łączyć sprawy techniczne z biznesowymi. Także w skali międzynarodowej. Wydaje mi się, że to przeważyło w moich kontaktach międzynarodowych w odniesieniu do energetyki światowej. Jak już wspomniałem, jestem człowiekiem kompromisu, a kompromis jest bardzo potrzebny w skomplikowanych realiach współczesnej energetyki. A jeszcze bardziej w kreowaniu projektów na przyszłość. Moje poglądy na problemy energetyki wyrażam konkretnie, tak żeby moi partnerzy mnie rozumieli. Zgodnie z tym, jak mnie uczono w domu; „Mów tak, żeby cię ludzie rozumieli". W dialogu staram się wysłuchać argumentów wszystkich stron, bo tylko wówczas można podjąć dyskusję i dojść do porozumienia. Zapewne jednak ministrowie energii innych państw oraz międzynarodowi eksperci zauważyli, że moje przewidywania są słuszne. Okazało się, że zagraniczni partnerzy mają do mnie zaufanie i powierzyli mi tę rolę – przewodniczenia posiedzeniu Międzynarodowej Agencji Energetycznej (MAE). Cieszę się, że będzie mi towarzyszyć w tym zadaniu bardzo sprawny i doświadczony dyrektor wykonawczy MAE dr Fatih Birol.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna jest najważniejszą światową organizacją w dziedzinie energii. Jej wpływ na światowy rozwój energii, na politykę energetyczną w skali globalnej jest coraz większy. Jakie najważniejsze problemy podejmie pan jako przewodniczący posiedzenia MAE?

Muszę podkreślić, że dla znaczenia i pozycji Międzynarodowej Agencji Energetycznej najistotniejsze jest to, że jest organizacją politycznie bezstronną. Dzięki temu odgrywa kluczową rolę w ustalaniu strategii i polityki energetycznej przez poszczególne kraje, a raporty i analizy prezentowane przez nią są coraz częściej podstawą decyzji przyjmowanych przez wiodące organizacje światowe, m.in. G7, G20, NATO czy Unię Europejską. W 2020 r. będziemy obchodzić 45-lecie powstania MAE. Obecnie należy do niej 30 najbardziej rozwiniętych państw świata, a stowarzyszonych z nią jest osiem najbardziej zaludnionych krajów, wśród nich m.in. Chiny, Indie i Brazylia. Dziś najważniejszym problemem dla świata jest bezpieczeństwo energetyczne i zapewnienie wszystkim państwom czystej, taniej i nowoczesnej energii. Powinno się to odbywać dzięki dostępowi do wszystkich możliwych najnowocześniejszych technologii i źródeł. Główne zadanie MAE widzę następująco: stanie się globalnym centrum czystych technologii energetycznych i efektywności energetycznej.

Na najbliższym spotkaniu MAE, które odbędzie się na poziomie ministerialnym w Paryżu 5 i 6 grudnia br., tematem przewodnim, zgodnie z propozycjami większości państw członkowskich, będzie „Budowa systemu energetycznego jutra". Będziemy się koncentrować na promocji takich technologii, które umożliwią każdemu krajowi podejmowanie decyzji o wyborze własnej ścieżki rozwoju ich sektorów energii, a więc także całej gospodarki. Polska będzie promować MAE w roli czynnika zapewniającego globalne bezpieczeństwo energetyczne, m.in. dzięki proponowanej reformie systemu zapasów interwencyjnych ropy naftowej i paliw oraz dostosowaniu systemów energetycznych do trwającej transformacji sektora energii elektrycznej. Wszystkie te zagadnienia były konsultowane z zaproszonymi uczestnikami grudniowego spotkania.

Ostatni raport IPCC, Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu, postuluje zasadnicze przyspieszenie dekarbonizacji, zwłaszcza likwidację energetyki węglowej. Tymczasem nie jest tajemnicą, że w Chinach energetyka węglowa rozwija się bez przeszkód. Systematycznie oddawane są do produkcji bloki węglowe o mocy m.in. naszego Opola. Według chińskiej „pięciolatki" do użytku zostanie oddane ok. 100 takich bloków. Czy MAE może wpłynąć na

eprasa.pl 24062b618d

zahamowanie tego procesu? Jak zachęcić, a może zmusić Chiny do realizacji porozumienia paryskiego z COP20?

Historycznie patrząc, Chin nikt nigdy do niczego nie zmusił. Chiny budują elektrownie węglowe, ale budują też elektrownie jądrowe i instalacje OZE. Starają się uwzględniać swoją rzeczywistość i swoje interesy, jednak monopol w generowaniu energii nie jest wskazany. W energetyce dywersyfikacja wytwarzania energii jest bardzo ważna, podobnie jak posiadanie zapasów strategicznych. Dlatego tworząc miks energetyczny Polski, musimy uwzględniać nasze możliwości surowcowe oraz pozyskanie energii z różnych, również alternatywnych, źródeł, m.in. odnawialnych źródeł energii. Jestem jednak realistą. OZE są zależne od pogody, niestabilne, więc nie mogą mieć wyłączności na generowanie energii, nie mogą przeważać w miksie energetycznym. Wymagają współobecności stabilnych źródeł energii, tzn. podwójnego systemu opartego na zainstalowaniu podwójnej mocy. Obok OZE – elektrowni węglowych, gazowych lub jądrowych. To wymaga znacznie większych kosztów ponoszonych przez państwo i obywateli. Na taki system stać więc tylko najbogatsze państwa. Dobrym przykładem są Niemcy, gdzie funkcjonuje taki podwójny system. Przy odpowiednich warunkach pogodowych wiatraki i fotowoltaika dostarczają energię. Jednak gdy nie ma wiatru i słońca, ruszają turbiny elektrowni węglowych, które oczekują na ten moment w pełnej gotowości, tyle że nie generują prądu. Stąd podwójny koszt. Pamiętajmy, że za taką gotowość płacą obywatele i państwo. Dlatego nasza transformacja energetyczna przebiega w trybie ewolucyjnym, tak aby zadbać o bezpieczeństwo energetyczne przy jak najniższych kosztach dla Polaków.

Często jednak słyszymy, że energia odnawialna właściwie jest za darmo...

Żadna energia nie jest za darmo. OZE też nie jest za darmo. Kosztuje produkcja urządzeń, inwestycja – sama instalacja – obsługa, konserwacja, remonty i naprawy, a przede wszystkim utrzymanie systemu energetycznego (kiedy nie wieje wiatr i nie świeci słońce). Do tego, jak już wspomniałem, bezpieczeństwo energetyczne wymaga podwójnego systemu generowania energii. Komisja Europejska notyfikowała nam ustawę o pomocy publicznej dla rynku mocy, co pozwoli w Polsce płacić elektrowniom konwencjonalnym za czas pracy, gdy nie dostarczają energii do sieci.

Tu muszę przypomnieć, że w krajach Unii Europejskiej OZE mają pierwszeństwo w dostępie do sieci elektroenergetycznej. W tych państwach UE, w których jest najwięcej mocy zainstalowanych z OZE – w Danii i Niemczech – energia elektryczna jest najdroższa dla końcowego odbiorcy. W pierwszej kolejności płacą gospodarstwa domowe. Tyle że oba kraje należą do najbogatszych w Unii. Jeśli Niemcy – jak zapowiadają – zlikwidują swoje elektrownie węglowe, na ich miejsce powstaną elektrownie gazowe, o czym zapominamy. Warto też pamiętać, że ten gaz może pochodzić z Rosji, co w znacznym stopniu uzależnia Unię od wschodnich dostaw.

> OZE są zależne od pogody, więc nie mogą mieć wyłączności na generowanie energii. Wymagają współobecności stabilnych źródeł energii – elektrowni węglowych, gazowych lub jądrowych

Warto też dodać, że elektrownie gazowe emitują tylko o 18 proc. mniej dwutlenku węgla niż bloki węglowe.

Jak pan ocenia przyszłość energetyczną Polski i świata? Czy realne jest wprowadzenie nowych bezemisyjnych źródeł na skalę globalną?

Poza wielkimi systemowymi elektrowniami stawiamy w Polsce m.in. na małe źródła, takie jak klastry, kogeneracja i prosumenci. Już teraz prowadzimy wspólnie z PKO BP w tym zakresie akcję dofinansowania projektów dla gospodarstw domowych.

Rozwój małych źródeł energii na świecie będzie szczególnie korzystny w krajach, gdzie są obszary o dużym rozproszeniu ludności. W wielkich krajach z ludnością skoncentrowaną najczęściej w metropoliach konieczne są wielkie elektrownie. Tu niezwykle ważne są pewność i bezpieczeństwo zasilania przede wszystkim przemysłu, transportu i infrastruktury. Wiąże się to z dużymi wydatkami i ogromnymi, wieloletnimi inwestycjami. W przypadku rozwoju energetyki jądrowej inwestycja trwa ok. 11 lat. Realizacja programu energetyki jądrowej jest naszą przyszłością, jako energetyka pewna i bezemisyjna. Przypominam, że podjęta przez nas w 2016 r. decyzja o realizacji elektrowni węglowej w Ostrołęce przewiduje oddanie obiektu do użytku po siedmiu latach (w 2023 r.). We wszystkich branżach energetycznych, zarówno w elektrowniach konwencjonalnych czy OZE, realne perspektywy to doskonalenie źródeł i technologii już istniejących.

A magazynowanie energii, które mogłoby być najlepszym rozwiązaniem dla bezpieczeństwa energetycznego przy oparciu energetyki wyłącznie na źródłach odnawialnych?

W 2007 r. uczestniczyłem w wielkiej, międzynarodowej konferencji poświęconej magazynowaniu energii. Czołowi jej uczestnicy zapewniali, że wiele państw przeznacza wielkie środki na opracowanie techniki i metod magazynowania energii. Eksperci i naukowcy zapewniali, że za 10 lat będziemy mieć niezawodne patenty na nieograniczone magazynowanie energii. Dziś, po 12 latach, jesteśmy nadal w tym samym miejscu w tej kwestii. Czekamy na przełomowe odkrycia w tej dziedzinie.

eprasa.pl 24062b618d

Jak nie wychować maminsynka

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 24062b618d

Bez rady mamy nie podejmie żadnej decyzji. Jest mało zaradny, często niesamodzielny, potrzebuje dużej troski, chętnie chowa się pod maminą spódnicą, a życie partnerki czy żony może zmienić w istną gehennę. To maminsynek. Co zrobić, żeby nie wychować chłopca na takiego maminsynka?

DOROTA ŁOSIEWICZ

Maminsynek to osoba, która nie potrafi podejmować decyzji lub trudno jest jej te decyzje podejmować. Ta trudność wynika z tego, że tym chłopcom nie pozwolono na samodzielność – tłumaczy psycholog Małgorzata Świć. – Szczególnie ważne to jest w okresie dorastania, czyli plus minus od 12. roku życia. Jeśli rodzice nie ufają swoim dzieciom, nie wspierają ich, nie pozwalają im się usamodzielnić, wówczas są duże szanse na to, że tacy młodzi ludzie zostaną maminsynkami.

Z tą diagnozą zgadza się Janusz Wardak, współtwórca Akademii Familijnej w Polsce, ojciec dziesięciorga dzieci.

– Samodzielność musi być oczywiście dostosowana do wieku dziecka. Już zerówkowicz może sam zrobić sobie kanapkę (choć nie musi do tego używać ostrego noża). Nie ma potrzeby, by to mama, słaniając się ze zmęczenia, robiła drugie śniadania wszystkim dzieciom, skoro bez najmniejszego problemu same sobie mogą z tym poradzić. Rodzice muszą po prostu dać dzieciom szansę na samodzielność – tłumaczy Janusz Wardak.

Nauki samodzielności nie mylmy jednak z brakiem czułości.

– Okazywanie dziecku czułości nie może mu zaszkodzić. Tym nie można mu zrobić krzywdy. To jest bagaż, który dajemy na dalsze życie. Potrzebują go szczególnie mężczyźni, po to właśnie, żeby sami w dorosłości umieli okazywać swoje uczucia – nie ma wątpliwości Magdalena Liberadzka, mama 12-letniego Michała i dwa lata starszej Mai.

– Często błędnie myślimy, że silny, męski facet jest mniej empatyczny, że nie umie budować relacji. Tak nie jest – uważa Janusz Wardak. – Ważne też, żeby kobieta i mężczyzna byli pewni swojej płci. Jeśli tak nie jest, mamy do czynienia z dysfunkcją. Absolutnie nie jest tak, że mężczyzna, by być dobrym mężem czy ojcem, musi być niemęski. Męskość nie kłóci się z byciem empatycznym, z umiejętnością nawiązywania głębokiej relacji. To stereotyp.

SAMODZIELNY JAK MŁODY WŁOCH

PAP podała niedawno informację, że z badań Eurostatu wynika, iż z rodzicami mieszka 66 proc. Włochów w wieku 18–34 lat. To łącznie blisko 7,5 mln osób, czyli prawie dwa razy więcej niż w przypadku ich rówieśników we Francji i Wielkiej Brytanii. To również znacznie więcej niż w Niemczech – tam w domach rodzinnych mieszka 42 proc. młodzieży. W Danii odsetek ten wynosi niecałe 16 proc. W Italii domu nie opuszczają przede wszystkim młodzi mężczyźni. Od 2008 r. odsetek niesamodzielnych Włochów wzrósł o 5 proc., czyli znów więcej niż w innych krajach Europy, np. we Francji ten wzrost wynosił 2 proc. Na garnuszku włoskiej mamy pozostaje prawie 50 proc. osób w najstarszej grupie wiekowej młodych ludzi, czyli od 25 do 34 lat. Nie usamodzielnia się nawet większość tych, którzy mają pracę. Średnia w Unii Europejskiej wynosi 28 proc. Biorąc pod uwagę ten przedział wiekowy, odsetek Włochów mieszkających nadal w domu z rodzicami jest aż 30 razy wyższy w porównaniu z 20- i 30-letnimi Duńczykami. To w dużej mierze wynik wysokiego bezrobocia wśród młodych i kryzysu ekonomicznego, ale czy tylko?

– Obawiam się, że kryzys to jedno, a wygodnictwo to drugie – śmieje się Magdalena Liberadzka, która pracuje w hiszpańskiej firmie i dobrze zna zwyczaje południowców.

– Na południu Europy przywiązanie do rodziny jest większe niż na północy. Stąd różnice między Danią a Włochami – dodaje Janusz Wardak. – Polska jest gdzieś pośrodku tej stawki, ale na pewno mamy coraz większy problem z osobami, które skończyły już 30 lat i wciąż myślą, co będą robiły w życiu.

Jaki jest więc idealny wiek na usamodzielnienie się?

– Z psychologicznego punktu widzenia człowiek pełnoletni, który zdał egzamin dojrzałości, jest gotowy do samodzielnego życia, np. zamieszkania w akademiku podczas studiów. Nie można jednak zupełnie nie brać pod uwagę kwestii finansowych. Żeby młody człowiek mógł się w pełni usamodzielnić, musi mieć na to środki – zauważa psycholog Małgorzata Świć.

Nie ma pełni samodzielności przy finansowym wsparciu rodziców, nawet jeśli młody człowiek mieszka w wynajętym mieszkaniu.

– Nawet jeśli młody człowiek się wyprowadził, a rodzice wciąż go utrzymują, to jednak jest to udawana samodzielność. Samodzielność jest wtedy, gdy człowiek sam finansuje swoje życie – dodaje Janusz Wardak.

– Kwestie ekonomiczne mają kluczowe znaczenie. Mało realne jest, żeby 18-latek mógł sam się utrzymać bez pomocy rodziców – dodaje Magdalena Liberadzka.

Akademia Familijna, którą sprowadziło z Hiszpanii i zaszczepiło na polskim gruncie małżeństwo Wardaków, a która jest częścią IFFD (International Federation for Family Development) – federacji o zasięgu światowym, która działa w 63 krajach, pomaga rodzicom w wychowaniu dzieci, m.in. właśnie w tym, by wyrastały na samodzielnych ludzi.

– Celem wychowania jest przygotowanie człowieka do dorosłości. Trzeba o tym pamiętać od chwili, kiedy dziecko przychodzi na świat. Gdy młody człowiek ma 17 lat, wówczas jest za późno na to, by się zastanawiać, co będzie za rok i jak go przygotować do dojrzałości. To musi się zacząć znacznie wcześniej. Nie bez znaczenia jest nastawienie rodziców i to,

eprasa.pl 24062b618d

czy się cieszą, że dziecko robi kolejne samodzielne kroki, czy raczej ich to martwi – tłumaczy Janusz Wardak.

– Jeśli mama jest lękowa, boi się o każdy samodzielny krok dziecka, to jest duża szansa na wychowanie maminsynka. Jeśli natomiast myśli: „Na pewno sobie poradzi, wierzę w nią/niego", to jesteśmy na dobrej drodze – śmieje się Małgorzata Świć. – Zaufanie w możliwości dziecka to najlepsza postawa – dodaje.

AUTORYTET POTRZEBNY OD ZARAZ

Według portalu Pch24.pl kryzys męskości jest praźródłem wszystkich innych kryzysów: „Kryzys kapłaństwa, kryzys małżeństwa, kryzys rodziny. Te określenia słyszymy cały czas w odniesieniu do opisu podstaw upadku zachodniej cywilizacji. W każdym z nich odnajdujemy wspólny mianownik – chodzi o kryzys męskości" – czytamy. Zdaniem Pch24.pl jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy jest rozbuchany do granic absurdu wszechobecny feminizm, który dawno już przestał być walką o prawa kobiet, a stał się narzędziem do walki z mężczyznami (a zarazem na zgubę kobiet). „Lewicowy establishment krajów Zachodu wskazuje, że mężczyźni nie potrzebują żadnej pomocy, to kobiety ciągle są poddane dyskryminacji, żyjąc w »patriarchalnym« społeczeństwie. Zamazuje się granice ról społecznych oraz nakręca się wojnę płci. Manipuluje się faktami, kreując nieistniejące różnice w wynagrodzeniach. W konsekwencji tego mężczyźni gubią swoje miejsce w społeczeństwie, tracą swoją tożsamość, czują się niepotrzebni. Kryzys męskości jest nierozerwalnie złączony z kryzysem tożsamości. Mężczyźni, którzy czują się niepotrzebni, mają zwiększoną tendencję do popadania w nałogi, a także do popełniania samobójstw" – czytamy.

> Jeśli mama jest lękowa, boi się o każdy samodzielny krok dziecka, to jest duża szansa na wychowanie maminsynka – tłumaczy psycholog

Drugą istotną przyczyną jest brak właściwych wzorców do naśladowania, a w samej kulturze promowane jest kwestionowanie wszelkiego rodzaju autorytetu. Nawet ojca.

– Rola ojca w wychowaniu, szczególnie synów, jest kluczowa. Dziś stare wzorce męskości są nie do zastosowania, bo np. nie mamy polowań, nie ma służby wojskowej, trzeba więc wypracować nowe wzorce męskości i nowy wzorzec rodziny, który w ostateczności da efekt pożądany, czyli wychowanie dziecka gotowego do podjęcia dorosłego życia, a z tym dziś mamy spory problem – tłumaczy Janusz Wardak. – Ojciec musi czuć, że jest ważny i potrzebny. Jeśli żona, matka dzieci, nie dopuszcza go do wychowania, to mogą z tego być problemy. Ale tu znów u podstaw jest relacja małżeńska: jeśli o nią dbamy, jest ona właściwa, wówczas małżonkom łatwiej jest się wzajemnie do czegoś przekonać. Jeśli relacja jest słaba, koncentrujemy się na dziecku, zaczynamy ze sobą rywalizować, ciągniemy w swoją stronę.

– Często zachęcam pacjentów, żeby dali sobie szansę. Żeby mama pozwoliła tacie być tatą i mężczyzną. To się udaje, a efekty bywają spektakularne – komentuje Małgorzata Świć.

– W wychowaniu bardzo ważne są przekazy transgeneracyjne, to co przekazujemy z pokolenia na pokolenie, a więc rola mamy i taty. Przeważnie jest tak, że dzieci przejmują wzorce rodziców. Jeśli to mama jest tą silniejszą i podejmuje decyzje, wówczas staje się autorytetem. Tymczasem dobrze, zwłaszcza gdy wychowuje się dorastającego chłopca, by to tata był autorytetem i by mu tego nie odbierać.

W jaki sposób nie tylko ojciec, ale w ogóle rodzice powinni ten autorytet budować? Dla małych dzieci rodzice są autorytetami w sposób naturalny, a obraz rodzica jest wyidealizowany. Z czasem jednak ten naturalny autorytet się zmniejsza. Trzeba wówczas świadomie budować autorytet prestiżu, który wynika z tego, kim jesteśmy jako ludzie, a nie z samego tytułu bycia rodzicem. Uczestnicy Akademii Familijnej dowiedzą się np., że rodzice muszą być wiarygodni, czyli muszą robić to, co mówią, muszą dotrzymywać słowa i obietnic. Muszą być też konsekwentni i nie mogą co kilka minut zmieniać zdania. Decyzje, które podejmują, muszą z czegoś wynikać i muszą po sobie konsekwentnie następować. Autorytet jest bezpośrednio związany z posłuszeństwem. Bez autorytetu nie będzie posłuszeństwa. Rodzice często mylą pojęcie autorytetu z byciem dla dziecka „cool". Tymczasem to ślepa uliczka.

– Dzieci nie potrzebują rodziców-kumpli, tych mają pod dostatkiem. Jeden kumpel więcej jest niepotrzebny. Rodzic ma niezastępowane zadanie – wychowywania – mówi Janusz Wardak. Czym innym jednak jest już bycie przyjacielem dziecka. Człowiek wzrasta wtedy, gdy ma wokół siebie osoby, do których może aspirować. Jeżeli osoba dorosła zniża się do poziomu dziecka, znaczy, że nie ciągnie go do góry, ale to ono ściągnęło ją w dół. Dzieci mają tendencję do naśladowania zachowań dorosłych, szczególnie rodziców. Jeśli dorośli skoncentrują się na byciu „cool", to co przekażą dzieciom? Trzeba być skoncentrowanym na ostatecznym celu, jakim jest przygotowanie dziecka do dorosłego życia. Trzeba więc zawsze zadać sobie pytanie: jak to, co teraz robię z dzieckiem, przygotowuje je do dorosłego życia.

Dowodem na to, jak bardzo młodzi chłopcy potrzebują męskiego autorytetu, niech będzie np. działalność kanadyjskiego psychologa Jordana B. Petersona. Jego kanał na YouTubie, na którym psycholog publikuje swoje wykłady (np. o tym „Jak przestać gnić w domu") ma ponad 2 mln subskrypcji. Wykłady Petersona przeważnie komentują właśnie chłopcy, którzy często dziękują za rady, pomoc i wskazówki, które pomagają im w życiu. Prawdopodobnie na tego typu rady niestety nie mogli liczyć w domu.

Podsumowując: szczęśliwi rodzice, wychowają szczęśliwe, gotowe do samodzielności dziecko, które będzie umiało uszczęśliwiać innych. Medal należy się tym, którym ta trudna sztuka się udała.

eprasa.pl 24062b618d

O błąd za dużo

Sukces superjeta miał być osobistą zasługą prezydenta Putina, który od samego początku wspierał projekt. Jednak dziś zamiast pochwał w rosyjskim internecie przeważają kpiny: „Dlaczego Putin nie lata superjetami? Przecież to takie świetne samoloty”

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Późnym popołudniem w niedzielę 5 maja z lotniska Szeremietiewo w Moskwie wzbił się w powietrze rejsowy samolot linii lotniczych Aeroflot. Maszyna produkcji rosyjskiej Suchoj Superjet zmierzała do położonego na północy kraju Murmańska. Na pokładzie samolotu znajdowało się 78 osób.

Pogoda nie była najlepsza, w okolicach lotniska pojawiły się bowiem chmury burzowe. Zaraz po starcie w kadłub samolotu zaczęły uderzać kulki gradu. Gradobicie może być niebezpieczne, zdarzało się bowiem w przeszłości, że grad poważnie uszkadzał silniki lub szyby w kokpicie. Mimo to suchoj ciągle wznosił się w górę. Po pięciu minutach lotu, gdy maszyna znalazła się na wysokości ok. 2 km, w prawe skrzydło nagle uderzył piorun. Jak wynika z relacji pasażerów, uderzenia nie było nawet słychać, widoczny był jedynie oślepiający błysk za oknami.

Chwilę potem pasażerowie usłyszeli komunikat stewardesy, że pilot z powodu usterki technicznej postanowił wrócić na lotnisko Szeremietiewo. Nikt się nie niepokoił, bo z samolotem na pozór nie działo się nic złego, przestała jedynie działać klimatyzacja.

Po kilkunastu minutach suchoj pojawił się po wschodniej stronie lotniska. Stromo schodził w dół. Ocaleni pasażerowie wspominają, że odczuwali ból w uszach spowodowany szybkim zniżaniem. Nie było jednak mowy o żadnym awaryjnym lądowaniu, po prostu problem techniczny z maszyną. Do chwili uderzenia o pas startowy wydawało się, że wszystko jest pod kontrolą i nikomu nie zagraża niebezpieczeństwo. Jednak samolot przyziemił z ogromnym impetem. Maszyna odbiła się od pasa wysoko w górę, po czym znowu z wielką siłą uderzyła o płytę lotniska. W kabinie rozległ się potężny huk, pasażerowie zaczęli krzyczeć. Złamało się podwozie, a po prawej stronie wybuchł pożar. Bezwładny wrak samolotu sunął w kuli ognia po pasie startowym. Ci, którzy siedzieli w tylnej części samolotu, nie mieli szans, aby wydostać się na zewnątrz. Wielu z nich zginęło od uduszenia gęstym, toksycznym dymem, który natychmiast wypełnił kabinę samolotu. Ocaleni pasażerowie opowiadali, że

Fot. East News/Xinhua/Sergei

eprasa.pl 24062b618d

ogień ogarniał samolot w zastraszającym tempie – jeden z nich przyrównał pożar do podpalonego plastikowego kubka: wszystko wokół w mgnieniu oka zaczęło się topić i kurczyć.

Wbrew pierwszym informacjom wozy straży pożarnej dość szybko dotarły na miejsce wypadku. Na filmie widać, jak z płonącego wraku zjeżdżają po awaryjnych trampach pasażerowie i rozbiegają się wokół pasa startowego. Część z nich trzyma w rękach... walizki.

Łącznie w katastrofie zginęło 40 pasażerów i steward, który zajął miejsce w ogonie samolotu. Piloci – podobnie jak większość podróżnych lecących w przedniej części maszyny – przeżyli wypadek.

WIRTUALNI PILOCI

Natychmiast po katastrofie pojawiły się pierwsze pytania: co się właściwie stało i kto jest winny. Wstępne informacje wskazują, że sporą część odpowiedzialności ponoszą piloci, a właściwie ich słabe wyszkolenie. Przede wszystkim nie powinni byli w ogóle wlatywać w chmurę burzową.

Rosjanie mają tu tragiczne doświadczenia sprzed 13 lat, gdy Tu-154 załadowany urlopowiczami wracającymi znad Morza Czarnego wpadł w wyjątkowo potężny front burzowy nad Ukrainą. Samolot należący do petersburskich linii Pulkovo został po prostu porwany przez silne prądy powietrzne i roztrzaskał się, grzebiąc wszystkich, których miał na pokładzie.

Tym razem burza nie była aż tak silna, ale uderzenie pioruna wystarczyło, aby wywołać awarię elektroniki. W rezultacie automatyka lotu przestała działać, a systemy samolotu przełączyły się na tryb uproszczony wymagający manualnego sterowania. Wydawałoby się, że dla pilotów nie powinno to stanowić wielkiego wyzwania, jednak próba ręcznego pilotażu zakończyła się katastrofą. Konieczność manualnego sterowania, gdzie przy szacowaniu parametrów lotu i podejścia do lądowania nie można się już wspomagać komputerem pokładowym, okazała się dla pilotów suchoja zbyt stresująca. Przestraszyli się też najwyraźniej problemów z łącznością, samolot przeszedł bowiem na rezerwowy kanał komunikacji z wieżą kontrolną, na którym pojawiały się zakłócenia. Dlatego też uznali, że każda minuta dłużej w powietrzu jest zbyt ryzykowna i podjęli decyzję, aby natychmiast lądować.

To doprowadziło do najpoważniejszego błędu, jakim było podjęcie próby lądowania z pełnymi zbiornikami paliwa. Zatankowany samolot jest ciężki, nic więc dziwnego, że suchoj spadał na płytę lotniska ze zbyt dużą prędkością i pod zbyt dużym kątem. Na domiar złego w kokpicie nie działał komputer, który mógłby skorygować błędy pilotów.

Gdy samolot uderzył w płytę lotniska, odbił się od niej jeszcze dwukrotnie. Za drugim razem nie wytrzymało podwozie, które pękając, rozerwało zbiornik z paliwem. Wyciekająca benzyna wybuchła prawdopodobnie po zetknięciu z gorącymi spalinami z silnika.

> Jeden z pilotów Aerofłotu stwierdził, że latanie superjetem jest jak gra w totolotka: nigdy nie wiadomo, czy będzie się nadawał do lotu

Podskok samolotu w trakcie lądowania należy do najniebezpieczniejszych zjawisk tej fazy lotu. Nad odbijającym się od płyty samolotem pilot traci kontrolę. Aby ją odzyskać, należy w chwili odbicia wrzucić pełną moc i przejść na drugi krąg. Piloci suchoja tego nie zrobili – zachowywali się tak, jakby za wszelką cenę chcieli przyziemić. W wywołanym zamieszaniu nie wyłączyli nawet silników, które pracując i nadmuchując ogień na kadłub samolotu, przyśpieszały rozprzestrzenianie się pożaru.

Co gorsza na pasie nie czekała na nich straż pożarna, ponieważ lądowanie nie zostało zgłoszone jako awaryjne. Zanim więc wozy gaśnicze dotarły do wraku, był on już w połowie ogarnięty ogniem.

PORAŻKA AEROFŁOTU

Katastrofa na Szeremietiewie ujawniła coś potencjalnie bardzo niebezpiecznego. Okazało się bowiem, że część pilotów w chwili awarii systemów komputerowych nie potrafi zapanować nad samolotem. Są jak nastolatki grające na komputerowym symulatorze lotu. Mają wiedzę na temat techniki, ale brakuje im realnych umiejętności. Paradoksem jest to, że do tego stanu rzeczy doprowadziły właśnie komputerowe systemy wspomagania pilotażu. Kiedyś pilot mógł polegać wyłącznie na swoim doświadczeniu, dziś coraz częściej polega na komputerze. Niektórzy piloci zapomnieli najwyraźniej, że automatyka ma wspomagać pilota, nie zaś go zastępować.

Jednak zrzucanie całej winy na pilotów byłoby zbyt proste. Odpowiedzialność ponosi również przewoźnik, który najwyraźniej nie zadbał o należyte wyszkolenie personelu. To o tyle dziwne, że Aerofłot od lat chlubił się wysokimi wskaźnikami bezpieczeństwa. Rosyjskim liniom lotniczym bardzo zależało na tym, aby zerwać z dawnym sowieckim wizerunkiem przedsiębiorstwa, które nie dbało o żadne standardy ani serwis.

Od chwili katastrofy airbusa 310 nad Syberią w 1994 r., gdy jeden z pilotów niefrasobliwie oddał stery swojemu kilkunastoletniemu synowi, rosyjski przewoźnik nie odnotował poważnych wypadków. Gdy w 2008 r. rozbił się podchodzący do lądowania w Permie boeing 737, należący do linii Aerofłot-Nord, centrala Aerofłotu odebrała przewoźnikowi prawo używania nazwy Aerofłot, aby nie psuć sobie z trudem przywróconej marki. W rezultacie dawny Aerofłot-Nord musiał zmienić nazwę na Nordavia. Rosyjski Aerofłot konsekwentnie też odnawiał flotę. Stopniowo odchodziły do lamusa stare tupolewy oraz iliuszyny, ich miejsce zajmowały fabrycznie nowe boeingi i airbusy. Przewoźnik bronił się rękami i nogami przed kupowaniem rodzimych wyrobów. Nawet wprowadzenie wysokich, zaporowych ceł na zagraniczne samoloty nie zmieniło polityki Aerofłotu. Po prostu samoloty kupione na Zachodzie zaczęto

eprasa.pl 24062b618d

Rosyjskiej produkcji Suchoj Superjet

Fot. Shutterstock

rejestrować na Bermudach i w ten sposób omijano cła.

ŚREDNIO BEZPIECZNY

Ta polityka się zmieniła, gdy ponad dekadę temu uruchomiono w Rosji – na fali putinowskiego triumfalizmu – program budowy własnego samolotu pasażerskiego. Podjęto wtedy decyzję o wejściu w mocno konkurencyjny segment regionalnych i średnich samolotów. Tym mniejszym był oblatany w 2008 r. suchoj superjet – postrzegany jako odpowiednik maszyn Embraera i Bombardiera, a tym średnim – przewidzianym jako rywal airbusa 320 oraz boeinga 737 – zbudowany dopiero niedawno z kilkuletnim opóźnieniem irkut MC-21. Budując nowe samoloty, zrezygnowano z klasycznych marek sowieckich samolotów pasażerskich, takich jak Tupolew, Iliuszyn czy Jakowlew (czwarty – Antonow jest obecnie ukraińską firmą, więc w ogóle nie brano go pod uwagę). Zdecydowano się za to na zupełnie anonimowego MC-21 oraz właśnie na Suchoja, który zdobył sobie wcześniej renomę najlepszego rosyjskiego producenta samolotów bojowych. Dlaczego? Bo stare, sowieckie marki byłyby jedynie obciążeniem na rynku cywilnych maszyn.

Plany były bardzo ambitne – chciano dzięki niskiej cenie podbić światowe rynki i sprzedać setki samolotów. Suchoj superjet powstawał przy współpracy z kilkoma dużymi zachodnimi koncernami, w projekcie pomagały: włoska Alenia (dziś Leonardo), francuski gigant elektroniczny Thales oraz niemiecki Liebherr. Wsparcia udzielił również amerykański Boeing.

Samolot okazał się koncepcyjnie udany. Problemy pojawiły się gdzie indziej. Po pierwsze, jakość, zakłady w Komsomolsku nad Amurem nie były w stanie opanować technologii produkcji nowoczesnego samolotu pasażerskiego, a po drugie, serwis. Brak serwisu całkowicie zniweczył ambitne plany podboju zagranicznych rynków. A początki były obiecujące. Superjety kupił irlandzki przewoźnik Cityjet i dzierżawił je belgijskim Brussels Airlines. I choć obie linie były zadowolone z samolotu, twierdząc, że idealnie spełnia ich wymagania, to jednak kilka miesięcy temu zrezygnowały z superjeta. Trudno było bowiem bezpiecznie eksploatować samolot, do którego ciągle brakowało części zamiennych, a producent – po dostarczeniu maszyn – nie interesował się już ich losem. Podobna sytuacja miała miejsce w Meksyku, dokąd sprzedano 22 samoloty Suchoja. Tamtejsze linie Interjet używają ich już tylko pięciu. Reszta służy jako składnica części zamiennych. Wszystko wskazuje na to, że i meksykański przewoźnik zrezygnuje z dalszej eksploatacji superjeta.

Zła jakość i brak serwisu powoduje, że nie ma chętnych na kolejne samoloty. Kiedyś Rosjanie byli krok od sprzedaży superjetów węgierskiemu Malevowi, ale przewoźnik zbankrutował. Niedawno pojawiła się też szansa na kontrakt z Adrią, przewidywano stworzenie wspólnego centrum serwisowego na Europę, jednak słoweńskie linie lotnicze ostatecznie zrezygnowały z zakupów. W gruzach legły również wielkie plany ekspansji w Azji, gdy w 2012 r. jeden z testowych samolotów Suchoja rozbił się w Indonezji z zaproszonymi na pokład dyrektorami miejscowych linii lotniczych. Winą była brawura pilota, który tak bardzo chciał pokazać potencjalnym kupcom możliwości samolotu, że zderzył się ze zboczem góry.

W tej sytuacji ostatnią nadzieją stali się już tylko przewoźnicy z Rosji, na których zawsze było można wywrzeć polityczny nacisk. Tak jak to spotkało jakucką linię Yakutia Airlines, która operując na boeingach, próbowała jakiś czas temu wycofać się z superjetów, ale szybko przemówiono jej kierownictwu do rozsądku. Również Aerofłot – po otrzymaniu pierwszej serii superjetów – oddał je producentowi do poprawek. Jednak potem został zmuszony do złożenia zamówienia na 50 maszyn.

Potrzeby rosyjskiego rynku przewozów lotniczych są duże, cały czas rośnie liczba przewiezionych pasażerów. I tamtejsze linie zapewne chętnie kupiłyby niedrogi samolot. Problem jednak w tym, że miejscowe wyroby więcej czasu spędzają na ziemi niż w powietrzu. Jeden z pilotów Aerofłotu, cytowany w rosyjskich mediach, stwierdził, że latanie superjetem jest jak gra w totolotka: nigdy nie wiadomo, czy będzie się nadawał do lotu. Jego zdaniem 50 proc. floty tych maszyn jest stale uziemione z powodu napraw lub braku części zamiennych. Według danych ujawnionych w 2018 r. jeden superjet wylatywał średnio 109 godz. miesięcznie. To zaledwie około jednej trzeciej normy najpopularniejszych modeli Airbusa i Boeinga – A320 i B737.

Tak długie przestoje generują ogromne koszty. Nic dziwnego, że Aerofłot i inni rosyjscy przewoźnicy wolą droższy zachodni samolot, który ma tę zaletę, że jednak lata. W wewnętrznym biuletynie Aerofłotu określono status bezpieczeństwa używanych przez przewoźnika samolotów boeing i airbus jako „wysoki", superjet otrzymał notkę „średni". W lutym br. ponad połowa wszystkich incydentów lotniczych w Aerofłocie dotyczyła superjeta. To kiepski wynik, zważywszy że przecież 42 superjety Aerofłotu latają rzadziej niż pozostałe maszyny z liczącej łącznie 232 samoloty floty rosyjskiego przewoźnika.

W dzisiejszych rosyjskich warunkach te informacje nabierają politycznego podtekstu. Wiadomo przecież, że sukces superjeta miał być osobistą zasługą prezydenta Rosji, który od samego początku wspierał projekt. Jednak dziś zamiast pochwał w rosyjskim internecie przeważają kpiny: „Dlaczego Putin nie lata superjetami? Przecież to takie świetne samoloty".

eprasa.pl 24062b618d

Krzysztof Tchórzewski

minister energii

„Ku unii energetycznej”

Paweł Borys

prezes PFR

„PPK, czyli bezpieczeństwo i rozwój”

XI Europejski Kongres Gospodarczy

EEC 13-15 maja, Katowice

SIECI

GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Energia innowacyjnej gospodarki

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY DODATKU

LOTOS

PFR Polski Fundusz Rozwoju

PKEE Polski Komitet Energii Elektrycznej

PKPCARGO

Fot. Shutterstock | 17/0519/F

Wiele światów pod jednym dachem

XI Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach (European Economic Congress – EEC) odbędzie się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym i Hali Widowiskowo-Sportowej Spodek, po raz drugi – w stolicy Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii

Dlaczego warto to podkreślić? Bo to miejsce szczególne dla spotkań różnych światów. Dość przypomnieć tak różne od siebie ubiegłoroczne COP24, Intel Extreme Masters World Championship i ESL One czy Impact mobility rEVolution'18.

Podobnie jak w ubiegłym roku na Europejskim Kongresie Gospodarczym 13–15 maja w katowickim Spodku spotkają się przedstawiciele biznesu, globalnych graczy gospodarczych, ekonomiści z całej Europy, politycy, przedstawiciele administracji publicznej i... reprezentanci najlepszych start-upów. W czasie trzech dni debat, spotkań i wydarzeń towarzyszących z udziałem tysięcy gości z Polski, Europy i ze świata będzie można porozmawiać o bieżących wyzwaniach gospodarczych w skali makro i szansach dla wchodzących na rynek firm w skali mikro.

Dwa tematy polecamy szczególnej uwadze uczestników i czytelników relacji, które znajdą państwo na portalu wGospodarce.pl, w telewizji wPolsce.pl oraz na łamach tygodnika „Sieci" i w „Gazecie Bankowej" – to wyzwania stojące przed zmieniającym się polskim rynkiem energetycznym oraz poruszające rynek kapitałowy uruchomienie projektu Pracowniczych Planów Kapitałowych. Te i kilka innych tematów zapowiadamy w specjalnym dodatku poświęconym tegorocznemu kongresowi w Katowicach.

Z pewnością spotkanie gospodarki, polityki, ekonomii oraz uczestników rynków i debiutantów technologicznych w Katowicach zasługuje na uwagę. Tu rodzą się koncepcje i pomysły, o których będziemy rozmawiać pewnie jeszcze długo po wyjeździe z kongresu. Tego życzę przede wszystkim zdobywcom nagród w konkursach na innowacyjny produkt w Start-up Challenge. ●

Maciej Wośko
redaktor naczelny „Gazety Bankowej"

W poszukiwaniu nowej Europy

Dziś, 13 maja 2019 r., rozpoczyna się XI Europejski Kongres Gospodarczy (EEC – European Economic Congress), największa impreza gospodarcza w Europie Środkowej

Trzydniowy cykl debat, spotkań i wydarzeń towarzyszących zgromadzi w Międzynarodowym Centrum Kongresowym i Spodku w Katowicach ponad 11,5 tys. gości z Polski, Europy, świata. W prawie 150 sesjach tematycznych weźmie udział kilkuset panelistów, wśród których znajdują się wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, ministrowie rządów różnych państw, prezesi największych korporacji, twórcy wizjonerskich start-upów, reprezentanci świata nauki, eksperci wielu dziedzin i decydenci mający realny wpływ na życie gospodarcze i społeczne.

Tematy, które zostaną omówione podczas XI Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach, to m.in.: rola młodych ludzi w przekształcaniu Europy i przyszłość Unii Europejskiej, zależności między ekspansywnymi technologiami a rozwojem gospodarczym i społecznym, międzynarodowa współpraca gospodarcza, zagadnienia zrównoważonego rozwoju, cyfryzacja, robotyzacja, automatyzacja i ich wpływ na rozwój przemysłu, sukcesja i firmy rodzinne, miasta, metropolie, regiony, energia i energetyka, digitalizacja, cyberzagrożenia i sztuczna inteligencja, e-sport oraz rola kobiet w biznesie.

Polski rząd na wydarzeniu reprezentować będą m.in.: Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury, Teresa Czerwińska, minister finansów, Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii, Jarosław Gowin, wicepremier Rady Ministrów, minister nauki i szkolnictwa wyższego, Henryk Kowalczyk, minister środowiska, Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, Krzysztof Tchórzewski, minister energii.

W dniach 14 i 15 maja XI Europejskiemu Kongresowi Gospodarczemu w Katowicach towarzyszą European Start-up Days. ●

eprasa.pl 24062b618d

Błękitne paliwo z pokładów węgla

Gaz to kluczowy surowiec, od którego zależy bezpieczeństwo energetyczne Polski. W przyszłości ważnym źródłem wydobycia tego paliwa mogą być pokłady węgla na Górnym Śląsku, jego zasoby szacowane są na 170 mld m sześc. metanu. Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo ma już pierwsze sukcesy w ich eksploatacji

Polskie kopalnie należą do najbardziej metanowych w Europie, a zapalenia i wybuchy metanu to największe zagrożenie w górnictwie węgla kamiennego. Usuwanie metanu, który uwalnia się w trakcie prac górniczych, jest kosztowne i czasochłonne, co odbija się na wynikach ekonomicznych kopalni. W dodatku jest kłopotliwe z punktu widzenia ekologii – metan ma dużo większy potencjał cieplarniany niż dwutlenek węgla, a zakłady górnicze są jego głównym emitentem w kraju.

Szansę na rozwiązanie tych problemów daje program Geo-Metan, którego celem jest tzw. przedeksploatacyjne odmetanowanie kopalń za pomocą odwiertów wykonywanych z powierzchni ziemi. Chodzi o to, żeby usunąć metan ze skał węglonośnych, zanim górnicy przystąpią do fedrowania. Ale to niejedyna korzyść. Usunięty metan, czyli po prostu gaz ziemny, może być wykorzystany jako paliwo dla przemysłu, energetyki i gospodarstw domowych.

– Metan z pokładów węgla jest pozyskiwany na całym świecie. Wykorzystanie jego zasobów na Śląsku pozwoli znacząco zwiększyć potencjał krajowego wydobycia tego paliwa – powiedział Piotr Woźniak, prezes zarządu Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa SA.

To właśnie PGNiG w 2016 r. zainicjowało wspólnie z Państwowym Instytutem Geologicznym – Państwowym Instytutem Badawczym program Geo-Metan. Konsorcjum ma już na koncie pierwsze sukcesy. W trakcie testów wydobywczych prowadzonych w Gilowicach (gmina Miedźna) w 2017 r. z pokładów węgla pozyskano prawie 1 mln m sześc. metanu. Taki wynik uzasadniał wykonanie kolejnych odwiertów, które również okazały się udane. Aby zagospodarować wydobywany metan, PGNiG zdecydowało się na budowę generatora prądotwórczego zasilanego gazem. W kwietniu tego roku urządzenie o mocy 0,9 MW zostało podłączone do sieci.

– Uruchomienie bloku to kolejny krok w naszych planach rozwoju wydobycia metanu z pokładów węgla. W pierwszym etapie dowiedliśmy, że produkcja tego paliwa w ilościach przemysłowych jest możliwa. Teraz rozpoczęliśmy komercyjną eksploatację jego zasobów – powiedział Piotr Woźniak.

PGNiG zapowiada, że w przyszłym roku metan wydobywany w Gilowicach trafi do sieci gazowej i dalej – do odbiorców wykorzystujących gaz do przygotowywania posiłków i ogrzewania domów.

W lutym tego roku do programu Geo-Metan przystąpiła Polska Grupa Górnicza. Akces największego producenta węgla kamiennego w Unii Europejskiej pozwoli zbadać, w jakim stopniu przedeksploatacyjne odmetanowanie pokładów węgla przyczyni się do zmniejszenia zagrożenia metanowego w kopalniach. PGNiG już planuje odwierty, które będą wykonane na terenie Kopalni Węgla Kamiennego Ruda Ruch Bielszowice. ●

Zapraszamy do wysłuchania dyskusji na temat nowych zastosowań węgla, która odbędzie się podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego 15 maja 2019 r. o godz. 11:30 w sali konferencyjnej 25. Udział w niej wezmą m.in. przedstawiciele PGNiG i Państwowego Instytutu Geologicznego, którzy opowiedzą o programie Geo-Metan i wydobyciu metanu z pokładów węgla.

69/0419/F

eprasa.pl 24062b618d

Ku unii energetycznej

KRZYSZTOF TCHÓRZEWSKI
MINISTER ENERGII

Szanowni Państwo,
udział w Europejskim Kongresie Gospodarczym, jednym z największych wydarzeń gospodarczych w Europie Środkowej, to okazja przedstawienia polskiej drogi transformacji energetycznej licznemu gronu przedstawicieli środowisk branżowych, naukowych, ale również obywatelom zaangażowanym w problematykę rozwoju gospodarczego.

Serdecznie dziękuję organizatorom kongresu za włączanie energetyki w dyskusję o polskich, europejskich i ogólnoświatowych trendach gospodarczych. To ważne, ponieważ trudno rozpatrywać problemy dotyczące tego sektora bez szerszego kontekstu społeczno-gospodarczego oraz europejskiej polityki energetycznej, klimatycznej i surowcowej.

Polski rząd prowadzi odpowiedzialną i głęboko przemyślaną politykę energetyczną, respektującą trzy równoważne cele: bezpieczeństwo dostaw, zrównoważony rozwój i konkurencyjność. Jesteśmy zdania, że transformacja energetyki powinna być ewolucyjna i zachodzić w tempie zapewniającym bezpieczeństwo energetyczne. Musi również zapewnić konsumentom stały i pewny dostęp do energii po akceptowalnych społecznie cenach, przy minimalizowaniu negatywnego wpływu energetyki na środowisko.

Wizję przyszłości polskiej energetyki zawarliśmy w projekcie „Polityki energetycznej Polski do 2040 roku". Dokument ten wyznacza kierunki i działania niezbędne do ewolucyjnej transformacji energetycznej, przy jednoczesnym zapewnieniu zrównoważonego i odpowiedzialnego społecznie rozwoju gospodarczego. Natomiast w „Krajowym planie na rzecz energii i klimatu na lata 2021–2030" zapisaliśmy propozycje dotyczące zagadnień zarówno energetycznych, jak i środowiskowych, wymaganych regulacjami unijnymi. W warunkach polskich realna możliwość odejścia od energetyki węglowej w najbliższych latach nie jest możliwa, ponieważ ten surowiec gwarantuje bezpieczeństwo energetyczne kraju. Natomiast możliwa jest znaczna redukcja emisyjności, co plasuje nas, w odniesieniu do 1990 r., w grupie liderów UE w zakresie zmniejszenia szkodliwych emisji w Polsce.

Jednoznacznie podkreślamy, że zmiana bilansu paliwowo-energetycznego Polski musi być przeprowadzona w sposób korzystny nie tylko dla przemysłu i gospodarki naszego kraju, lecz przede wszystkim dla polskich obywateli. Ewolucyjność tego procesu wyklucza dylemat „węgiel czy odnawialne źródła energii". Bezpieczeństwo dostaw energii i dbałość o środowisko dyktują słuszne w polskich warunkach rozwiązanie – nowoczesne instalacje węglowe umożliwiające rozwój i funkcjonowanie odnawialnych źródeł energii. W tym aspekcie przewidywany jest rozwój morskiej energetyki wiatrowej, energetyki rozproszonej, klastrów energii, spółdzielni energetycznych i szeroko rozumianej energetyki prosumenckiej. Zagwarantowanie stabilnych mocy rezerwowych na rynku to również rola źródeł gazowych. Realizacja takich projektów jak gazociąg Baltic Pipe, rozbudowa terminalu LNG w Świnoujściu czy rozwój krajowej infrastruktury przesyłowej będzie sprzyjać uniezależnieniu Polski od dotychczasowego dostawcy i wzmocnieniu pozycji Polski na europejskim rynku gazu ziemnego oraz stworzeniu w naszym kraju centrum przesyłu i handlu gazem dla Europy Środkowej i Wschodniej.

W tym kontekście priorytetem naszych działań jest utrzymanie wysokiego poziomu niezależności energetycznej oraz dywersyfikacji kierunków dostaw surowców – dzięki czemu dyktat cenowy jednego dostawcy nie będzie już w stanie bezpośrednio wpływać na koszty energii dla polskich firm i gospodarstw domowych.

Inwestycje w energetyce nie mogą czekać. W tym roku uruchomiane są dwa duże bloki energetyczne w Opolu, rozpoczęto budowę elektrowni Ostrołęka C, prowadzona jest modernizacja mocy przesyłowych, współpracujemy z przemysłem, start-upami, centrami badawczo-rozwojowym oraz pracujemy nad nowoczesnymi metodami magazynowania energii. Wszystko po to, by polska energetyka odpowiadała wyzwaniom przyszłości.

Polska i Europa potrzebują teraz sprawiedliwej i mądrej realizacji idei unii energetycznej. Konieczne jest zachowanie równowagi między wysiłkiem wkładanym w integrację rynku, zmniejszenie oddziaływania sektora energii na środowisko, bezpieczeństwem energetycznym a odpowiedzialnością społeczną. My sami, zmieniając polską energetykę, musimy pamiętać o jej specyfice, uwarunkowaniach, ale przede wszystkim o ludziach – tych, którzy mają zapewnić jej przyszłość, i tych, którzy z niej na co dzień korzystają. ●

eprasa.pl 24062b618d

Polski sektor energetyczny aktywny w kształtowaniu przyszłości energetyki

Polski sektor energetyczny jest istotnie zaangażowany w działania na rzecz wypełnienia globalnych i unijnych celów w zakresie redukcji wpływu na środowisko

Krajowe poziomy emisji gazów cieplarnianych zostały znacząco obniżone w stosunku do notowanych w latach 90-tych, a największy udział w tej redukcji ma właśnie polska energetyka. Pracownicy sektora są świadomi stawianych przed nimi wyzwań związanych z ochroną klimatu i rzetelnie przygotowują się do kontynuowania transformacji w sposób gwarantujący zrównoważony rozwój i bezpieczeństwo energetyczne.

Dokumentem, który wytyczy kierunki rozwoju polskiej energetyki na najbliższe dekady i określi ramy, w których funkcjonować będą wszyscy uczestnicy rynku energii i paliw, jest projekt „Polityki energetycznej Polski do 2040 roku" (PEP2040). PEP2040 to wyraz dbałości o fundament silnego państwa, jakim zgodnie ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju jest zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego, przy jednoczesnym poszanowaniu celów środowiskowych.

Projekt opiera się na założeniu, że miks energetyczny będzie podlegał dalszej transformacji w kierunku wzrostu udziału źródeł gazowych i odnawialnych, w tym energetyki wiatrowej na morzu oraz energetyki jądrowej. Jednocześnie w perspektywie najbliższych kilkudziesięciu lat węgiel pozostanie istotnym elementem polskiego miksu energetycznego, gwarantującym bezpieczeństwo energetyczne kraju. PEP2040 wskazuje również, że konieczne są inwestycje w kolejne moce wytwórcze i przesyłowe, gdyż wraz z poziomem zamożności społeczeństwa i rozwojem gospodarczym rośnie zapotrzebowanie na energię.

Pożądane jest przy tym zaktywizowanie samorządów, skutkujące racjonalną gospodarką energetyczną oraz rozwojem czystych źródeł energii i poprawą jakości powietrza. Kolejne istotne wyzwania wskazane w PEP2040 to zwiększenie efektywności energetycznej i dążenie do rozbudowy ciepłownictwa, rozwój kogeneracji, zwiększenie wykorzystania odpadów oraz rozwijanie gospodarki w obiegu zamkniętym, a także popularyzacja magazynów energii i inteligentnych sieci.

Coraz ważniejszą rolę w kształtowaniu przyszłości energetyki odgrywają uwarunkowania środowiskowe, a innowacje technologiczne zmieniają konkurencyjność wielu gałęzi gospodarki, modyfikując jednocześnie tradycyjną mapę zależności od surowców. W tym kontekście ogromne znaczenie ma wykorzystanie własnych zasobów paliw i źródeł energii.

PKEE
Polski Komitet
Energii Elektrycznej

Polski sektor energetyczny świadomie realizuje kolejne działania mające na celu zmniejszenie poziomu emisji zanieczyszczeń i poprawę jakości powietrza, mającej znaczący wpływ na zdrowie człowieka i komfort życia. Eksploruje nowe obszary, takie jak rozwój elektromobilności, zarządzanie popytem, klastry energii, rozproszone wytwarzanie energii i ciepła.

Ze względu na strukturę wytwarzania energii, Polska ponosi znacznie wyższe koszty dalszej transformacji w kierunku gospodarki zrównoważonej i niskoemisyjnej w porównaniu z innymi krajami Unii Europejskiej. Sektor energetyczny poszukuje sposobów na zmniejszenie wydatków i poprawę efektywności poprzez realizację działań w zakresie rozwoju nowoczesnych, innowacyjnych technologii. Istotna jest kwestia sprawiedliwej transformacji i pozyskanie dodatkowego wsparcia finansowego regionów najbardziej zagrożonych jej potencjalnymi społecznymi ryzykami.

Polski Komitet Energii Elektrycznej jako partner tegorocznego Europejskiego Kongresu Gospodarczego jest gospodarzem kluczowej dla sektora sesji **„PEP 2040. Długoterminowa strategia dla polskiej energetyki"**. 13 maja o godzinie 12.30 uczestnicy, wśród których mamy zaszczyt gościć ministra energii Pana Krzysztofa Tchórzewskiego oraz prezesów najważniejszych spółek sektora, dyskutować będą między innymi o perspektywach i trendach w światowej energetyce, globalnej polityce klimatycznej oraz transformacji energetycznej. Tej debaty nie sposób pominąć. ●

6/0519/F

eprasa.pl 24062b618d

PEP2040, przedstawiając długoterminową politykę energetyczną, wytycza trzy równoważne jej cele: bezpieczeństwo dostaw, zrównoważony rozwój oraz konkurencyjność. Prezentuje też realistyczną drogę do osiągnięcia tych celów – w polskiej energetyce będą wielkie zmiany, ale bez niszczącej rewolucji. Energia nie może być droga – ceny muszą odpowiadać utrzymaniu koniecznego poziomu cywilizacyjnego społeczeństwa i konkurencyjności w przemyśle

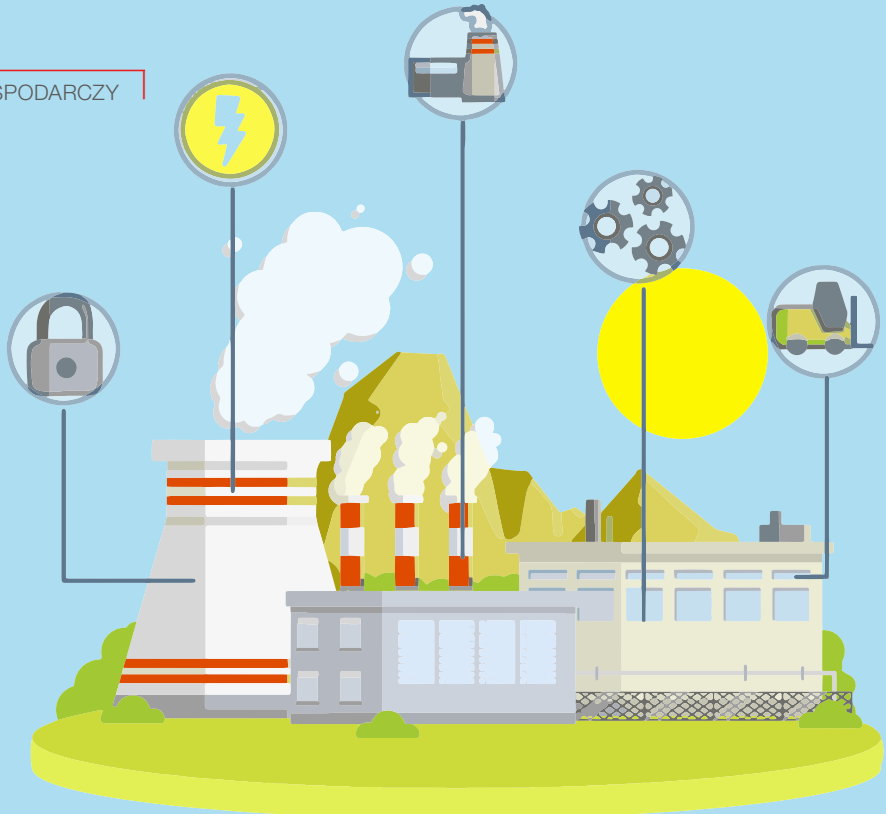

TERESA WÓJCIK

PEP2040 – strategia dla polskiej energii i gospodarki

Przez ostatnich kilkanaście weekendów we Francji gwałtowne demonstracje „żółtych kamizelek" były reakcją obywateli na realny spadek poziomu życia ich rodzin, spowodowany rygorami unijnej polityki klimatycznej wdrażanej przez Francję. Polityczne wrzenie z ulic francuskich miast przenosi się do innych krajów.

W przemyśle coraz częściej nie tylko energochłonne przedsiębiorstwa są przenoszone z Europy do krajów, w których wymogi ochrony klimatu nie są tak drastyczne. 6 maja pojawił się komunikat, że we wrześniu tego roku zostanie wygaszony ostatni wielki piec w krakowskiej hucie ArcelorMittal Poland. Indyjski koncern Mittal jako przyczynę podał „wyśrubowane wymogi klimatyczno-energetycznej polityki Unii Europejskiej". Nieco wcześniej w Chinach poinformowano o rozbudowie hutnictwa stali w tym kraju...

Transformacja

PEP2040 zakłada, że rozwój energetyki krajowej będzie się odbywać z uwzględnieniem pięciu podstawowych zasad: transformacji, bezpieczeństwa, rozwoju, inwestycji, redukcji emisji. Transformacja w energetyce to zwiększanie udziału odnawialnych źródeł energii do 21 proc. finalnego zużycia energii brutto w 2030 r. przy szczególnym wykorzystaniu potencjału fotowoltaiki oraz energetyki wiatrowej.

Przewidywany w ramach ekspansji OZE jest wzrost energetyki rozproszonej: klastrów energii, kogeneracji, spółdzielni energetycznych, energetyki prosumenckiej. Dwa zjawiska są tu szczególnie istotne. Aukcje OZE w 2018 r. – szczególnie dla energetyki wiatrowej i fotowoltaiki – dowiodły, że OZE dochodzą do wymogów rynkowej dojrzałości. Jeśli chodzi o energetykę rozproszoną, to w ciągu ostatnich dwóch lat liczba zainstalowanych mikroinstalacji zwiększyła się z ok. 16 tys. do 54 tys., czyli ponadtrzykrotnie.

Bez detronizacji węgla

Transformacja wymaga także dywersyfikacji całości polskiego miksu energetycznego, w tym stopniowego spadku udziału węgla kamiennego i brunatnego w bilansie wytwarzania energii elektrycznej. Przewidywane tempo spadku to z obecnego udziału 77 proc. do 60 proc. w 2030 r. Nie przewiduje się jednak spadku zapotrzebowania na węgiel ani zużycia tego surowca – wolumen wykorzystania węgla kamiennego pozostanie bez zmian ok. 30 mln ton rocznie dla wygenerowania ok. 70 TWh. Pełna dekarbonizacja oraz inne rygorystyczne cele polityki klimatycznej na rok 2050 przyjęte w Brukseli

eprasa.pl 24062b618d

28 listopada 2018 r. to nie są wiążące zobowiązania dla państw członkowskich, lecz wizja, którą politycy Brukseli przedstawili m.in. bez większego powodzenia na szczycie klimatycznym w Katowicach. Zapotrzebowanie na węgiel będzie duże z uwagi na poważne inwestycje w moce konwencjonalnej energetyki: realizowane bloki m.in. w Opolu, Jaworznie, zrealizowany blok w Kozienicach, planowany nowy duży blok w Ostrołęce. Import węgla jest obecnie u nas znaczący, gdyż wydobywamy go w kraju za mało w stosunku do potrzeb rynku. To skutek wyczerpywania się złóż w wielu kopalniach przy zupełnym zaniedbaniu inwestowania w nowe złoża i ściany w okresie rządów koalicji PO-PSL. Dopiero teraz prowadzone są prace przygotowawcze do eksploatacji nowych złóż.

Rys. Shutterstock

Elektrownie jądrowe kluczowe dla bezpieczeństwa

Transformacja obejmuje wreszcie wdrożenie energetyki jądrowej, zapowiedziane na 2033 r. Jest to niezwykle ważna inwestycja także dlatego, że pozwoli na zaspokojenie rosnącego popytu na energię elektryczną. Bloki jądrowe są kluczowym elementem zapewnienia w przyszłości bezpieczeństwa energetycznego dla Polski, ponieważ zapewnią stabilne generowanie energii niezależnie od warunków pogodowych. Do 2043 r. przewiduje się produkcję energii elektrycznej z bloków jądrowych na poziomie od 6 do 9 GW. Terminy oddawania do użytku poszczególnych bloków jądrowych wynikają z przewidywanych ubytków mocy z innych jednostek produkcyjnych przy jednoczesnym wzroście zapotrzebowania na energię elektryczną. Pierwszy blok jądrowy (o mocy 1–1,5 GW) będzie uruchomiony w 2033 r., kolejne pięć bloków – co dwa lata (do 2043 r.). Po podjęciu ostatecznych decyzji wybrani zostaną technologia i generalny wykonawca budowy. Stworzenie w kraju sektora energetyki jądrowej wymaga wprowadzenia zmian prawnych, które muszą wyprzedzać realizację całego programu. Jego rozpoczęcie, zgodnie z PEP2040, wymaga zakończenia prac nad modelem finansowania.

Energetyka węglowa i gazowa, a po 2033 r. właśnie jądrowa, są konieczne, by zagwarantować odpowiednie, stabilne moce rezerwowe dla energetyki OZE. Do tego bezemisyjna energetyka jądrowa obniży w kraju średni poziom emisji gazów cieplarnianych.

Gaz i bezpieczeństwo gazowe

Szacuje się, że już w 2030 r. zainstalowane będzie prawie 5 GW w blokach gazowych oraz 2 GW w gazowych elektrowniach kogeneracyjnych.

Zapotrzebowanie na gaz ziemny, którego w kraju mamy niewiele, pokrywane będzie głównie przez import. Stabilność i bezpieczeństwo dostaw paliwa gazowego będą gwarantować znaczące inwestycje w infrastrukturze przesyłowej. Chodzi o realizację projektu gazociągu Baltic Pipe o przepustowości 10 mld m sześc. rocznie. Kolejnym przedsięwzięciem jest rozbudowa terminala LNG w Świnoujściu do 7,5 mld m sześc. rocznie (a w perspektywie – do 10 mld m sześc.). W perspektywie jest też projekt budowy pływającego terminala LNG o przepustowości 4,5 mld m sześc. rocznie oraz równoległy rozwój krajowej infrastruktury przesyłowej. Równocześnie nadal będą prowadzone poszukiwania i eksploatacja krajowych złóż gazu, także przy stosowaniu technologii niekonwencjonalnych do wydobycia metanu ze złóż węgla kamiennego. Rozwinięta dywersyfikacja dostaw gazu będzie sprzyjać nie tylko umocnieniu naszej pozycji na europejskim rynku gazu, ale także utworzeniu w Polsce centrum przesyłu i handlu gazem (hubu) dla regionu Europy Środkowej i Wschodniej.

Energię warto szanować

Zgodnie z wymogami Unii Europejskiej powinniśmy w Polsce dążyć do poprawy efektywności energetycznej całej gospodarki. Polega to na zaoszczędzeniu do 2030 r. energii pierwotnej o 23 proc. w stosunku do poziomu zużycia prognozowanego na ten rok w roku 2007. Wartości obowiązujące w latach 2030–2040 będą zależały od decyzji przyjętych przez Unię Europejską.

Będzie to jednak inna Unia Europejska i inne jej instytucje. Wyłonią się one na skutek decyzji wyborów do Parlamentu Europejskiego, które odbędą się 26 maja. Być może Unia Europejska stanie się organizacją rozumiejąca lepiej, jakie są prawdziwe interesy i obawy narodów europejskich.

Niezawodne sieci przesyłowe

Wraz z rozwojem nowych źródeł energii elektrycznej konieczny będzie rozwój infrastruktury przesyłowej i dystrybucyjnej. PEP2040 przewiduje realizację siedmiu programów inwestycyjnych, w tym usprawnienia przepływu na połączeniach transgranicznych. Celem jest osiągnięcie średniego poziomu UE we wskaźnikach długości i częstości przerw w dostawach energii. Sprawne postępowanie w sytuacjach awaryjnych ma zapewnić cyfrowy system łączności operatorów systemów dystrybucyjnych. Infrastruktura zostanie wyposażona w urządzenia sterowania, a inteligentne sieci elektroenergetyczne zapewnią integrację działań przyłączonych obiektów i użytkowników.

Finansowanie

Program PEP2040 będzie wymagać wielkich nakładów, szacunkowo chodzi o 400 mld zł. Eksperci zwracają uwagę na znaczne prawdopodobieństwo pojawienia się trudności w uzyskaniu finansowania z zagranicy. Mogą one dotyczyć inwestycji w elektrownie zarówno jądrowe, jak i węglowe. Na elektrownie jądrowe możemy poczekać, węglowe bloki trzeba jednak zbudować szybko, aby zapewnić społeczeństwu i gospodarce nieprzerwane dostawy energii elektrycznej, a tym samym bezpieczeństwo energetyczne. Obecnie największym wyzwaniem jest więc opracowanie modeli finansowania rozwoju energetyki konwencjonalnej opartej na własnych zasobach energii pierwotnej. Może się okazać, że jedynymi partnerami zapewniającymi kredytowanie będą krajowe banki i instytucje finansowe. Zdaniem części ekspertów polskiego rynku energii obecne zasoby finansowe pozwalają na takie rozwiązanie. ●

eprasa.pl 24062b618d

PPK, czyli bezpieczeństwo i rozwój

Jaki jest cel wprowadzenia Pracowniczych Planów Kapitałowych, które wchodzą w życie wraz z początkiem lipca tego roku? Odpowiedź wydaje się prosta – wsparcie systemu emerytalnego. Ale to tylko jeden wymiar zmian, jakie przyniosą PPK. Budowa oszczędności Polaków będzie miała też znaczenie dla rozwoju gospodarki i sektora finansowego

Bezpieczeństwo przyszłych emerytów to oczywiście priorytet dla PPK. Ale oprócz bezpieczeństwa niezmiernie ważna jest też inna wartość – rozwój. A dokładnie rozwój polskiej gospodarki, w którym w wymierny sposób może pomóc budowa polskiego lokalnego kapitału. Chociaż obecnie nasza gospodarka się rozwija, mamy wysokie PKB, wzrost płac i niskie bezrobocie, nasz majątek, czyli aktywa finansowe pozostające w posiadaniu gospodarstw domowych, wciąż jest dużo niższy niż w innych krajach Unii Europejskiej. Przez ostatnie 30 lat ów kapitał w ogromnej mierze importowaliśmy, czy to poprzez inwestycje bezpośrednie firm, kredyty, czy środki unijne. Jeżeli chcemy podtrzymać i wykorzystać korzystny wzrost gospodarczy, czas kumulować kapitał w sposób organiczny.

Warto zauważyć, że obecnie i tak jesteśmy w lepszej sytuacji niż kraje Europy Zachodniej w tym sensie, że my wciąż się rozwijamy. We Włoszech w ciągu ostatniej dekady poziom dochodu rozporządzalnego się nie zmienił, a nawet nieco spadł. Tam nie ma rozwoju, nie rosną wynagrodzenia, a oszczędności są przejadane. W Polsce wygląda to zupełnie inaczej, dlatego jednym z celów, jakie mają zrealizować Pracownicze Plany Kapitałowe, jest wykorzystanie towarzyszącego nam wzrostu do budowy naszych oszczędności, lokalnego kapitału. To będzie długofalowy, niezwykle pozytywny impuls dla polskiej gospodarki.

Przy tym bardzo istotne jest to, że ten kapitał będzie się akumulował w sposób systematyczny, efektywny, a jednocześnie nieskomplikowany z perspektywy obywatela. Wynika to

PAWEŁ BORYS
PREZES POLSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU

z istoty funkcjonowania PPK – pracownik nie musi wykonywać żadnych operacji związanych z przystąpieniem do programu, to leży w gestii jego pracodawcy oraz wybranej instytucji finansowej. Odkłada minimum 2 proc. pensji brutto, maksymalnie pracownik zaś może odłożyć samodzielnie 4 proc. i 4 proc. ze strony pracodawcy. To klasyczna realizacja powiedzenia „Kropla drąży skałę". Tak niewygórowane kwoty sprawią, że proces oszczędzania będzie z jednej strony mało inwazyjny, ale z drugiej niezmiernie skuteczny, bo kapitał akumulowany systematycznie latami w ostatecznym rozrachunku będzie miał znaczącą wartość.

Nie można zapominać też o innych pozytywnych zmianach, jakie przyniosą PPK. Dla sektora finansowego fundamentalne znaczenie będzie mieć wpływ programu na rozwój Giełdy Papierów Wartościowych, która może się stać centrum finansowym Europy Środkowo-Wschodniej. Wystarczy spojrzeć na liczby – do PPK rocznie będzie wpływać 15–20 mld zł, dla GPW zaś będzie to oznaczać zastrzyk 6–7 mld zł. Fundusze obsługujące PPK będą inwestować w obligacje skarbowe i korporacyjne, ale też na rynku akcji w Polsce i za granicą. Tym samym w naszym kraju będziemy mieć największą grupę inwestorów długoterminowych w regionie. Dla rynku kapitałowego nad Wisłą Pracownicze Plany Kapitałowe będą więc stanowić wyjątkowy impuls i dadzą szansę na bardzo dynamiczny rozwój tego sektora.

PPK z jednej strony zabezpieczą emerytury Polaków, pozwolą oszczędzać, a poprzez rozsądne zdywersyfikowane inwestowanie środków będą rozwijać kapitał. Zarazem owe inwestycje będą stanowić znaczący bodziec do rozwoju rynku finansowego, budować siłę polskich funduszy i giełdy. Te procesy łącząc się ze sobą, w perspektywie lat pozwolą zbudować siłę stabilnej gospodarki. Dlatego PPK stanowią szansę nie tylko dla przyszłych emerytów, ale dla nas wszystkich. Program PPK wspólnie z zaproponowanym przez premiera Mateusza Morawieckiego przekształceniem OFE w IKE stanowią kluczową reformę dla siły i bezpieczeństwa systemu emerytalnego opartego na trzech filarach: 1. repartycyjnym, publicznym i obowiązkowym w postaci emerytur z ZUS; 2. pracowniczym, prywatnym i dobrowolnym w postaci powszechnych PPK; 3. Indywidualnym, prywatnym i dobrowolnym w postaci powszechnych IKE. To nowoczesna, przejrzysta i budująca większy kapitał emerytalny oferta dla Polaków, która przygotowuje nasz kraj na proces starzenia się społeczeństwa i zapewnia poprzez stabilność oraz różnorodność większe bezpieczeństwo finansowe na emeryturze. ●

eprasa.pl 24062b618d

Nowe rozdanie emerytalne

Od lipca br. rozpoczną się zmiany w systemie emerytalnym wprowadzonym 20 lat temu. Premier Mateusz Morawiecki zapowiedział, że to ewolucyjna przebudowa systemu, który będzie oparty na trzech stabilnych filarach

MAŁGORZATA DYGAS

Rys. Shutterstock | 9/0519/F

Dwie dekady temu zaczął obowiązywać w Polsce nowy system emerytalny, kapitałowo-repartycyjny (obowiązkowy dla osób urodzonych od 1 stycznia 1969 r.). Do systemu w 1999 r. zamiast świadczenia wypłacanego niezależnie od wartości składek przekazanych do ZUS wprowadzono nowatorską, jak na tamte lata, konstrukcję świadczenia. Każdy ubezpieczony (składkujący) miał w przyszłości otrzymać emeryturę składającą się z trzech świadczeń, części mniej więcej równych kwotowo, które byłyby wypłacane z trzech filarów.

Do dzisiaj obowiązuje tzw. I filar, czyli Fundusz Ubezpieczeń Społecznych (administrowany przez ZUS). Z tego filara miała być wypłacana emerytura, którą opłacaliby składkujący w danym czasie pracujący Polacy. Taki system obowiązywał w stu procentach do końca 1998 r. pod fachową nazwą systemu repartycyjnego: pokolenie pracujących obywateli składa się na emerytury rodziców, dziadków, wujków...

Kapitałowa część systemu

Tzw. II filar to Otwarte Fundusze Emerytalne (OFE) zarządzane przez prywatne firmy – powszechne towarzystwa emerytalne (PTE). Zostały one wprowadzone wraz z wejściem w życie nowego systemu, tj. od 1 stycznia 1999 r. Polacy mogli się wtedy stać członkami jednego z 21 OFE. Obecnie mamy na rynku 12 tego typu podmiotów: Aegon OFE, Allianz Polska OFE, Aviva OFE, Axa OFE, Generali OFE, Metlife OFE, OFE Nationale Nederlanden, Nordea OFE, Pekao OFE, PKO BP Bankowy OFE, Pocztylion OFE, PZU „Złota Jesień" OFE. Zarządzający aktywami członków funduszy inwestowali ich pieniądze na rynku finansowym (akcje, obligacje, bony, depozyty). Na początku składka przekazywana do OFE (za pośrednictwem ZUS) wynosiła 7,3 proc. pensji brutto ubezpieczonego, od 2011 r. 2,3 proc., a obecnie jest to 2,92 proc.

Z tej części systemu emerytalnego (kapitałowego) świadczenie miało zależeć nie tylko od wpłaconych składek,

eprasa.pl 24062b618d

ale także od zdolności do pomnażania pieniędzy przez zarządzających aktywami OFE (dawniej także od wysokości pobieranej prowizji za te czynności, obecnie opłata dystrybucyjna nie może przekroczyć 3,5 proc., także opłaty za zarządzanie aktywami, poniżej 1 proc.).

I tzw. III filar, które obecnie tworzą: Pracownicze Programy Emerytalne (PPE) – wprowadzone w 2002 r., Indywidualne Konta Emerytalne (IKE) – rozpoczęły działalność od września 2004 r. oraz Indywidualne Konta Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE) – wprowadzone w styczniu 2012 r.

Terminy wejścia w życie PPK dla poszczególnych grup pracodawców

Terminy wprowadzania PPK u poszczególnych pracodawców zależą od liczby zatrudnionych pracowników. I tak dla:

- podmiotów zatrudniających co najmniej 250 osób (stan na 31.12.2018 r.) od 1 lipca 2019 r.,
- podmiotów zatrudniających co najmniej 50 osób (stan na 30.06.2019 r.) od 1 stycznia 2020 r.,
- podmiotów zatrudniających co najmniej 20 osób (stan na 31.12.2019 r.) od 1 lipca 2020 r.,
- pozostałych podmiotów i całego sektora finansów publicznych (niezależnie od liczby zatrudnionych) od 1 stycznia 2021 r.

Do systemu oszczędzania w PPK zostaną włączeni automatycznie wszyscy pracownicy od 18 do ukończenia 55 lat, za których są odprowadzane składki do ZUS (zapis po trzech miesiącach zatrudnienia).

Trzy filary do wyboru

Kampanie społeczne i medialne, uruchomione z racji debiutu nowego systemu, pokazywały Polakom, że od teraz ich przyszły świat na emeryturze będzie podobny do rzeczywistości Niemców, Brytyjczyków... Ale muszą sami dołożyć starań i oszczędzać także dodatkowo, by zastąpić w sporej mierze świadczenia z ZUS w ramach jednej z trzech dostępnych form: PPE, IKE lub IKZE.

Żadna spośród dobrowolnych form oszczędzania nie stała się jednak masowym sposobem na gromadzenie oszczędności emerytalnych. Pewien przymus dotyczył PPE prowadzonych przez pracodawców (maksymalna składka pracodawcy i dodatkowa pracownika nie mogła być wyższa niż 7 proc. pensji brutto składkującego). Eksperci podkreślają, że istotną przeszkodą w masowym uczestnictwie w PPE było m.in. ograniczenie możliwości kumulowania kapitału przez osoby, które zmieniały zatrudnienie i przechodziły do innego pracodawcy, u którego nie funkcjonował taki program. Inne ograniczenia wynikają z porównania PPE z IKE i IKZE, ponieważ z dwiema ostatnimi formami oszczędzania łączą się indywidualne ulgi fiskalne, a w PPE ulgi są przypisane tylko do składki podstawowej opłacanej przez pracodawcę.

Eksperyment do korekty

Jak to bywa z eksperymentami, polski projekt emerytalny też ujawnił w praktyce swoje wady. Jednak ani politycy, ani władze towarzystw emerytalnych zarządzających OFE nie dołożyli należytej staranności, aby po kilku latach dokonać merytorycznego przeglądu i dokończyć reformę emerytalną zgodnie z założeniami zawartymi w Ustawie o organizacji i funkcjonowaniu funduszy emerytalnych z 28 sierpnia 1997 r.

O mizerii skuteczności oszczędzania na cele emerytalne można się przekonać, czytając dane przedstawione przez Polski Fundusz Rozwoju. Na koniec 2018 r. funkcjonowało blisko 1140 PPE obejmujących 395 tys. osób, co stanowiło zaledwie 2,41 proc. liczby pracujących. W tym samym czasie IKE miało ponad 951 tys. osób, co stanowiło 5,8 proc. pracujących. Natomiast posiadaniem IKZE mogło się pochwalić niespełna 700 tys. osób, co stanowiło 4,2 proc. pracujących. Zatem niecałe 13 proc. pracujących myślało aktywnie, tzn. decyzyjnie, o przyszłości finansowej na emeryturze.

Ekonomiści, eksperci, przedstawiciele rządu są świadomi, że istniejący w obecnej formie system emerytalny kapitałowo-repartycyjny nie gwarantuje w przyszłości Polakom godziwych emerytur. Mając na uwadze niekorzystne prognozy demograficzne oraz zmienność koniunktury na globalnych rynkach finansowych, można przypuszczać, że obecni 20-, 30-, 40-latkowie otrzymają emeryturę w takiej samej wysokości. Czy to będzie emerytura obywatelska, powszechna, czy minimalna – jej nazwa nie ma znaczenia. Będzie ona finansowana przez pokolenie pracujących Polaków, z pewnymi dotacjami z państwowego budżetu. I z pewnością nie będzie wysoka – tak jak dzisiejsze minimalne emerytury.

Perspektywa planów kapitałowych

Propozycją obecnego rządu na efektywny system emerytalny są Pracownicze Plany Kapitałowe (PPK) oraz systemowe zmiany dotyczące OFE. W kwietniu br. podczas konferencji prasowej premier Mateusz Morawiecki przedstawił plan przekazania środków z funduszy emerytalnych do IKE. Obecny rząd decyzjami dotyczącymi powołania PPK oraz zmianami w tzw. II filarze proponuje ewolucyjną przebudowę systemu emerytalnego, który ma być oparty na trzech filarach: ZUS, PPK i IKE.

Pracownicze Plany Kapitałowe, które zaczną działać w dużych zakładach pracy od 1 lipca br. (patrz ramka 1), są propozycją na miarę możliwości każdego pracownika. Plany kapitałowe w założeniu mają uzupełnić finanse przyszłych emerytów – PPK nie są i nie będą częścią systemu emerytalnego, a jedynie sposobem zdywersyfikowania indywidualnych oszczędności długoterminowych. Gromadzone pieniądze mogą być dziedziczone, będzie je można wcześniej wypłacić (pod pewnymi warunkami), a po osiągnięciu wieku emerytalnego wypłacać przez 10 lat. Nie ma przymusu bycia posiadaczem takiego konta – można przystąpić do PPK, a następnie zrezygnować, składając pisemny wniosek u pracodawcy. I po czterech latach ponownie

eprasa.pl 24062b618d

powrócić do tej formy kumulowania kapitału. Pracownik będzie wpłacał składkę w wysokości 2 proc. pensji brutto, pracodawca 1,5 proc., a państwo opłatę powitalną i roczny bonus (patrz ramka 2).

Interes życia

PPK rozpoczną swoje życie za kilka miesięcy i będą wprowadzane we wszystkich przedsiębiorstwach, począwszy od lipca 2019 r. do stycznia 2021 r., włączając do prywatnego oszczędzania blisko 11,5 mln pracowników.

Można zrezygnować z tej formy długoterminowego oszczędzania, ale na jakim rynku finansowym uda się obecnie uzyskać wyższą stopę zwrotu z włożonych pieniędzy? – Start PPK jest zachęcający – uważa Bartosz Marczuk, wiceprezes Polskiego Funduszu Rozwoju. I precyzyjnie wyjaśnia: – Jeżeli pracownik zarabia 4 tys. zł brutto, to jego miesięczna wpłata do PPK wyniesie 2 proc. od tej kwoty, tj. 80 zł. Do tego 60 zł dołoży firma, w której jest zatrudniony. Do tych pieniędzy 20 zł dopłaci budżet państwa. W sumie daje to 160 zł miesięcznie zaksięgowanych na indywidualnym prywatnym koncie, a zatrudniony wpłacił połowę tej kwoty. Czyli mamy 160 zł miesięcznie z 80 zł własnych – dwa razy więcej. Jeśli przełożymy to na rachunek roczny – z wpłaconych 960 zł na rachunku PPK, nie uwzględniając zysków, wychodzi blisko 2 tys. zł. I dlatego tę formę długoterminowego oszczędzania można nazwać interesem życia.

Powstanie nowy filar

Dla ponad 15,8 mln pracujących Polaków problemem do rozwiązania pozostaje kapitał emerytalny zgromadzony w ramach tzw. II filara, czyli OFE. Premier Mateusz Morawiecki zaproponował konkretne wyjście z zafundowanego przez poprzedników impasu. Trzeba tu przypomnieć, że 3 lutego 2014 r. w majestacie prawa rząd PO-PSL dokonał transferu z kont uczestników OFE ponad 153 mld zł ulokowanych w papierach emitowanych przez Skarb Państwa, a uczestnicy funduszy emerytalnych w zamian otrzymali wirtualny zapis na subkoncie gromadzonych przez 15 lat pieniędzy. De facto każdy uczestnik stracił 51 proc. swoich emerytalnych oszczędności. Te 153 mld zł będą musieli wypracować i przekazać Polakom emerytom pracujący rodacy!

Premier Mateusz Morawiecki pod koniec kwietnia zaprezentował koncepcję zmian w OFE. Zgodnie z jego zapowiedzią 100 proc. środków, które są na kontach uczestników funduszy emerytalnych, tj. ponad 162 mld zł, zostanie przekazane na IKE – konta prywatne, imienne każdego posiadacza dotychczasowego OFE. Każdy będzie miał wybór – można kapitał ponownie powierzyć prywatnym firmom prowadzącym IKE lub przenieść je do ZUS. Ale... transfer pieniędzy do IKE zostanie obciążony 15-proc. podatkiem/opłatą przekształceniową (7,5 proc. w 2020 i 7,5 proc. w 2021 r.). Oszczędności zgromadzone w IKE będzie można wypłacić w ratach lub jednorazowo po przejściu na emeryturę. – W momencie przekazania kapitału do IKE będzie pobrana opłata przekształceniowa, aby była zachowana sprawiedliwość. Jeżeli są wypłacane środki przez ZUS – dzisiejsze emerytury – one są obciążone 18-proc. podatkiem, a dla niektórych 32-proc. (...) Bez opłaty przekształceniowej środki z IKE byłyby uprzywilejowane – powiedział premier Mateusz Morawiecki podczas konferencji prasowej.

Konsekwencją takiego rozwiązania jest docelowe wygaszenie działalności Powszechnych Towarzystw Emerytalnych, które zarządzały środkami w OFE, i przekształcenie ich w Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych.

Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, zapowiedział, że zgodnie z przewidywanym harmonogramem odpowiedni projekt ustawy dotyczący OFE zostanie skierowany do konsultacji społecznych jeszcze w maju, rząd będzie nad nim pracował przez czerwiec i lipiec, natomiast prace w parlamencie planowane są na wrzesień–październik, aby reforma tzw. II filara weszła w życie od 1 stycznia 2020 r.

Zmiany w OFE, łącznie z wprowadzeniem PPK, to spójna koncepcja zbudowania systemu emerytalnego, który w przyszłości zapewniłby Polakom emerytury z systemu powszechnego, a pieniądze gromadzone na PPK lub IKE (transformacja OFE) byłyby dodatkowym, regularnym wsparciem do emerytury powszechnej po zakończeniu aktywności zawodowej.

W każdym systemowym rozwiązaniu, w tym przypadku dotyczącym systemu emerytalnego, można znaleźć plusy i minusy. System, który nie został zmodyfikowany zgodnie z założeniami twórców reformy sprzed 20 lat, niedostosowany do warunków społecznych, gospodarczych i zmian demograficznych stał się jedynie problemem, nie zaś wsparciem dla milionów Polaków. Podczas rządów PO-PSL w latach 2011–2014 dokonano demontażu systemu, a nie jego korekty. ●

Wpłaty do Pracowniczych Planów Kapitałowych

Pracodawca wpłaca składkę podstawową, tj. 1,5 proc. wynagrodzenia brutto pracownika. Ubezpieczony także co miesiąc wpłaca składkę w wysokości 2 proc. wynagrodzenia brutto. Poza tym pracownicy otrzymają od państwa na konto PPK wpłatę powitalną (jednorazową) 250 zł. Uprawnieni do tego bonusu są ci, którzy przez co najmniej trzy pełne miesiące byli uczestnikami programu i dokonali w tym czasie wpłat podstawowych. Ustawodawca zobowiązał państwo do corocznej dopłaty w wysokości 240 zł na konto każdego uczestnika PPK. Do tej kwoty mają prawo pracownicy, których wpłaty podstawowe i dodatkowe wynoszą co najmniej 3,5 proc. sześciokrotności minimalnego wynagrodzenia w roku, za który jest dokonywana wpłata. Ci, których wpłaty podstawowe są niższe niż 2 proc., muszą zgromadzić co najmniej 25 proc. powyższej kwoty. Wpłaty powitalne i wpłaty roczne dokonywane przez państwo będą finansowane z Funduszu Pracy i zostaną przekazane na rachunki uczestników PPK za pośrednictwem Polskiego Funduszu Rozwoju SA.

eprasa.pl 24062b618d

MAREK SIUDAJ

Nadchodzi era API

Przyszłość bankowości dzieje się teraz. Właśnie powstają aplikacje i rozwiązania, które zmienią sposób, w jaki płacimy. A kluczem do tych zmian jest programistyczny interfejs aplikacji, czyli API

Oczywiście API w tej chwili ma już każdy bank. Są one przygotowane – i to jest wielkie osiągnięcie rynku bankowego – według jednego standardu. To właśnie API są przyszłością, dokładnie zaś – bramą do przyszłości banków i firm finansowych w Polsce oraz w UE.

Ta przyszłość już się tworzy. Wiele banków nie tylko pracuje nad API (z harmonogramu wynika, że jeszcze jest czas na poprawki), lecz i udostępnia środowisko testowe dla firm, które chcą z API korzystać przy swoich rozwiązaniach. Pojawiają się już informacje, że do niektórych z instytucji finansowych zgłosiło się nawet kilkudziesięciu chętnych do skorzystania ze środowiska testowego. Wszystko po to, aby we wrześniu, kiedy banki będą musiały się otworzyć na firmy trzecie, mieć gotowe produkty.

Przyznam, że nie wiem, jakiego typu rozwiązania zostaną stworzone. Liczę przede wszystkim na rozwój mikropłatności, w złotych czy w groszach, bo właśnie ta sfera pozostaje daleko w tyle za ogólnym rozwojem płatności sieciowych, choć przecież internet idealnie nadaje się do sprzedawania treści (kontentu) za niską cenę.

Myślę jednak, że API może być rozwiązaniem dla wielu firm finansowych, których kontakt z klientem nie jest tak częsty jak w przypadku banków. Przykładem może być leasing, który wymaga od klienta jedynie wybrania przedmiotu leasingu i zawarcia umowy (uwaga, polskie prawo nakazuje w przypadku leasingu umowy na papierze!), a potem opłacania rat. Trudno wymagać od klientów, aby specjalnie na tę okoliczność instalowali aplikację. Co innego, gdyby można było przez aplikację bankową wejść do programu związanego z leasingiem. Czy właściwie odwrotnie – gdyby program leasingowy mógł poprzez API wejść do aplikacji bankowych.

Oczywiście wiele firm liczy na to, że uda im się stworzyć własną aplikację podstawową, do której inni będą wchodzić poprzez bramkę API. I jest to całkiem możliwe, bo nowe rozwiązania technologiczne oraz prawne wcale nie nakazują, aby centrum finansowej cybersfery było konto bankowe. To może być jeden z programów, które klient wykorzystuje najczęściej.

Gdzieś w tle jest jeszcze administracja państwowa. W jej przypadku model wyspowy, oparty na porozumiewających się interfejsach, jest idealny. Obywatel tak naprawdę na co dzień potrzebuje dowodu osobistego, a tę funkcję może spełniać odpowiednia aplikacja. Reszta powinna być uruchamiana w zależności od potrzeb. Jeśli niedawno wyrobiłem dowód, to nie będę się zajmował dowodami przez następnych 10 lat, ale chciałbym po tym czasie móc sprawę załatwić kilkoma stuknięciami w ekran telefonu. Podobnie jest z podatkami – przy systemie, który rozlicza daniny za mnie, potrzebuję dostępu do tego systemu mniej więcej raz lub dwa razy (jeśli jest nadpłata) na rok. Częściej kontaktujemy się ze służbą zdrowia, ale to nadal nie jest codzienna relacja itd., itp.

Era API, czyli interfejsu, przez który firmy trzecie będą wchodzić do systemów bankowych, aby umożliwić realizację usługi, zmieni to, jak i to, za co płacimy w internecie, ale także może przemienić e-administrację. Mam również nadzieję, że zamknie konieczność rozsiewania po sieci danych osobowych, jako że każdy sklep żąda ode mnie adresu i numeru telefonu, podczas gdy powinien się interesować jedynie tym, czy mam pieniądze na transakcję.

I to wszystko dzieje się teraz. Właśnie teraz w biurach banków i różnych firm powstają rozwiązania, które mogą zmienić internet oraz to, jak płacimy, w sposób, którego jeszcze nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. A ci ludzie, którzy tę rewolucję przygotowują, wyobrazili sobie to i już zaczęli wdrażać. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 24062b618d

GRAŻYNA RASZKOWSKA

Rynek pracy potrzebuje nowej edukacji

Biznes, praca, edukacja – tych tematów nie mogło zabraknąć podczas tegorocznej edycji Europejskiego Kongresu Gospodarczego

Na szybko zmieniające się warunki funkcjonowania biznesu wpływ mają nie tylko nowe technologie i transformacja cyfrowa, lecz także przemiany demograficzne, które coraz mocniej kształtują obecny rynek pracy. W tych warunkach niezbędne staje się inne niż dotychczas podejście do zarządzania biznesem, a to z kolei wymaga zmian w kształceniu na wszystkich poziomach edukacji.

Kondycja polskiego kształcenia

Dziś już nikogo nie trzeba przekonywać, że jakość kształcenia na uczelniach ma wpływ na wzrost innowacyjności gospodarki i biznesu. Dlatego artykułowane przez część środowiska akademickiego wątpliwości dotyczące reformy szkolnictwa wyższego, a także m.in. postawienie kwestii, czy reforma to impuls rozwojowy czy zagrożenie dla polskiej nauki, będą miały okazję wybrzmieć w dyskusji w ramach omawianego cyklu „Biznes – praca – edukacja".

Dyskusję poprzedzi wystąpienie Jarosława Gowina, wiceprezesa Rady Ministrów oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego, który jest autorem ustawy reformującej szkolnictwo wyższe.

Jej zadaniem jest m.in. umiędzynarodowienie polskich uczelni. Jednak w zabieganiu o zagranicznych studentów i kadry naukowe oraz w sięganiu po rozwojowe programy badawcze mamy solidną konkurencję. Udział w niej bierze bowiem większość liczących się szkół w regionie Europy Centralnej.

Udział w dyskusji panelowej na ten temat weźmie m.in. Witold T. Bielecki, rektor Akademii Leona Koźmińskiego, w której murach uczy się 1,5 tys. cudzoziemców, co oznacza, że co czwarty student jest obcokrajowcem. Zagraniczni studenci pochodzą z 70 państw.

Pytania o szkolnictwo branżowe

Jak bardzo edukacja powinna się dostosowywać do potrzeb biznesu oraz jak zapobiegać przewidywanym deficytom na rynku pracy – to kolejny dyskutowany problem. Opinie o atutach i wadach szkolnictwa branżowego oraz o tym, jaki powinien być poziom zaangażowania w ten proces pracodawców, a jaka np. rola samorządów wyrażać będą m.in.: Wioletta Kandziak, dyrektor wykonawczy ds. kadr PKN Orlen SA, Monika Roznerska, dyrektor personalna ArcelorMittal Poland, Magdalena Wróbel, dyrektor naczelna ds. zarządzania zasobami ludzkimi w KGHM Polska Miedź SA.

Innowacje w zarządzaniu

Rosnące wynagrodzenia i atrakcyjne benefity to sposoby, którymi firmy przyciągają dziś kandydatów do pracy zarówno etatowej, jak i tej zawiązywanej na luźniejszych zasadach. Jednak zwerbowanie pracowników, współpracowników czy freelancerów za pomocą wyspecjalizowanych agencji pośrednictwa albo w przypadku wyższych stanowisk zarządczych – przez headhunterów, to tylko początek drogi. Znacznie trudniejsze może się okazać utrzymanie potrzebnych do rozwoju firmy specjalistów.

Do tego przydają się innowacyjne metody zarządzania, niemające nic wspólnego z zasadą kija i marchewki. Mody w zakresie zarządzania co prawda szybko się zmieniają, ale obecnie wszystkie trendy dotyczące zarządzania personelem mają jeden cel – zatrzymanie najlepszych ludzi w firmie.

Nie jest to proste, zwłaszcza gdy coraz częściej w jednym przedsiębiorstwie spotykają się pokolenia: baby boomers, X, Y, Z – po prostu generacyjna wieża Babel.

W kontekście młodego pokolenia, do którego nie przemawiają już tradycyjne sposoby motywacji i zarządzania, karierę robią tzw. organizacje turkusowe, w których zasadniczą rolę odgrywają: współpraca, brak systemu hierarchicznego i samozarządzanie. O tym, czy to utopia, czy firmowe realia oraz jaką funkcję ma dziś do spełnienia lider i przywódca, będą dyskutować m.in. Adam Banaszak, zastępca prezesa Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Kamil Kamiński, wiceprezes zarządu ds. klienta i wsparcia korporacyjnego Tauron Polska Energia SA, i Cezary Mączka, członek zarządu i dyrektor pionu zarządzania zasobami ludzkimi Budimex SA.

W omawianym cyklu tematycznym będą dyskutowane m.in. problemy firm rodzinnych, a także znaczenie empatii w biznesie i jej wpływ na wyniki finansowe firm. ●

eprasa.pl 24062b618d

STANISŁAW KOCZOT

Przełomowy rok 2022

Za trzy lata kończy się Polsce umowa na dostawy gazu z Rosji. Na finał wieloletniej współpracy ze wschodnim kontrahentem będziemy dobrze przygotowani

Tak zwany kontrakt jamalski kosztował nas bardzo dużo – według różnych wyliczeń było to nawet kilkadziesiąt miliardów dolarów. Tyle przepłacaliśmy za gaz od Gazpromu tylko dlatego, że na podstawie umowy podpisanej we wrześniu 1996 r. byliśmy na niego skazani. Inne państwa, które miały różnych dostawców, były w stanie utargować ceny dużo niższe.

Kontrakt jamalski wygaśnie w 2022 r., co jednak wcale nie oznacza, że z naszego rynku zniknie gaz ze Wschodu. Prawdopodobnie nadal będziemy go kupować, ale taniej i nie w takich ilościach jak do tej pory. A sprowadzaliśmy go bardzo dużo: na podstawie kontraktu z 1996 r. było to ok. 10 mld m³ rocznie, czyli mniej więcej dwie trzecie potrzebnego Polsce surowca (od 2010 r. dostawy wzrosły jeszcze o prawie 2 mld m³). W maju 2016 r. polski rząd ogłosił, że nie przedłuży kontraktu z Gazpromem.

Co go zastąpi? Wielkie dostawy będące efektem inwestycji gazowych, już zrealizowanych lub planowanych w najbliższej przyszłości, w tym dwie najbardziej spektakularne: rozbudowa działającego terminalu gazu skroplonego LNG w Świnoujściu i budowa gazociągu Baltic Pipe, którym gaz ze złóż norweskich popłynie do Polski przez Danię.

W kwietniu br. zostały zawarte dwa porozumienia, które przyspieszą realizację obu inwestycji. W Świnoujściu spółka Polskie LNG, należąca do grupy kapitałowej Gaz-System, podpisała umowę o dofinansowaniu ze środków unijnych rozbudowy terminalu LNG (maksymalna wysokość wsparcia to 128 mln euro, tj. 553 mln zł). Unijne fundusze zapewnią około 2/3 planowanych wydatków na terminal.

Kolejna umowa, zawarta 15 kwietnia przez Gaz-System z unijną Agencją Wykonawczą ds. Innowacji i Sieci (INEA), na blisko 215 mln euro, dotyczy dofinansowania prac budowlanych dla Baltic Pipe w ramach instrumentu „Łącząc Europę".

Oba te projekty uzyskają wsparcie z Unii Europejskiej przede wszystkim dlatego, że mają one olbrzymie znaczenie nie tylko dla Polski, lecz i dla całego naszego regionu. Rozbudowa polskiego terminalu LNG (jego możliwości regazyfikacyjne zwiększą się z 5 mld m³ do 7,5 mld m³ rocznie, rozbudowana zostanie infrastruktura morska i kolejowa) to część ambitnego gazociągu Północ–Południe, którym gaz z Polski ma popłynąć do Chorwacji. A także odpowiedź na coraz większe potrzeby rynku, który domaga się paliwa LNG w dużych ilościach, i to nie tylko do ogrzewania budynków. LNG, czyli skroplony gaz ziemny (liquefied natural gas), jest bardzo czystym paliwem wykorzystywanym w transporcie lądowym i morskim. Wyśrubowane normy ekologiczne, obowiązujące na morzach Bałtyckim i Północnym, które praktycznie eliminują ciężkie paliwa wykorzystywane do tej pory do napędzania statków, wymuszają na armatorach przestawienie się na czystsze surowce, takie jak LNG. Popyt na gaz płynny rośnie, a Polska wyrasta na głównego gracza na tym rynku.

Surowca nam nie zabraknie, ponieważ LNG możemy sprowadzać z wielu miejsc na świecie – od Kataru po kraje afrykańskie. Na naszego poważnego partnera gazowego wyrastają Stany Zjednoczone, które coraz mocniej stawiają na eksport swojego gazu. – Eksportujemy LNG do 35 krajów na pięciu kontynentach. LNG wspiera bezpieczeństwo energetyczne i dywersyfikację – mówił w Brukseli amerykański sekretarz ds. energii Rick Perry, podczas majowego 1st EU-U.S. Energy Council High-Level Business to Business Energy Forum.

Europa potrzebuje gazu ze Stanów Zjednoczonych, dlatego takie przedsięwzięcia jak terminal LNG w Świnoujściu są jej na rękę. – LNG zmieni zasady gry na rynku gazu – zapewni lepszą konkurencję i lepszą łączność. Zawdzięczamy to amerykańskiej rewolucji łupkowej. To dopiero jej początek. Dopiero zobaczymy ich praw-

eprasa.pl 24062b618d

Fot. Shutterstock

dziwe skutki dla rynku gazu – mówił w Brukseli cytowany przez BiznesAlert szef Międzynarodowej Agencji Energii Fatih Birol. – Europa będzie szukała nowych źródeł importu, by do 2025 r. pokryć jedną trzecią zapotrzebowania w związku ze spadkiem własnego wydobycia i wygasania długoterminowych kontraktów. Import LNG z USA stworzy nowy, bardziej płynny globalny rynek gazu. Dla Europy LNG to sposób na zwiększenie konkurencji i dywersyfikacji oraz zmniejszenie kosztów, jednocześnie zwiększenie elastyczności i bezpieczeństwa dostaw.

Baltic Pipe to projekt transeuropejski, dzięki któremu zwiększy się bezpieczeństwo energetyczne nie tylko Polski, państw bałtyckich czy Ukrainy, lecz również Danii (część gazu z Baltic Pipe będzie trafiała do Duńczyków). Gazociąg zacznie działać od października 2022 r., czyli w tym czasie, kiedy skończy się umowa z Gazpromem. Dzięki Baltic Pipe będzie można sprowadzać rocznie 10 mld m³ gazu ziemnego ze złóż na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. – Z punktu widzenia naszego kraju połączenie gazowe między Polską a Danią ma wymiar strategiczny – jest ono potrzebne do dywersyfikacji dostaw. Jednak inwestycja jest korzystna również dla UE, której zależy na zwiększeniu wymiany handlowej i wzroście konkurencyjności europejskiego rynku gazu – mówił po podpisaniu umowy z INEA prezes Gaz-Systemu Tomasz Stępień.

Trzeci, nie mniej ważny projekt, który pozwoli nam ze spokojem czekać na finał współpracy z Gazpromem, to planowana jednostka pływająca FSRU (Floating Storage and Regasification Unit) w Gdańsku, czyli de facto drugi – po Świnoujściu – polski gazoport. Jak mówił podczas forum energetycznego Unia Europejska–Stany Zjednoczone w Brukseli Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, dzięki niemu będzie można pozyskać do 2024–2025 r. 4 mld m³ gazu, a w dalszej perspektywie – podwoić jego przepustowość aż do około 8 mld m³. Gaz z Gdańska mógłby trafiać poprzez polski system przesyłowy do krajów sąsiednich.

Polski FSRU byłby trzecią jednostką tego typu na Morzu Bałtyckim: pierwsza to stacjonujący w Kłajpedzie „Independence", a druga to statek o nazwie „Marszałek Wasilewski", który pod koniec ubiegłego roku stanął u wybrzeża obwodu kaliningradzkiego.

Być może jeszcze wcześniej, przed debiutem polskiego FSRU, pojawi się w Gdańsku tzw. terminal małej skali, który dostał już pieniądze z Brukseli na wykonanie studium wykonalności (jego wartość to 1,74 mln euro, z czego UE dorzuci ponad 1 mln euro). Czym terminal będzie się zajmował? Poza sprawami oczywistymi – i bardzo ważnymi z punktu widzenia polskiej gospodarki (m.in. wynikającymi z zastosowania LNG w elektroenergetyce i ciepłownictwie, na obszarach pozbawionych dostępu do gazu sieciowego w północno-wschodniej Polsce) – będą to również zadania związane z transportem. Terminal, który jest wspólnym projektem Grupy Lotos i Gaz-Systemu, ma zapewnić infrastrukturę pozwalającą na wykorzystanie LNG jako paliwa w żegludze morskiej w trójmiejskich portach należących do sieci TEN-T, a także magazynowanie LNG z możliwością jego wykorzystania zarówno do celów energetycznych, jak i jako paliwa w transporcie morskim i lądowym.

Terminal ma odgrywać rolę bazy przeładunkowej, tankowania statków i dystrybucji LNG. To kluczowe funkcje z punktu widzenia nie tylko naszego kraju, lecz i Unii Europejskiej: przez Polskę przebiegają ważne szlaki transeuropejskiej sieci transportowe TEN-T. Pierwszy to korytarz Bałtyk–Adriatyk (z Gdyni przez Warszawę, Wiedeń, Triest, Bolonię do Lublany i Triestu), drugi – Morze Północne–Bałtyk (przez takie miasta jak Helsinki, Ryga, Warszawa, Berlin, Hanower, Amsterdam). TEN-T obejmuje różne rodzaje transportu – od samochodów, przez kolej, samoloty, po statki żeglugi śródlądowej i morskiej.

Polska wyrasta na bardzo poważnego uczestnika gazowego rynku Europy Środkowo-Wschodniej. Zbliżający się w szybkim tempie przełom 2022 r. przyspieszył procesy, które z niewielkiego, traktowanego przedmiotowo rynku uczynią liczącego się gracza działającego na skalę przekraczającą granice Polski. ●

eprasa.pl 24062b618d

Zawsze w trendzie wzrostowym

Portal pełen informacji i opinii o gospodarce

Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

eprasa.pl 24062b618d

K…URY

Kto ma tyle wdzięku

W przedwojennym kinie była „dziarska Jadzia Smosarska”. W dobie telenowel pojawiła się „boska Kożuchowska”. Dziś sympatię zagarnia „nasza boska ***Ela Romanowska****”. Dziewczyna z sąsiedztwa, która udowadnia, że urok i czar nie są zależne od rozmiaru*

Fot. Wojtek Olszanka/DDTVN/East News

Autopromocja

eprasa.pl 24062b618d

„Twoja twarz brzmi znajomo”

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Już nie Elżbieta, ale swojska, bliska widzowi Ela (jak przedstawiają ją materiały zamieszczane w sieci i na telewizyjnym ekranie) wypełniła – z wdziękiem i pozytywną pewnością siebie – medialną lukę.

Gdy wokół pełno kobiet dążących do perfekcyjnie wyszczuplonej sylwetki, ona – za sprawą udziału w show „Twoja twarz brzmi znajomo” – od paru tygodni udowadnia, że duże może być piękne, zmysłowe, a nawet... filigranowe; że rozmiar XXL nie oznacza ograniczenia, a w odpowiednich warunkach staje się orężem.

KOBIECA BROŃ

Tuż przed finałem najnowszej edycji show Elżbieta Romanowska (czy też, pozostając przy sposobie prezentowania w tym programie: „nasza Ela”) wygrała odcinek, wykonując utwór „Perhaps, Perhaps, Perhaps” Doris Day. W archiwalnym nagraniu, do którego odwołali się twórcy programu, gwiazda lat 50. i 60., wiotka i smukła, sunęła zwiewnie po ekranie.

Mierząca 180 cm i zdecydowanie nie filigranowa Romanowska też okazała się zwiewna i wiotka. Wyśpiewała i wytańczyła utwór z gracją, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna wyszczuplona dziewczyna. Swoim występem przypomniała, o czym śpiewał, korpulentny przecież Bodo, w pamiętnej scenie z filmu „Piętro wyżej”: „...seksapil to nasza broń kobieca”. I co udowadniała każdym występem, bynajmniej nie kruszynka, Danuta Rinn, nie tylko wtedy, kiedy pytała ze sceny: „Kto ma tyle wdzięku, co ja?”.

DOBRANA PARA

Rozpoznawalność i sympatię widzów przyniosła jej Jola z serialu „Ranczo” (Romanowska dołączyła do obsady w 2008 r.; finałowy odcinek wyemitowano w 2016 r.). Niepewna siebie, niezdarna okularnica, dzięki uczuciu „ławkowicza” Pietrka zmieniła się w kolejnych sezonach w znającą swoją wartość żonę, matkę i piosenkarkę disco polo. Jednak na etapie kastingu, kiedy Elżbieta Romanowska zobaczyła Piotra Pręgowskiego, przyszłego serialowego partnera, była przekonana, że roli nie dostanie. Jej zdaniem dyskwalifikująca była duża różnica wzrostu. Reżyser uznał ją za walor tworzonej pary. I miał rację. Widzowie bardzo szybko pokochali ten duet.

Sympatią obdarzali też kolejne postaci tworzone przez Romanowską w wieloodcinkowych produkcjach, m.in. „2XL” (2013), „Pierwsza miłość” czy emitowanych obecnie „Barwach szczęścia”, a zwłaszcza „W rytmie serca”, gdzie o uczucia jej bohaterki zabiega znów sporo niższy partner, z lekka niezdarny, za to bardzo oddany, policjant.

NIE TYLKO SŁODKO

Kobieta pełna radości życia, osiągająca sukcesy, a mimo to przystępna. Dająca się lubić. Nawet rywalom, których mocno wyprzedza. Zarazem „nasza” i „boska” Ela Romanowska... Dziewczyna z Głogowa, która nie boi

eprasa.pl 24062b618d

się rozmiaru XXL, metryki (w czerwcu skończy 36 lat) ani braku makijażu, ale potrafi też olśnić na scenie. Tak jest postrzegana dziś. Jednak na obecną pozycję musiała solidnie zapracować.

Absolwentka PWST we Wrocławiu (dyplom w 2007 r.) dopiero w ostatnich latach mogła na dobre wrócić do doświadczeń i, zapewne pasji, która sprawiła, że już jako nastolatka występowała w spektaklach musicalowych. Z dyplomem aktorskim trafiła do teatru muzycznego Capitol we Wrocławiu (była z nim związana do 2015 r.) i wrocławskiego Teatru Piosenki. Jedenaście lat temu wzięła udział w programie „Jak oni śpiewają". W miarę rosnącej popularności komunikatywna, uśmiechnięta, dowcipna i pełna energii aktorka angażowana była również do prowadzenia programów i imprez telewizyjnych. Jej poczucie humoru docenił m.in. Robert Górski, z którym spotkała się na planie sitcomu „Słodkie życie" (2013–2014).

Ku zaskoczeniu wielu sympatii widzów nie starczyło jej, gdy trzy lata temu stanęła na parkiecie tanecznego show „Dancing with the Stars. Taniec z gwiazdami". Po pierwszych występach pojawiały się niemiłe komentarze związane z gabarytami uczestniczki.

KOBIETA NIEPERFEKCYJNA

Tym większa zasługa aktorki, że z odcinka na odcinek grono jej fanów się powiększało. Praca, talent, ale też pozytywny przekaz i ogromny dystans do siebie sprawiły, że – tym razem gorąco dopingowana – doszła do finału (zajęła ostatecznie drugie miejsce, jej partnerem był Rafał Maserak).

Serial „Ranczo"

Wyszczuplona (ale niewychudzona) po wielu tygodniach intensywnych treningów, uzbrojona w sympatię widzów, Elżbieta Romanowska dała się namówić na napisanie książki. Zatytułowała ją „Kobieta nieperfekcyjna", by z poczuciem humoru udowadniać w niej, że perfekcyjne jest nudne.

Serial „2XL"

I choć najnowszy program, w którym bierze udział – „Twoja twarz brzmi znajomo" – wymaga maksymalnego naśladownictwa i perfekcji w pracy nad rolą, to w każdym wcieleniu aktorka pozostawia miejsce dla... Elżbiety Romanowskiej. W tym sensie jej kreacja jest niedoskonała, „nieperfekcyjna", ale aktorka pozostaje w niej niezmiennie czarująca. I budzi ciepłe uczucia, gdy m.in. tak komentuje nagrodę 10 tys. zł za zwycięski finał dziesiątego odcinka (przeznaczyła ją na Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami): „Mój pies (Browar) nie wybaczyłby, gdybym postąpiła inaczej".

Fot. Mat. prasowe (x3)

eprasa.pl 24062b618d

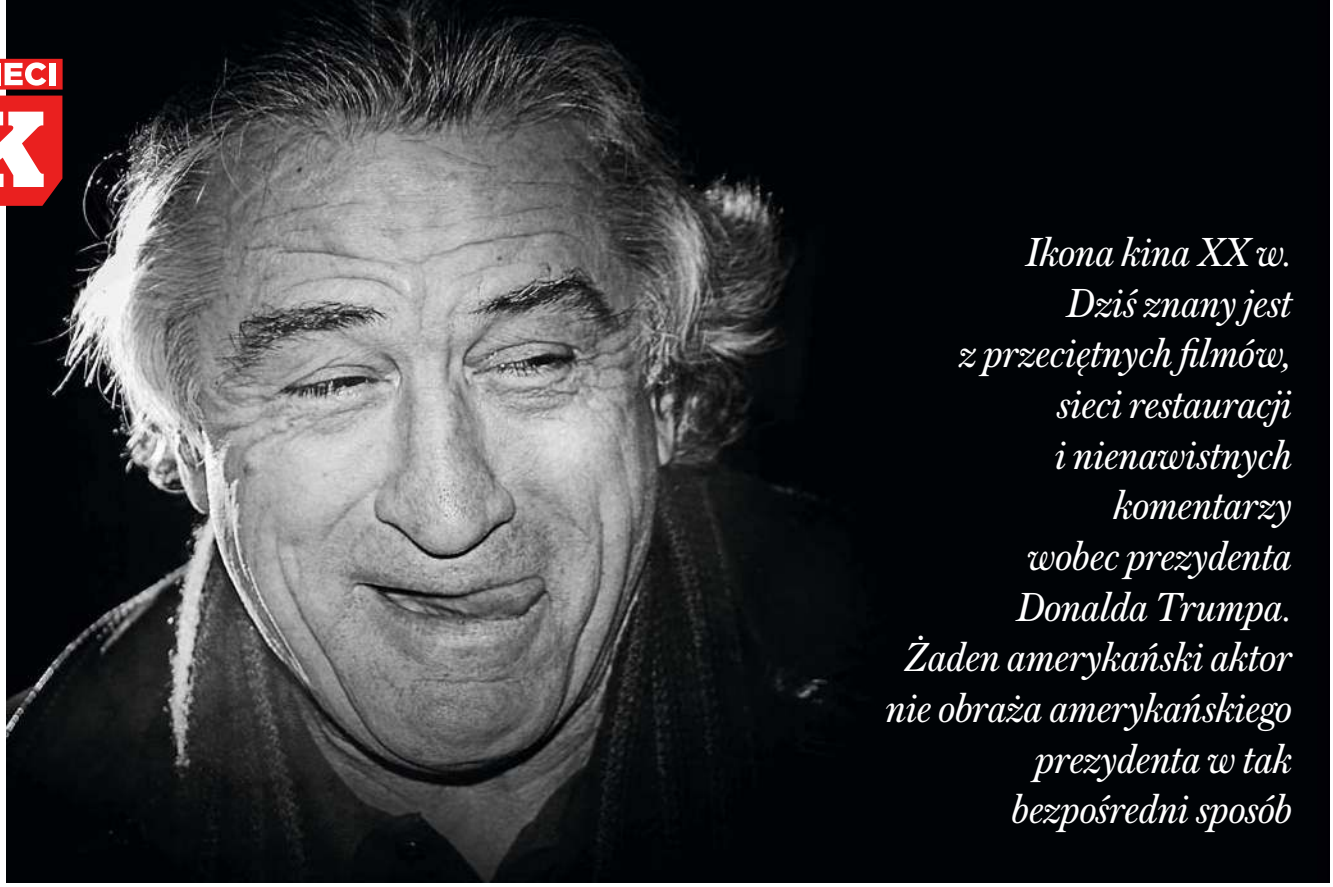

Ikona kina XX w. Dziś znany jest z przeciętnych filmów, sieci restauracji i nienawistnych komentarzy wobec prezydenta Donalda Trumpa. Żaden amerykański aktor nie obraża amerykańskiego prezydenta w tak bezpośredni sposób

Fot. Shutterstock

Od wielkości do hejterstwa

ŁUKASZ ADAMSKI

75-letni Robert De Niro wraca w tym roku do współpracy z Martinem Scorsesem. Po ponad ćwierć wieku od nakręcenia wspólnie „Kasyna" legendarny duet da nam wyprodukowany przez Netflixa film „The Irishman". Superprodukcja ma kosztować grubo ponad 100 mln dol., z czego ogromną część pochłoną efekty specjalne odmładzające De Niro i partnerującego mu Ala Pacino o kilkadziesiąt lat. Scenariusz jest oparty na powieści Charlesa Brandta „Słyszałem, że malujesz domy...". Dziś wiadomo tyle, że film opowiada o Franku Sheeranie, który miał zabić Jimmy'ego Hoffę. Scorsese ściągnął do obsady powracającego jednorazowo z emerytury Joe Pesciego, który za kultową rolę w jego „Chłopcach z ferajny" zgarnął Oscara, oraz Harveya Keitela, partnerującego De Niro w ikonograficznych filmach Scorsese „Ulice nędzy" i „Taksówkarz". Możliwe, że „The Irishman" będzie powrotem De Niro do wielkości, którą na przełomie ostatnich dwóch dekad widać było tylko kilka razy. Poza znakomitym drugim planem (nominacja do Oscara) za „Poradnik pozytywnego myślenia" i „Joy" Davida O. Russella, epizodzie w „American Hustle" tego samego reżysera, roli Berniego Madoffa w telewizyjnym „Arcyoszucie" Barry'ego Levinsona i mało znanej roli bezdomnego w „Być jak Flynn" De Niro topi się w infantylnych komediach i kinie sensacyjnym.

WOJNA ATOMOWA Z TRUMPEM

„Robert De Niro, człowiek o bardzo niskim ilorazie inteligencji, otrzymał za dużo ciosów w głowę od prawdziwych bokserów na planie filmowym. Oglądałem jego wystąpienie z tej nocy i jestem pewien, że to efekt wstrząsu mózgu" – napisał rok temu na swoim Twitterze prezydent USA Donald Trump. Była to odpowiedź na obraźliwe słowa pod jego adresem, które De Niro wypowiedział w trakcie gali Tony Awards 2018. „Chciałbym powiedzieć jedną rzecz: „Je**ć Trumpa" – wykrzyczał przy entuzjazmie widowni dwukrotny zdobywca Oscara. Nie ma miesiąca, by De Niro nie obrażał Trumpa w mediach. „Jest porażająco głupi. Jest gnojkiem, psem, świnią, jest oszustem. Jest zakutym łbem, który nie ma pojęcia, o czym mówi. Nie odrabia swojej pracy domowej, na niczym mu nie zależy, myśli, że ogrywa społeczeństwo, bo nie płaci podatków; jest idiotą. (...) Wkurza

eprasa.pl 24062b618d

mnie to, że ten kraj dotarł do punktu, w którym ten głupek, ten klown, znalazł się w miejscu, w którym jest obecnie. (...) On mówi, że chciałby uderzyć kogoś w twarz. Ja jego chciałbym uderzyć w twarz!" – mówił w specjalnie nagranym filmie na YouTube. De Niro bardzo chętnie wcielał się w telewizyjnym „Saturday Night Live" w byłego szefa FBI Roberta Muellera. Co roku wygłasza tyrady podczas otwarcia kolejnej edycji swojej nowojorskiej imprezy Tribeca Film Festival. Rok temu powiedział, że Ameryka jest rządzona przez szaleńca, „który nie rozpoznałby prawdy, nawet gdyby znalazła się ona w pudełku jego ukochanych kurczaków z KFC". Ostatnie inwektywy De Niro zamykają się w określeniach prezydenta białym suprematystą, rasistą i „motherfuckerem". Skąd taka nienawiść aktora do Trumpa? Moim zdaniem nie chodzi tylko o to, że De Niro jest lewicowcem, ale również o bycie symbolem Nowego Jorku. Dziś De Niro z subtelnego i wycofanego medialnie artysty stał się prężnym biznesmenem, który przywrócił do życia dzielnicę Tribeca. Trump przebudował zaś jako biznesmen cały Manhattan. Zrobił to bezwzględnie i totalnie, umieszczając swoje nazwisko na górującej nad miastem złotej Trump Tower. Nienawiść De Niro do byłego celebryty i przyjaciela Hollywood nie może być tłumaczona wyłącznie poglądami. Jest zbyt osobista i żarliwa. Aktor nie atakował równie mocno Ronalda Reagana ani obu Bushów, choć otwarcie popierał małżeństwo Clintonów i Baracka Obamę.

Robert De Niro jest przesiąknięty lewicowością. Wyrastał wśród nowojorskiej bohemy lat 50. i 60. W dokumencie „Remembering the Artist Robert De Niro Sr." aktor wyznał, że jego ojciec opuścił rodzinę, nie mógł bowiem już dłużej tłumić swojej orientacji seksualnej. De Niro senior był cenionym przez tamtejszą artystyczną śmietankę malarzem i znanym z ostro lewicowych poglądów artystą. Nie inaczej było z matką aktora, która była członkinią trockistowskiej Młodzieży Socjalistycznej. Do najbliższych przyjaciół domu należeli tacy ludzie jak: Anaës Nin, Henry Miller czy Tennessee Williams. De Niro senior opuścił rodzinę, gdy „Bobby" miał 4 lata. Jednak na zawsze pozostał on w życiu syna. „Zrobiłem ten film dla niego" – mówi aktor. Jego ojciec zmarł w 1993 r. na raka prostaty. De Niro cierpiał kilka lat temu na ten sam nowotwór, który został jednak u niego szybko zdiagnozowany i wyleczony.

CZY LEGENDA WRÓCI?

De Niro jest uznawany przez większość kinomanów za jednego z największych aktorów XX w. Jego kreacje aktorskie z „Łowcy jeleni", „Przebudzenia" czy „Ojca chrzestnego", „Nietykalnych" i filmów Martina Scorsesego przeszły już do legendy. Aktor debiutował w Hollywood w przełomowej epoce kina razem z Alem Pacino, Genem Hackmanem, Jackiem Nicholsonem, Dustinem Hoffmanem czy Jonem Voightem. Po premierze pierwszej części gangsterskiej trylogii Scorsesego, czyli „Ulic nędzy" (1973), krytycy oszaleli na punkcie młodego aktora, który nie tylko zagrał aroganckiego cwaniaczka niebojącego się nawet mafii. On się nim stał. „Nieważne, jak blisko będziemy się przyglądać postaci granej przez Bobby'ego. Nigdy nie pojawi się Bobby" – mówiła o aktorstwie De Niro Meryl Streep. W następnych filmach De Niro wypełnił te słowa swoim geniuszem. Nie byłoby bez jego ekranowych transformacji dzisiejszego Christiana Bale'a potrafiącego schudnąć i przytyć 40 kg do roli. Metoda Stanisławskiego, którą De Niro upowszechnił tak radykalnie, nie byłaby nigdy tak popularna w światowym kinie. „Jedną z zalet aktorstwa jest możliwość przeżywania cudzego życia bez płacenia ceny za nie" – mówił w jednym z nielicznych (De Niro wyjątkowo nie lubi rozmów z dziennikarzami filmowymi) szczerych wywiadów. Przecież De Niro starał się o rolę Sonny'ego Corleone w „Ojcu chrzestnym" i jej nie dostał. Zbyt dobrze wypadł. Francis Ford Coppola po latach przyznał, że De Niro był tak dobry na kastingu, że mógł przyćmić głównych aktorów i tym samym paradoksalnie zepsuć film, przenosząc jego ciężar na drugoplanową postać. Reżyser zwrócił jednak uwagę na aktora i obsadził go później w roli młodego Vita Corleone w drugiej części swojego arcydzieła. Za tę rolę aktor otrzymał swojego pierwszego Oscara.

Następne lata to kolejne wybitne kreacje, które przyniosły mu jeszcze jedną statuetkę i kilkanaście nominacji. Znakiem rozpoznawczym aktora zawsze było maksymalne utożsamianie się z rolą. Wcielając się w młodego Vita Corleone w „Ojcu chrzestnym II", aktor wyjechał na Sycylię i zamieszkał w Corleone, gdzie nauczył się akcentu słynnego rodu z tego małego miasteczka. Zanim stworzył niesamowitą kreację Travisa Bickle'a w „Taksówkarzu", zatrudnił się jako taksówkarz w nowojorskiej korporacji i jeździł nocami po niebezpiecznych slumsach bez żadnej ochrony. Przed zagraniem Jake'a La Motty we „Wściekłym byku" stał się niezłym bokserem, zamieniając swoje ciało w posąg, by w ciągu czterech miesięcy przytyć ponad 30 kg, gdy grał boksera w latach jego upadku, co powtórzył, wcielając się w Ala Capone w filmie Briana de Palmy, u którego zresztą debiutował w latach 60. Grając rolę psychopatycznego mordercy z „Przylądka strachu", codziennie przed zdjęciami ćwiczył trzy godziny na siłowni, by jego ciało było wyrzeźbione.

Największe role De Niro stworzył w ośmiu filmach Scorsesego. Nieważne, czy był to pragnący sukcesu niezdarny Rupert Pupkin z „Króla komedii", czy bezwzględny Sam Rothstein z „Kasyna" – każda z ról była mniejszym lub większym arcydziełem aktorstwa. Może powrót do pracy ze Scorsesem w „The Irishman" tę wielkość przypomni? Może dzięki temu aktor znów przypomni sobie, w czym jest wielki i porzuci zabawę w hejtera prezydenta USA na rzecz sztuki? To chyba jednak zbyt daleko idące oczekiwania, skoro w 2016 r. odmówił wspólnego zdjęcia z republikaninem Arnoldem Schwarzeneggerem (zanim ten rozpoczął własną batalię ekologiczną przeciwko Trumpowi), mówiąc: „Jeżeli popierasz Trumpa, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego". Dobrze, że pozostają nam wielkie role De Niro, które zapewne podziwiają również wyborcy obecnego mieszkańca Białego Domu.

eprasa.pl 24062b618d

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Pazura, czyli skazaniec

Pamiętam czasy, kiedy grywano „Czapę. Śmierć na raty" Janusza Krasińskiego w teatrach – lata 70. i 80. I dobrze, że Teatr Telewizji przypomniał – i sztukę, i pisarza. Krasiński, siedzący za rzekome szpiegostwo między rokiem 1947 i 1956, musiał czuć więzienie. A w sensie szerszym był jednym z nie tak znów wielu zwykłych polskich pisarzy, także dramaturgów, piszących o człowieku. Ani to „teatr mieszczański", ani szczególna awangarda. Po prostu teatr.

Ta prosta historyjka o dwóch więźniach skazanych na śmierć, którzy przedłużają sobie za wszelką cenę życie, już tym się wyróżniała, że w tle był PRL, drapieżny, brutalny – i wobec tych ludzi, którzy zasługiwali, i wobec tych, co do których nie było takiej pewności (trzeci więzień). Warto „Czapę" poczytać między wierszami, tak się wtedy pisało literaturę. Ale równocześnie jest to uniwersalna opowiastka, a może przypowiastka. Chwilami groteska przecząca zasadom logiki. Można by rzec, że doskonała wprawka dla teatru, który chce opowiadać o czymś. Również świetne tworzywo dla twórców. Trudno nie pamiętać choćby inscenizacji Piotra Szulkina z 1996 r. w TVP, kiedy w Kuźmę, niby głównego bohatera, wcielił się Marek Walczewski. Kto miał być specem od makabreski, jak nie Szulkin?

Tu „Czapę" wziął na warsztat aktor Zbigniew Lesień. I to jest dobra robota, świetnie trzymająca równowagę między tym co realne i surrealne. W naturalnych plenerach więziennych, ze znakomitym, niepokojącym tłem muzycznym, była przede wszystkim okazją do świetnego aktorstwa. Cezary Pazura jest klasą samą dla siebie, to jeden z mistrzów tragikomedii, który już dawno uwolnił się od garbu nieco knajackich popisów rodem z „13 posterunku". Zresztą nawet one uczyniły go aktorem pełnym, któremu „nic, co ludzkie, nie jest obce". Tu zagrał Kuźmę.

Cieszę się, że dano szansę Michałowi Lesieniowi w roli drugiego więźnia Olesia. Co nie było trudne, to syn reżysera, ale poza tym trochę niedoceniany. Ja doceniłem go po „Wszystko o mężczyznach", znakomitej komedii, a może tragikomedii, w Teatrze Kamienica. To znowu jest aktor, który dawno wyrósł z konwencjonalnej roli telewizyjnego przystojniaka.

Oczywiście prawdziwą ucztą był dla mnie Piotr Fronczewski jako trzeci skazany. Dla niego samego mógłbym to obejrzeć wiele razy. Stykam się czasem z opinią, że korzystając ze swego znakomitego głosu, gra „manierą". Może, ale to przerysowanie, jedyne w swoim rodzaju, jego autorskie, podszyte jest takim ładunkiem zrozumienia dla ludzkiego tragizmu, dla kruchości człowieczeństwa, że nie będę dyskutował. To dla mnie jeden z najważniejszych aktorów mego życia. Wystarczy się zapatrzeć w jego oczy. Tyle w nich przerażenia światem.

Soczyści Andrzej Grabowski i Hubert Zduniak jako klawisze dopełniają stawkę. Podobało mi się, chociaż... Na pokazie przedpremierowym nastawiono mnie na uniwersalną opowieść o ucieczce przed śmiercią. Reżyser opowiadał o młodym człowieku, któremu łzy ciekły podczas kolaudacji.

Tego akurat w „Czapie" ja nie dostrzegłem. Główni bohaterowie są jednak więźniami swojej roli – wyjątkowo bezwzględnych opryszków. Trudno mi w nich widzieć reprezentantów moich lęków. Ja się w tym bardziej dopatrywałem opowieści o karze za grzechy. Choć doceniam i rozumiem wskazanie na paradoksy kary śmierci, która zwalnia człowieka z wszelkiej odpowiedzialności. To jednak tylko dowodzi, jak różni ludzie różnie odbierają to samo dzieło. Nie ma chyba większego komplementu dla pisarza.

Piotr Zaremba

Okulary Kantora

Do idei twórcy „Umarłej klasy" sięga się dziś na różne sposoby i w różnych miejscach globu. Teraz nawet poprzez formułę virtual reality (VR) i gatunki pokrewne

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Jest coś znamiennego w tym, że powrót do świata Tadeusza Kantora obserwujemy dzisiaj w dokonaniach nieoczywistych, łączących wiele punktów odniesienia i – to najistotniejsze – korzystających ze wszystkiego, co oferują nowoczesne środki wyrazu, zazwyczaj związane ze sceną pośrednio. Mniej liczy się w nich chłodna analiza, akademickie precyzowanie wątków czy dopisywanie do biografii artysty nudnych przypisów. Chodzi o odnalezienie duchowego testamentu Kantora i badanie, jak jest on w stanie korespondować z rzeczywistością, w której wszystko zaczyna się przecinać ze wszystkim: teatr żywego planu z multimediami, z kolei multimedia z technologią zaangażowaną, której celem jest wciągnięcie widzów w sam środek wykreowanego doświadczenia. W tradycyjnym teatrze zmienia to niewiele i w żaden sposób mu nie zagraża. Jednak dla młodych pokoleń to atrakcyjny sposób, by pojąć, co w teatrze znaczą np. przestrzeń i jej kompozycja. Jednym słowem VR staje się przewodnikiem po teatrze dla tych, którzy chcą w teatr wejść głębiej. Dzieło Kantora takiego przewodnika potrzebuje. Filmowe zapisy przedstawień z okresu teatru śmierci nie wystarczają, a generacje wychowane już w innym, cyfrowym paradygmacie kultury nie mają szans, by do twórcy Cricot 2 zbliżyć się inaczej niż teoretycznie.

Właśnie tak albo przynajmniej między innymi tak można rozumieć działania Instytutu Adama Mickiewicza z ostatnich lat, nie tylko z oczywistego roku 2015. IAM spuściznę Kantora popularyzuje, lecz stara się także znaleźć do niej nowy wytrych. Jesienią ubiegłego roku w warszawskim Teatrze Studio odbyła się premiera symulacji-gry VR „Cricoterie" kolektywu Tales of Tales, w której odbiorca nałożywszy interaktywne gogle, zamienia się w reżysera i korzysta z Kantorowskiego imaginarium – obiektów scenicznych z jego prac. Jednocześnie więc zaczyna patrzeć oczami Kantora.

W inną stronę zmierza natomiast nowe przedsięwzięcie, które IAM koprodukuje. „Gymnasia", którego pokazy zorganizowano na nowojorskim Festiwalu Filmowym Tribeca, to istota przeżycia VR, zawężonego do sześciu minut i skupiającego jak w soczewce najważniejsze cechy gatunku. Tym razem dzięki interaktywnym goglom nie podejmujemy już decyzji. Propozycja Chrisa Lavisa i Macieja Szczerbowskiego (występujących jako duet pod szyldem Clyde Henry Productions – w 2008 r. otrzymali nominację do Oscara w kategorii najlepsza krótkometrażowa animacja za 17-minutową „Madame Tutli-Putli") to podróż do świata artystów, dla których Kantor pozostaje inspiracją do opowiadania o powidokach dzieciństwa i jego przeobrażeniach w dorosłości. To był jeden z tematów, wokół których autor „Umarłej klasy" budował teatr, a dla Lavisa i Szczerbowskiego to również pretekst, by za pomocą mieszanki kilku komputerowych technik, których połączenie wymaga chirurgicznej precyzji, pokazać coś odrębnego: przebłysk, impuls, krótki sen z własną dramaturgią, wierną zresztą tej Kantorowskiej.

Wszystko trwa zatem sześć minut. Najpierw to obraz zniszczonej niczym po wojnie sali gimnastycznej, w której jedynym radosnym elementem jest wpadające przez okna poranne światło. Chwilę potem zaskakuje nas dźwięk dziesiątków odbijających się piłek do koszykówki, a zaraz są one już wszędzie, niczym armia gotowa do zaatakowania nas. Można powiedzieć, że to pierwsza część – koszmar – bo potem w tym śnie jest już dużo przyjemniej, gdy razem ze szkolnym chórem w tej samej sali wyśpiewujemy kołysankę, która zapewne ma nam przywrócić spokój na resztę nocy. I koniec, nic więcej. Gdzieś przemknie jeszcze motyl, który zaplątał się z jakiegoś innego ogrodu dziecięcych wspomnień.

Po pokazie „Gymnasii" rozmawiałem z twórcami. Zapamiętałem słowa Macieja Szczerbowskiego, który powiedział mi, że tylko podejmując stuprocentowe ryzyko, da się uzyskać pożądany efekt, szczególnie w warunkach amerykańskich. Tutaj tym ryzykiem jest próba przeniesienia ducha Kantora w warunki wieku XXI. Być może wyprawy w rzeczywistość wirtualną to droga idealna, by od tego trudnego giganta wziąć coś dla siebie.

„Gymnasia"; animacja autorstwa Clyde Henry Productions, koprodukcja Instytutu Adama Mickiewicza, National Film Board of Canada oraz studia VR-owego Felix&Paul; premiera: 26 kwietnia 2019 r. na Tribeca Film Festival w Nowym Jorku (w sekcji Immersive)

eprasa.pl 24062b618d

Humus i pustka

Houellebecq potrafi przezwyciężyć pokusę opisywania „upadku Zachodu" z pozycji gazetowego moralisty, przez papierowy peryskop zgorszenia

Wojciech Stanisławski

Nie wszyscy są pewni, jak zapisuje się jego nazwisko, a tym bardziej, jak się je wymawia, ale wszyscy czekali na jego kolejne proroctwo. Tyle już było zapowiedzi powieści, która trafia do księgarń dopiero w tym tygodniu, że można zaryzykować jeszcze jeden spoiler: nie, pożaru Notre Dame francuski prozaik nie przewidział. Ale też nie czyńmy zeń przewidującej wyniki meczów ośmiornicy: Houellebecq nie jest wróżem, lecz diagnostą. Jego orzeczenia, dające spokojną pewność rozpaczy, jak dotąd sprawdzały się niezawodnie.

„Serotoninę" czyta się tak dobrze również za sprawą „syndromu Karwowskiego". Kto raz sięgnął był po powieści Francuza, rozpoznaje nie tylko styl, lecz i krajobraz (wyludniająca się prowincjonalna Francja), i przede wszystkim głównego bohatera – Florenta-Claude'a Labrouste'a – którego odraza do siebie rozpoczyna się już od pretensjonalnie brzmiącego imienia; jest kolejnym przegranym mężczyzną w mocno średnim wieku, nie tyle „bliźniakiem", ile klonem Michela Renault z „Platformy", Bruna z „Cząstek elementarnych", Jeda z „Mapy i terytorium" i kilku kolejnych looserów, których perspektywa łatwego seksu nie chroni przed apatią, a jedyną emocją prawdziwie „gorącą", wyrywającą z cynizmu, jest bezbrzeżny smutek.

To wyliczenie stałych elementów można kontynuować nie tyle po to, by demaskować metodę najbardziej znanego współcześnie powieściopisarza francuskiego, ile dochodząc, które jej elementy okazują się najbardziej urzekające. Co sprawia (bo przecież nie wystarczyłby sprawny marketing), że te powieści sprzedają się w wielotysięcznych nakładach, że sięga po nie prawica i lewica? Wiemy, że – nawet jeśli nie traktują o przypadku chronicznej depresji tak jak „Serotonina" – przygnębiają, skłaniają do lęku o losy świata na poziomie znacznie bardziej konkretnym niż produkowane seryjnie fantazje katastroficzne. Wiemy, że na kilku przynajmniej stronach zderzymy się z dawką obrzydliwości tak solidną, że staroświeckie zalecenia o „trzymaniu niektórych tytułów na półkach niedostępnych dla dzieci" należałoby owszem, potraktować serio i na wszelki wypadek rozważyć zakup antresoli lub sejfu. A jednocześnie mamy do czynienia z pisarstwem głęboko przenikliwym.

Jest oczywiście w „Serotoninie", jak we wszystkich poprzednich powieściach, zapomniana już trochę zdolność wprowadzenia na poziom literatury doświadczeń powszechnych, ba, wszechogarniających, które jednak dotąd pozostawały niedostrzegalne dla pisarzy, niejako przezroczyste: zaczepiali je swoim piórem publicyści, migały w tle niczym elementy scenografii, bywały przedmiotem humoreski, nigdy dotąd jednak nie stały się przedmiotem poważnej powieści, nie zauważono ich jako składowej, ba, determinanty naszego życia. Podobnego zjawiska doświadczała nieraz kultura w sytuacjach przełomów cywilizacyjnych: maturyści, a i badacze wyższej rangi, uwielbiają się pochylać nad tym, jak to w dziełach Dickensa, Zoli i Reymonta pojawił się nowych bohater: fabryka, źródło życia, krzywdy i fortuny, brudny węzeł pośrodku miasta. O kolei jako „ikonie nowoczesności" XIX-wiecznych pisarzy napisano na kopy studiów (choć niezmiennie najdoskonalsze są prace prof. Wojciecha Tomasika). Inni odwracali się ze wstrętem od nowego, dziwnego świata i tak rodziła się poezja czysta. „Czysta. Nie wolno jej użyć wyrazów:/ Telefon, pociąg, bilet, rzyć i pieniądz". Ale ci właśnie przegrywali, nie dając świadectwa.

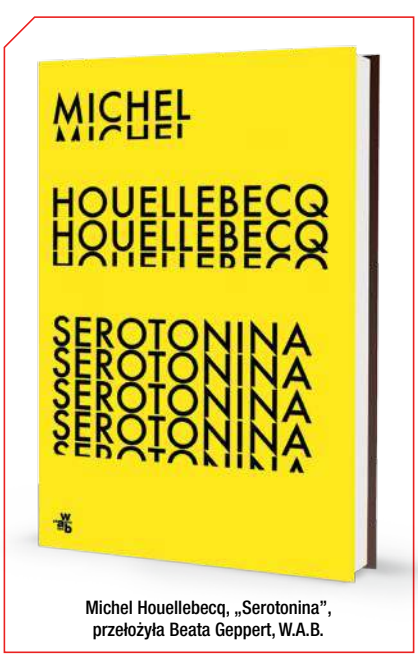

Michel Houellebecq, „Serotonina", przełożyła Beata Geppert, W.A.B.

Houellebecq daje. I nie chodzi oczywiście o prostą materialną obecność nowych wynalazków (tablet i iPhone obecne są dziś przecież w co drugim opowiadaniu i w każdej telenoweli), lecz o to, jak zmieniają one obyczaj i ład społeczny. Prus przy okazji wizyty Wokulskiego w Paryżu patrzał z wysokości balonu na rozrastające się miasto, stolicę imperium: Houellebecq opisuje niepojętą obfitość produktów i brandów (spożywczych, medycznych,

eprasa.pl 24062b618d

restauracyjnych i hotelowych), która sprzęga się ze skupieniem na trzeciorzędnych symbolach statusu, biegłości w ich rozpoznawaniu, komponowaniu i hierarchizowaniu. Powiedzieć o tym „konsumpcjonizm" to tyle, co otagować problem zszarzałą etykietką: trzeba przeczytać kilka początkowych stron, podczas których Florent-Claude wybiera między sieciami hoteli, podróżując z kochanką przez Hiszpanię i Francję, jak rozważa wybór między dziewięcioma smakami humusu, by zrozumieć, w czym zatoniemy, by zdać sobie mocniej sprawę z obecności osobnej klasy kodów, osobnej semiosfery, w której poruszamy się jak w składzie porcelany, nie odczytując komunikatów zawartych w deseniu torby Vuittona, w sygnaturze na okularach.

Owszem, to też było w każdej powieści: poznaliśmy dyktatorską potęgę i pustkę sztuki nowoczesnej („Mapa i terytorium"), pustkę i koszmar rodzin, założonych przez wychowanków rewolucji '68 („Cząstki elementarne"), pustkę szkoleń firmowych („Poszerzenie pola walki"), sekt i rozrywki telewizyjnej („Możliwość wyspy"): wiele odmian pustki, od których idzie chłodne, hopperowskie echo. W „Serotoninie" doświadczymy – to najbardziej „proroczy" i polityczny wątek książki, który odzywa się we Francji echem podczas obecnej kampanii przed wyborami do PE – pustki francuskiej postrolniczej prowincji, wykończonej przez globalizację i systemy kwot unijnych, której nie pomogą już żadne dotacje, żadne protesty: nic, tylko palnąć sobie w łeb. Doświadczymy też pustki depresji – choroby „modnej", oswojonej już i uznanej, cierpienia na pozór opanowanego neuroleptykami nowej generacji, wobec którego pozostajemy jednak bezradni.

Więc co: kronikarz „zapaści Zachodu", wieszczonej od stu lat? Nie, takich mamy legion. Wśród tylu paranteli literackich, przypisanych Houellebecqowi, jedna jest dla mnie bezsporna i zaszczytna: Louis-Ferdinand Céline. I pisząc to, nie mam na myśli tylko odwagi – czasem ekshibicjonistycznej, czasem skatologicznej – odkrywania różnych poziomów i pokładów upadku, jakiego mogą doświadczyć ludzie rozpięci między orgią w stylu gangbang a gotowością zamordowania dziecka. Owszem, obaj ci wielcy pisarze francuscy byli radykalnie wolni od złudzeń w kwestii natury ludzkiej, ale też potrafili przezwyciężyć pokusę opisywania jej z zewnątrz, z pozycji gazetowego moralisty, przez papierowy peryskop zgorszenia. Jest to umiejętność praktycznie nieznana autorom kierunku „konserwatywnego", którzy tak dalece nie ufają swoim czytelnikom, że nawet relacje czysto dziennikarskie opatrzyć muszą wartościującym przymiotnikiem: wypowiedzi jednych są „celne", innych „odrażające", i od razu wiadomo, co myśleć.

Nie Céline, nie Houellebecq – ich narrator, z reguły przemawiający w pierwszej osobie, przez co tak łatwo pomylić go z autorem, nie stąpa sztywno na szczudłach oburzenia moralnego: schodzi w świat paryskich przedmieść początku XX w. lub paryskich dobrych dzielnic początku wieku XXI i opisuje świat widziany z tej perspektywy de profundis.

Jeżeli ennui, to tylko w Trieście

Emocje, jakie wśród wielu czytelników budzi pisarstwo Claudia Magrisa, dobrze opisałaby fraza ze sławnej „Elegii dla Ernesta Hemingwaya": „Niektórzy podnoszą oczy, jakby rozpoznali przyjaciela z dalekiego kraju". Kto raz miał w ręku opus magnum Magrisa, esej „Dunaj" opublikowany w Polsce po raz pierwszy pod koniec lat 90., ten zawsze będzie miał triesteńskiego autora za jednego z władców dusz mitycznej, posthabsburskiej Europy Środkowej i będzie sięgał po wszystkie jego dzieła.

Nie zawsze obędzie się bez rozczarowań: kapryśny, upolityczniony, czasem celebrycki Magris nie zawsze szuka równie głębokich nurtów, co w przypadku „Dunaju". „Migawki" obarczone są większością zalet i wad eleganckich felietonów. Pisarz komentuje w nim jet-set uczestników konferencji literaturoznawczych, stypendiów i warsztatów literackich, niby cierpko, lecz nie bardzo będąc w stanie wyrwać się z tego kręgu: ze śmiesznością tego świata lepiej poradziłby sobie David Lodge. Do tego kilka diatryb przeciw nudzie i więzom tradycyjnego małżeństwa, którym Magris ze swadą przeciwstawia naturalność i prostotę związków partnerskich wszelkich możliwych konfiguracji. Co jeszcze? Mgiełka nostalgii, westchnienie nad tym, jak krępują nas konwencje i języki: ot, dobrze skrojone ennui liberała starej daty.

I byłby w tym Magris bez reszty przewidywalny, niczym drugoplanowy bohater powieści Houellebecqa, gdyby nie ostatnie zdanie ostatniego felietonu: błysk samopoznania, dla którego warto przeczytać cały tomik.

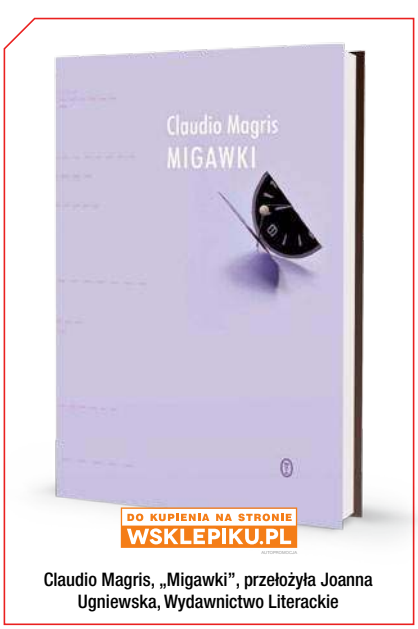

Claudio Magris, „Migawki", przełożyła Joanna Ugniewska, Wydawnictwo Literackie

eprasa.pl 24062b618d

Adamski poleca

Anty-Fallaci

Kim ona jest? Pierem Paolem Pasolinim? A może Michelem Houellebekiem? Po szokującym wystąpieniu w małym miasteczku Volterra media widzą w niej wcielenie skandalisty mającego cojones, by krzyczeć światu w twarz o jego obłudzie i hipokryzji. Wbrew własnemu środowisku. Wbrew wygodzie życia. Rozbijając bezpieczną skorupę otulającą artystę establishmentowego. Maria Linde (znakomita rola nagrodzonej w Sundance Krystyny Jandy) jest polską noblistką, której rodzina zginęła w Holokauście. To poetka, która została w Italii, gdy w Polsce wprowadzano stan wojenny. Mieszka z mężem Antoniem (Antonio Catania), córką Anną (Kasia Smutniak) i wnukami w malowniczej wiejskiej chacie, wyjętej z „Ukrytych pragnień" Bertolucciego. Maria ma swoje ukryte pragnienia, które teraz, w słodkim końcu dnia, uzewnętrznia z wielką siłą.

Toskania i twarda kobieta krzycząca na świat tuż po tym, jak w Rzymie dochodzi do krwawego zamachu terrorystycznego? Nowa Oriana Fallaci? Bez wątpienia o niej myślano, konstruując postać Marii, odwracając ideologicznie wściekłą dumę toskańskiej „chrześcijańskiej ateistki". Maria odcięła się od blichtru sławy i zamiast udzielać wywiadów, woli cieszyć się przyziemnym dolce vita. Świeże ryby na stole, beztroska zabawa z wnukami, przemierzanie toskańskich bezdroży sportowym porsche i romansowanie z dużo młodszym Koptem, branym przez otoczenie za islamskiego imigranta. Teraz burzy całe swoje życie, oskarżając publicznie ukochaną Europę o obłudę. Porównuje zamachy terrorystyczne do dzieła sztuki i nie zamierza precyzować swoich słów.

Jacek Borcuch potrafi opowiadać o jesieni życia („Tulipany") i umiejętnie sygnalizuje rozterki starzejącej się kobiety w ramionach młodego mężczyzny. Jednak to znany z ideologicznego temperamentu Szczepan Twardoch wnosi jako współscenarzysta główny ładunek filmu. Maria prosi męża, by pozbył się w końcu starych, wygodnych kapci, w których bezszelestnie przemyka po domu. To krzyk wobec całej Europy, wyrzekającej się swojej istoty w imię wygody. Maria sama jest imigrantką uważającą, że ksenofobia jest wpisana w nasz krwiobieg i ma zawsze ten sam wymiar.

Gdyby Twardoch piętnował wyrzekanie się wolności w imię bezpieczeństwa z pozycji libertariańskich, mógłbym mu przyklasnąć. Pada w filmie ciekawe pytanie o to, czy klatka chroni nas przed światem, czy świat przed nami. On jednak, wypowiadając ustami swojej anty-Fallaci wojnę nie tylko Matteo Salviniemu (zbyt łopatologiczna symbolika finałowa), zamyka oczy na rzeczywisty problem krajów zalewanych przez rzekę imigrantów. To nie przypadek, że nawet Sycylijczycy, niechętni kiedyś faszyzującej Lidze Północnej, dziś głosują na jej wersję 2.0. Tylko ze strachu? Czy może widzą „problem Lampedusy" inaczej niż zarówno piętnowane przez Marię europejskie elitki, jak i gniewni na status quo artyści? Nie zgadzam się z bałamutną wymową „Słodkiego końca dnia". Jednak ten znakomicie zrealizowany film pokazuje, jak wspaniale możemy z sobą polemizować za pomocą sztuki.

„SŁODKI KONIEC ŻYCIA" REŻ. JACEK BORCUCH, DYSTR. NEXT FILM

Blu-Ray

Nowy Posejdon

Ostatnia część „Avengersów" dobitnie dowiodła, że Marvel na całej linii pokonał swojego głównego konkurenta DC w ekranizacji komiksów. Mimo porażek nowych filmów o Supermenie i Batmanie spece z DC mają przebłyski formy. Dowodem jest tegoroczny „Shazam!" oraz „Wonder Woman". Moim ulubionym filmem ze stajni DC jest natomiast „Aquaman". Postać pół boga, pół człowieka z oceanów na widelec wziął spec od popkultury James Wan („Obecność"), dając nam bezpretensjonalną i pozbawioną ciężkiego mroku rozrywkę. Podwodne królestwa, braterska rywalizacja, szukanie własnej tożsamości i grupa wybitnych aktorów! Obok Nicole Kidman, Willema Dafoe, Patricka Wilsona zobaczymy reaktywowanego w „Creed" Dolpha Lundgrena. Świetna choreograficznie, wizualnie wysmakowana komiksowa mitologia z głębin oceanów nie byłaby takim sukcesem, gdyby nie Jason Momoa, który chyba się urodził, by zagrać tę rolę.

„AQUAMAN", REŻ. JAMES WAN, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 24062b618d

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Niespełniony King

„Smętarz dla zwierzaków" Stephena Kinga ma pecha do ekranizacji. Wersja z 1989 r. nie mogła się równać z najlepszymi filmami opartymi na książkach króla amerykańskiego horroru. Film Mary Lambert musiał konkurować z takimi ekranizacjami jak „Carrie" De Palmy (1976), „Lśnienie" Kubricka (1980), „Christine" Carpentera (1983) czy „Misery" Reinera (1990). Poprzeczkę miał zawieszoną wysoko. Dziś trudno znaleźć tak udane filmy oparte na Kingu, poza zjawiskowym „To" Andresa Muschiettiego. Duet Kevin Kölsch i Dennis Widmyer nową wersją opowieści o demonicznym cmentarzu mógł wprowadzić na tory wyznaczone przez Muschiettiego, który wyciągnął wszystko co najlepsze z powieści Kinga i zanurzył w horror dla widowni zakochanej w „Stranger things". Mieli dobre intencje. Udało im się tylko połowicznie.

Nowa wersja „Smętarza..." nie jest przeznaczona dla oddanych fanów Kinga. Będą oni narzekać na liczne zmiany fabuły i spłaszczenie wymowy finału. Historia małżeństwa Creedów (Jason Clark, Amy Seimetz) i ich kilkuletnich dzieci (Jeté Laurence, Hugo Lavoie) ma potencjał na ciekawy horror psychologiczny. Trauma związana ze śmiercią dziecka, zderzenie skrajnego racjonalizmu naukowego z metafizyką

Kino

śmierci mieszają się z typowymi dla liberalnego Kinga publicystycznymi szpilami w postaci demonów wychodzących spod indiańskiej ziemi, by ukarać białych w najbardziej amerykańskim miejscu. W małym miasteczku, gdzieś w Maine, gdzie Creedowie chcą zrealizować american dream.

Twórcy „Smętarza..." nie mają ambicji, by stworzyć z ponurej opowieści o zagładzie rodziny jakiś rodzaj wielowymiarowej przypowieści w stylu horrorów Jordana Peele'a. Ich celem było stworzenie klasycznego horroru opartego na dobrze znanej koncepcji: dom na uboczu, las kryjący tajemnicę i dziwny sąsiad (tym razem o twarzy weterana Johna Lithgowa) wciągający bohaterów w mroki lokalnej społeczności. Do pewnego momentu im się udaje wszystko trzymać w ryzach. Jason Clarke kreuje poruszający obraz ojca lekarza, który nie tylko traci dziecko, ale rozsypuje mu się cały ateistyczny światopogląd. Dotąd nie wierzył on w istnienie duszy, teraz zawiera pakt z demonicznymi siłami z miłości do rodziny. Również Lithgow wypada intrygująco jako samotny sąsiad lekkomyślnie wprowadzający rodzinę Creedów w świat, który na zawsze powinien zostać zakopany pod ziemią.

Niestety solidnie budowana groza prowadzi do banalnego, pozbawionego pomysłu i wyświechtanego finału. Dosłowna nawalanka między siłami demonicznymi i ludzkimi zniszczyła niejeden dobrze zapowiadający się horror o egzorcyzmach. Tutaj jest podobnie. Wrażenie wtórności niweluje trochę ostatnia scena wywracająca koncepcję Kinga. Nie zmienia ona jednak ogólnego wrażenia, że „Smętarz dla zwierzaków" jest dziełem niespełnionym. Dobrze chociaż, że w głowie zostaje przerażający kocur Church powstały z grobu na indiańskim cmentarzu, błędnie nazwanym przez dzieci smętarzem. Po seansie inaczej spojrzycie na te tajemnicze zwierzaki.

„SMĘTARZ DLA ZWIERZAKÓW", REŻ. KEVIN KÖLSCH I DENNIS WIDMYER, DYSTR. UIP

Ja zostaję przy Nicholsie!

Nie jestem obiektywny w ocenie tego serialu. Odpadłem po jednym odcinku. Możliwe jednak, że wam się spodoba. Ja nie potrafię patrzeć na nową ekranizację „Paragrafu 22" Josepha Hellera, nawet jeżeli odpowiada za nią George Clooney, którego polityczne kino lubię. Trudno mi oglądać sześcioodcinkowy serial, bo jestem absolutnym fanem filmu Mike'a Nicholsa z 1970 r. z nieśmiertelną rolą Alana Arkina jako Yossariana. Tutaj zastąpił go mdły Christopher Abbot. Szalony, pełen ironii oraz inteligentnego humoru film Nicholsa to w mojej ocenie najwybitniejsza satyra antywojenna w historii kina z kapitalnie przerysowanymi rolami Orsona Wellesa, Martina Sheena, Anthony'ego Perkinsa czy Jona Voighta. W serialu nie tylko ich następcy nie mają porównywalnej charyzmy, ale nie dostali materiału oddającego chaos genialnej książki Hellera. Jeżeli nie znacie oryginału, to może produkcja Clooneya was porwie. Ja zostaję przy klasyce.

VOD

„PARAGRAF 22", DOSTĘPNY NA HBO GO

eprasa.pl 24062b618d

Sprzeciwiam się temu, aby ktoś chciał zawłaszczyć imię Jezusa Chrystusa do jakiejkolwiek partii

Katolicy polscy, policzmy się

Z księdzem infułatem ***Ireneuszem Skubisiem*** *rozmawia Artur Ceyrowski*

Fot. Bożena Sztajner

Czy wybiera się ksiądz do europarlamentu? Pytam o politykę z powodu sporu między Ruchem Europa Christi a inicjatywą o charakterze politycznym, która próbuje zawłaszczyć nazwę powołanego przez księdza ruchu religijnego.

Ireneusz Skubiś: Nie wybieram się do Parlamentu Europejskiego, bo nigdy nie miałem żadnych ambicji politycznych ani partyjnych. Nie chcę też mieć nic wspólnego z partią, która w swojej nazwie ma słowa Ruch Europa Christi. Poza tym chciałbym przypomnieć, że zarząd Fundacji „Myśląc Ojczyzna im. ks. Infułata Ireneusza Skubisia", która jest właścicielem nazwy Ruch Europa Christi, złożył udokumentowany protest w sądzie rejestracyjnym w Warszawie przeciwko użyciu słów Ruch Europa Christi w nazwie partii, ale sąd go nie uwzględnił. Nie interesuje mnie ani polityka, ani partyjność. Uważam, że Ruch Europa Christi, którego jestem założycielem i moderatorem, jest wystarczająco dobrą propozycją dla Europy, bo jest wyrazem troski o to, by Europa wróciła do Chrystusa i do swojej chrześcijańskiej tożsamości. Europy nie uzdrowi żadna partia, ale może to uczynić sam Chrystus. Właśnie dlatego stworzyłem Ruch Europa Christi, a nie Europa Christiana, bo moim zdaniem partie chadeckie zdradziły Chrystusa. Dlatego nasz ruch jest zbudowany wokół osoby Jezusa Chrystusa, nie zaś wokół polityki.

1/0119/F

eprasa.pl 24062b618d

W tej sprawie nie tylko o zawłaszczenie nazwy chodzi.

W świecie polityki istnieje niezwykle brutalna walka między frakcjami i partiami. To m.in. dlatego nie mogę wyobrazić sobie sytuacji, w której w nazwie ugrupowania partyjnego znajdzie się słowo Christi. W moich wypowiedziach bronię Ruchu Europa Christi przed jego upolitycznieniem i upartyjnieniem, bo samo użycie zwrotu Europa Christi w kontekście politycznym jest nieporozumieniem. Nie można przecież użyć słów wskazujących na imię Boże w kontekście partyjnym. Gdy widzimy w polskiej telewizji zażarte dyskusje polityków, nietrudno nam wyobrazić sobie, iż mogłoby dojść do bluźnierstwa i zlekceważenia imienia Chrystusa. Nie spotkałem nigdy, by ktoś użył imienia Chrystusa do nazwania opcji politycznej i uważam, że użycie imienia Bożego jest działaniem przeciw przykazaniu: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremnie". Dlatego sprzeciwiam się użyciu takiej nazwy dla określenia jakiejkolwiek partii. Miałem nawet zamiar zwrócić się do Konferencji Episkopatu Polski, by zechciała podjąć interwencję w sprawie rejestracji partii, w nazwie której jest imię Boże. Słabe wyniki sondażowe partii sprawiają wrażenie, że to sam Chrystus przegrywa.

Zostańmy przy polityce. Jak ksiądz ocenia słowa Leszka Jażdżewskiego, redaktora naczelnego „Liberté!", które padły na Uniwersytecie Warszawskim, przed wykładem Donalda Tuska?

W mojej ocenie słowa redaktora naczelnego „Liberté!" należy odnosić i zestawiać z nienawistnymi oskarżeniami z czasów, gdy bolszewicy podejmowali zdecydowaną wojnę z Bogiem i religią. Cynizm i kłamstwo ścigają się w wypowiadanych zdaniach Jażdżewskiego. Nie wiadomo, kto jeszcze kryje się za wypowiadanymi oskarżeniami wobec Kościoła. Odnośnie do polityki to chciałbym tu przypomnieć jedną ważną i symptomatyczną rozmowę. W mojej obecności zapytano kiedyś Macieja Płażyńskiego o to, dlaczego odszedł z PO, partii, którą sam przecież zakładał. Płażyński na to pytanie wówczas nie odpowiedział, spuścił jedynie głowę w milczeniu. To wymowne milczenie sprawia, że słów Jażdżewskiego nie mogę oceniać bez kontekstu, w jakim zostały wypowiedziane. Stało się to 3 maja, w ramach wstępu do wykładu Donalda Tuska. Wypowiadający te słowa spotkał się z uznaniem i aplauzem. Kim byli ludzie, którzy go oklaskiwali? Czy któryś z nich wyszedł z sali na znak protestu? Przecież wiemy, że był tam również ks. Kazimierz Sowa. Co na to jego biskup? Zauważyłem też gest podziękowania ze strony Donalda Tuska względem autora wypowiedzi. Wprawdzie mniej czuły niż ten, który zapamiętaliśmy ze zdjęcia z Putinem w Smoleńsku, ale dostatecznie przyjazny. Niech także inni to ocenią. Ja jako moderator Ruchu Europa Christi powiem tak: katolicy polscy, policzmy się. Są nas miliony, a będący w mniejszości ateiści cynicznie nam ubliżają. Naprawdę nie jesteśmy „świniami".

REKLAMA

kasastefczyka.pl

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku.

eprasa.pl 24062b618d

W jednym z ostatnich tekstów w tygodniku „Niedziela" przypomniał ksiądz słowa Romana Brandstaettera, który nazwał XX stulecie „złym wiekiem". Wiemy oczywiście, z czego wynikała ta ocena, ale czy wiemy, jaka była geneza tego zła?

Genezą zła dla Europy był i jest właśnie ateizm. Ateizm wśród filozofów i polityków de facto doprowadził do II wojny światowej. Ta tragedia jest dziełem hitlerowskiego nazizmu i rewolucji bolszewickiej. Dwa ogromne systemy totalitarne, które dokonały straszliwych zbrodni, a Europa zadrżała z powodu wojen i zniszczenia. Zamordowano i skrzywdzono miliony ludzi. To był XX w., w którym zapanowali bezbożnicy. Odrzucenie Dekalogu stało się przyczyną straszliwego nieszczęścia Europy i świata.

Skoro wiemy, do jakiego zła prowadzi ateizm, i mimo wszystko wciąż pozwalamy bezbożnikom bezkarnie obrażać i atakować nasze sacrum, to czy nie powinniśmy się obawiać, że słowa Brandstaettera powtórzą kiedyś, mówiąc o XXI w.?

Wszyscy wiemy, że to bardzo często wpływowe grupy, posiadające duże możliwości, także finansowe. Wiemy też, że ich działanie skutkuje nienawiścią i odrzuceniem Dekalogu. Na przykład ideologia gender, która jest z samej swojej zasady antychrześcijańska, odrzuca Boga jako Stwórcę, odrzuca prawo natury, prawa biologii i prowadzi do odwrócenia porządku wartości.

Zastępuje je wręcz antywartościami i doprowadza do sytuacji, w której wyznawcy Jezusa Chrystusa są najbardziej prześladowaną grupą religijną na świecie. Na co dzień z powodu swojej wiary ryzykują życie i doznają niewyobrażalnych cierpień.

Dlatego ja często powtarzam, że my tworzymy ruch ludzi normalnych, ludzi dobrych. Natomiast to, co proponuje się światu dziś, zbudowane jest na antywartościach. Europa musi pamiętać o tym, że nasz świat został zbudowany na uporządkowanym schemacie wartości, który konstytuowały filozofia grecka, prawo rzymskie i Ewangelia Jezusa Chrystusa. To właśnie Kościół odgrywał w Europie rolę strażnika wartości. Budował uniwersytety, dbał o szpitalnictwo, tworzył sprawiedliwe sądy i zajmował się uprawą roli. Wielcy twórcy zakonów odegrali piękną rolę w budowie naszego kontynentu na podstawie prawdziwych i autentycznych wartości. Nawet współcześni nam twórcy wspólnoty europejskiej chcieli się odwoływać do wartości chrześcijańskich. Jedno z naszych sympozjów było poświęcone ojcom założycielom tej współczesnej europejskiej wspólnoty, którymi byli Alcide de Gasperi i Robert Schuman, dziś dołącza się do nich Konrada Adenauera. Ale o nich współczesna Europa też zapomniała, pamięta tylko o komuniście Spinellim i do jego dziedzictwa się odwołuje. Można nawet powiedzieć, że Kreml przeniósł się do Brukseli. Tam często pojawiają się pomysły, których my jako chrześcijanie nie możemy przyjąć. Europa musi wrócić do Chrystusa, musi przypomnieć sobie swoją kulturę i swoją wielkość. Tę wielkość Starego Kontynentu pokazywał św. Jan Paweł II i dlatego Ruch Europa Christi zbiera podpisy, aby papież Franciszek ogłosił naszego wielkiego rodaka patronem Europy. To także dlatego Ruch Europa Christi musi pozostać ruchem religijnym, kulturalnym, a nie politycznym.

14 lutego br. rozpoczął się III Międzynarodowy Kongres Ruchu Europa Christi. Tego dnia przypadała 1150. rocznica śmierci św. Cyryla, a to właśnie Apostołów Słowian: św. Cyryla i św. Metodego, Jan Paweł II zaliczył do współpatronów Europy. Jak wyglądał ten dzień z perspektywy moderatora Ruchu Europa Christi?

Zorganizowaliśmy początek kongresu pod hasłem jedności chrześcijan: „Europa dwóch płuc, Europa prawdy i pokoju". To jest założenie kongresu na cały rok. Rocznica śmierci św. Cyryla zgromadziła na Jasnej Górze biskupów z Polski, Czech, Słowacji, Ukrainy i Białorusi. Przewodniczył uroczystościom ks. kardynał Stanisław Dziwisz, a koncelebrowali mszę w kaplicy Matki Bożej wszyscy biskupi. Arcybiskup Ołomuńca Jan Graubner wygłosił piękne kazanie w języku polskim. To była podniosła uroczystość z dobrym programem. Prelekcje wygłaszali uczestnicy z Czech, Polski, Białorusi i ze Słowacji.

> Nas, katolików, są miliony, a będący w mniejszości ateiści cynicznie nam ubliżają. Naprawdę nie jesteśmy „świniami"

Ale to nie koniec tegorocznych zadań dla Ruchu Europa Christi. Jakie są dalsze plany?

Kolejna data w kalendarzu Ruchu Europa Christi to 11 maja w czeskim Velehradzie, tam w naszych spotkaniach wezmą udział goście z Polski, Czech, Słowacji, Białorusi i Ukrainy. 15 czerwca przenosimy się na Węgry, a kolejne sesje odbędą się 4 i 5 lipca w słowackiej Nitrze i pod koniec września we Lwowie. 16 i 17 października czeka nas jeszcze sesja w Lublinie, a 22 października ostatnia sesja w Warszawie. Spotkania w Polsce będą poświęcone Karcie praw rodziny, tj. dokumentowi Stolicy Apostolskiej, który powstał z inspiracji św. Jana Pawła II. Dziś, kiedy powstają pomysły w stylu Karty LGBT, to właśnie Karta praw rodziny jest odpowiedzią na pytanie o to, czym powinna być rodzina w wydaniu chrześcijańskim. Właśnie o taką rodzinę będziemy walczyć zarówno w Polsce, jak i w Europie. Gdy chrześcijańska Europa się wali, gdy sprzedawane są kościoły, rozwiązywane parafie, to bardzo ważne jest, by z Polski wyszła ta iskra, by wrócił Chrystus do Europy.

eprasa.pl 24062b618d

Pastor kontra Hitler

Dietrich Bonhoeffer należał do wybitnych teologów ewangelickich. Był nie tylko naukowcem i duchownym, lecz także świadkiem Ewangelii, za którą poniósł męczeńską śmierć

PIOTR SŁABEK

Gdyby przeżył wojnę, mógłby stanąć na czele powojennych Niemiec. Na pewno poszedłby inną drogą niż Konrad Adenauer, który z denazyfikacji uczynił teatr dla naiwnych.

Bonhoeffer na dziedzińcu więzienia w Berlinie-Tegel, lato 1944 r.

Fot. East News/AKG Images

eprasa.pl 24062b618d

Jego antynazistowskie poglądy i przekonania, będące w całkowitej opozycji do ówczesnego luteranizmu niemieckiego popierającego nazizm, szybko zostały zauważone przez Gestapo. W 1935 r. został pozbawiony prawa wygłaszania kazań, później zakazano mu pracy naukowej i jakichkolwiek publikacji.

Z CHRZEŚCIJAŃSKICH POBUDEK

Już w lutym 1938 r. nawiązał kontakt z wysokimi oficerami niemieckiej armii będącymi w opozycji do Hitlera. Rozmawiał z szefem Abwehry admirałem Wilhelmem Canarisem, z generałem Hansem Osterem, zagorzałym antynazistą, szefem Wydziału Z (administracyjnego pionu Abwehry), z generałem pułkownikiem Ludwigiem Beckiem, szefem Sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych, jednym z twórców Wehrmachtu. Gen. Beck był zaprzyjaźniony z rodziną Bonhoefferów i bywał w ich domu.

W sierpniu 1940 r. otrzymał propozycję zatrudnienia w Abwehrze od wyżej wspomnianego Hansa Ostera oraz Hansa von Dohnányia, antynazisty i wysokiego funkcjonariusza wywiadu, a prywatnie swojego szwagra. 30 października 1940 r. Bonhoeffer podjął pracę w wywiadzie. Został przydzielony do komórki Abwehry w Monachium. Pastor paradoksalnie został agentem wywiadu z chrześcijańskich pobudek – rozumiał, że nie można być prawdziwym chrześcijaninem i jednocześnie aktywnie nie przeciwstawiać się nazistowskiemu terrorowi.

Jego słowa dobitnie o tym świadczą: „Kościół tylko wtedy staje się Kościołem, kiedy istnieje dla tych, którzy pozostają poza nim... [istnieje] bezwarunkowa powinność Kościoła wobec ofiar każdego systemu społecznego, nawet jeżeli nie należą do wspólnoty chrześcijańskiej".

Bycie agentem Abwehry chroniło go przed działaniami Gestapo i wcieleniem do służby wojskowej. Legitymując się jako pracownik wywiadu, mógł się swobodnie poruszać po Niemczech i wyjeżdżać za granicę.

W czasie pobytu w Sztokholmie spotkał się z biskupem Chichester George'em Bellem i za jego pośrednictwem przekazał Brytyjczykom dowody eksterminacji Żydów. W imieniu grupy spiskowców, w tym generałów Ostera i Becka, zwrócił się o pomoc w usunięciu Hitlera. Jego misja została potraktowana jako próba prowokacji i nie spotkała się z żadną reakcją aliantów.

WŚRÓD BERLIŃSKIEJ ELITY

Dietrich Bonhoeffer urodził się w 1906 r. we Wrocławiu jako siódme z ośmiorga dzieci szacownej, mieszczańsko-arystokratycznej rodziny. Ojciec Karl Bonhoeffer od 1912 r. był profesorem psychiatrii i neurologii na uniwersytecie berlińskim. Matka Paula, z domu von Hase, była córką nadwornego kapelana cesarza Wilhelma II. Zamożny i obszerny dom państwa Bonhoefferów był miejscem spotkań intelektualnej elity Berlina. Wpływ domu rodzinnego na życie Dietricha był olbrzymi. Wyniósł z niego poczucie odpowiedzialności społecznej.

Pod koniec życia w „Listach z więzienia" napisał: „Nigdy chyba nie zmieniłem się bardzo, jak mi się zdaje [...]. Chyba tylko pod wpływem pierwszej podróży za granicę i pod wpływem osobowości mego ojca, gdy ją już sobie zacząłem uświadamiać. Właśnie ona spowodowała we mnie trwały zwrot od frazeologii do rzeczywistości".

BUNT ZŁAMANY BUTEM

Z kręgów bliskich Bonhoefferom wywodzili się spiskowcy. W samej rodzinie Bonhoefferów aż cztery osoby poniosły śmierć za udział w spisku przeciw Hitlerowi: dwóch synów – Dietrich i Klaus, oraz dwóch zięciów – Hans von Dohnányi i Rudolf Schleicher. Wielu z odwiedzających dom Bonhoefferów było zaangażowanych w działalność grup opozycyjnych.

Historia pokazała, że część arystokratyczno-mieszczańskiego środowiska stała się jedną z nielicznych grup społecznych, które opowiedziały się przeciw Hitlerowi i były w stanie myśleć samodzielnie, w czasie gdy prawie całe Niemcy „kupił" nazizm. Niestety był to ruch pozbawiony szerszego zaplecza. Wielu spiskowców miało bardzo naiwne koncepcje polityczne i do ostatniej chwili nie mogło się zdecydować na radykalne, skuteczne działanie.

Naród niemiecki przez wieki był wychowywany do bezwzględnego posłuszeństwa wobec władzy państwowej – jakakolwiek by ona była. Taka postawa była promowana, a odstępstwa od niej traktowano jako zdradę. Niemiecki filozof Immanuel Kant pisał: „Gdy jakiś naród z największym stopniem prawdopodobieństwa stwierdzi, że pod określonym, obecnie istniejącym ustawodawstwem szczęśliwość jego ponosi szwank, cóż ma czynić? Czy nie powinien stawiać oporu? Odpowiedź jest tylko jedna: nie ma nic do zrobienia, prócz słuchania. [...] Wszelkie sprzeciwianie się [...] wszelkie podżeganie do tego, wszelkie powstanie jest najwyższą i najbardziej karygodną zbrodnią w życiu publicznym, gdyż niszczy jego podwaliny".

W POSZUKIWANIU PRAWDY

Ale Bonhoeffer zawsze poszukiwał tego, co najważniejsze. Pytał o sens ludzkiego losu, sens zła, nic więc dziwnego, że wybrał studia odnoszące się do rzeczywistości ostatecznej i najważniejszej – teologię. Był to wybór racjonalny na płaszczyźnie intelektualnej. Rozpoczął studia, mając 17 lat. Doświadczenie nawrócenia, duchowej przemiany, żarliwa religijność przyszły znacznie później.

W jednym z listów z 1936 r. pisze: „Rzucałem się na pracę w sposób bardzo niechrześcijański. Ambicja, którą zresztą niektórzy dobrze widzieli, utrudniała mi życie. [...] Potem przyszło coś innego, coś się zmieniło i obróciło na wywrót całe to życie, aż do dziś dnia. Pierwszy raz dotarłem do Biblii. Przedtem mówiłem już często kazania, wiedziałem sporo o Kościele, mówiłem o tym, i – nie byłem jeszcze wcale chrześcijaninem. Wiem, że robiłem wtedy ze sprawy Chrystusa po prostu użytek dla siebie. Proszę Boga, aby to się już nigdy nie powtórzyło. Nie modliłem się prawie nigdy lub bardzo rzadko. Z tego wszystkiego wyzwoliła mnie Biblia i szczególnie Kazanie na Górze. Od tego czasu wszystko było inaczej".

eprasa.pl 24062b618d

Bonhoeffer (drugi od prawej) w więzieniu w Tegel w Berlinie wraz z innymi więźniami włoskiego lotnictwa. Wczesne lato 1944 r.

Fot. East News/AKG Images

Najpierw studiował w Tybindze, później w Berlinie. W tych czasach próbowano zintegrować wiedzę współczesnych nauk z myśleniem teologicznym. Początkujący naukowiec interesował się psychologią, a nawet młodą wówczas socjologią. Znał teorie Freuda i Adlera, a nawet osiągnięcia Einsteina.

ŻYWA WIARA I MARTWA RELIGIA

Olśnieniem dla Bonhoeffera było zetknięcie się z pracami wybitnego teologa Karla Bartha. Głosił on, że głęboki kryzys religijny jest czymś naturalnym, a nawet pozytywnym. To ludzka odpowiedź na nieuchwytność i niepoznawalność Boga. Bóg w swej istocie jest tak nieosiągalny, że wszelkie wysiłki ludzkiej woli i umysłu nie są w stanie go dosięgnąć. Jedynie przez wiarę, jaką daje Bóg, można się do niego zbliżyć. Nic więc dziwnego, że spora część ludzi uważa, że Go nie ma, a jeszcze większa część wyznawców religii chrześcijańskiej żyje tak, jakby Go nie było. Postawa taka preferowała „żywą wiarę", natomiast z dużą nieufnością odnosiła się do„zinstytucjonalizowanej religii".

Bonhoeffer już w 1928 r., będąc na rocznym wikariacie w Barcelonie, na jednym z odczytów mówił: „Chrystus został faktycznie wyeliminowany z naszego życia [...]. Stał się sprawą Kościoła, czy raczej kościelności pewnej grupy ludzi, nie sprawą życia".

WBREW OPINII PUBLICZNEJ

Jak na ewangelika miał nietypowe zainteresowania i jako temat pracy doktorskiej obrał „Świętych obcowanie". Ukazał w niej wiele istotnych prawd dotyczących chrześcijaństwa w etycznych kategoriach życia społecznego. W 1930 r. uzyskał habilitację i otrzymał stanowisko docenta berlińskiego uniwersytetu. W tym samym roku wyjechał na studia do Union Theological Seminary w Nowym Jorku. W 1933 r. zrezygnował z kariery naukowej, koncentrując się na działalności duszpasterskiej.

To okres rosnących wpływów Hitlera, kiedy ideologia nazistowska stawała się niemiecką ideologią państwową, popieraną przez szerokie kręgi społeczne. Bonhoeffer był człowiekiem szukającym własnej drogi, zgodnej z jego sumieniem. Wszystko, co robił, było próbą dania twórczej odpowiedzi na pytania, które stawiał przed nim ówczesny świat: jak się w nim zachować zgodnie z przyjętymi chrześcijańskimi wartościami. Uważał, że opinia publiczna nie może się stać dla chrześcijanina wskaźnikiem działania. Decyzja moralna prowadzi nas w głęboką samotność, w której stoi się w obliczu żywego Boga.

Przemiany społeczne i polityczne związane z powstaniem i rozwojem III Rzeszy sprawiały, że świat, z którego wyrósł, ciągle się zmieniał, był niszczony i rugowany. Konflikt z państwową ideologią dla tych, którzy uczciwie wyznawali chrześcijańskie wartości, był nieuchronny.

Bonhoeffer wyjechał do Londynu, gdzie w latach 1933–1935 był pastorem. Jawnie przeciwstawiał się ideologii nazistowskiej, widząc w niej zagrożenie dla chrześcijan, dla Niemców i dla ludzkości. W 1934 r. na ekumenicznym zjeździe młodych protestantów w Danii kreślił wizję wojny, którą może wywołać nazizm.

WSPÓLNOTOWY WYMIAR CHRZEŚCIJAŃSTWA

Po powrocie do Niemiec wstąpił do Kościoła wyznającego, będącego w opozycji do oficjalnego Kościoła luterańskiego. Dietrich zwracał uwagę na tworzenie relacji i budowanie wspólnoty. Twierdził, że konkretem, a zarazem sprawdzianem

eprasa.pl 24062b618d

dla chrześcijaństwa jest zawsze wspólnota ludzka. Od troski o jej właściwy rozwój zależy wierność Bogu. Temat pracy doktorskiej nie był przypadkowy – życie wspólne uważał za bardzo istotny element budowania Kościoła. Półlegalne seminarium duchowne, które stworzył w Finkenwalde (dziś dzielnica Szczecina-Zdrojów), było pewnego rodzaju odpowiednikiem zakonów w katolicyzmie. Dla wielu ewangelików próba założenia czegoś na wzór klasztoru była wysoce niezrozumiała. Założona wspólnota została zlikwidowana przez Gestapo w roku 1937, a próba wznowienia działalności w okolicy Koszalina zakończyła się rok później aresztowaniami niektórych jej członków.

Osobistym odkryciem Bonhoeffera, które doprowadziło go do bardziej radykalnych działań, była obserwacja, że zachowanie jedynie czystych rąk, stanie na uboczu, troska, by się nie ubrudzić, nieangażowanie się we wspieranie nazizmu to za mało. Takie postawy są ucieczką w świat religii, budową prywatnych kapliczek w nic nieznaczących, zmarginalizowanych miejscach. To wycofanie się w wewnętrzny świat, odrealnienie – odmowa odpowiedzialności za to, co dzieje się wokoło, jest drogą donikąd. Do tak rozumianej religii Dietrich czuł odrazę.

Doświadczenie bycia chrześcijaninem to stan, w którym trzeba się nauczyć poruszać w ciemności, by „być dla innych". Nie chodzi jednak o „czynienie dobra" w ramach jakiegoś zagwarantowanego porządku, lecz otwartość na potrzeby, które niesie z sobą rzeczywistość, zawsze zmienna, niepoddająca się odgórnym przepisom i narzuconym normom. Życie chrześcijańskie to nieustanna wędrówka po śladach Abrahama, który opuścił bezpieczne schronienie w chaldejskim Ur i wyruszył w nieznane. Chrześcijanin odnajduje swoją tożsamość wtedy, gdy włącza się we wspólny wysiłek całej ludzkości, gdy nie ucieka od świata pełnego mroku i niepewności w obawie, by ktoś go o coś nie obwinił.

Bonhoeffer jasno zaczął zdawać sobie sprawę, że prawdziwą klęską Niemiec jest przedłużanie zbrodniczej działalności Hitlera choćby o jeden dzień. Zbrodnie należy przerwać jak najszybciej i usunąć Führera, mimo odmowy aliantów, braku jakichkolwiek gwarancji czy ustępstw. Twierdził nawet, że oczekiwanie przez Niemcy korzyści z wojny są niemoralne. Takie poglądy były nie do przyjęcia w ekspansywnej III Rzeszy. Pastor czuł się niezwykle osamotniony.

CIEMNY ŚWIAT WYWIADU

Jako duchowny znalazł się w samym centrum brutalnej walki, stając się agentem wywiadu i czynnie angażując się w odsunięcie od władzy Hitlera i nazistów. Wszedł w świat pełen ciemności i przemocy po to, by zwyciężyło dobro. Na drugim końcu takiego myślenia była postawa szukania bezpiecznych miejsc, ukrycia się w mysiej dziurze na czas zagłady.

> Wierny swoim poglądom pastor zdecydował się na potrójną grę. Był agentem niemieckiego wywiadu, należał do frakcji spiskowców w ramach Abwehry, prowadził też swoją własną grę

Było to działanie niezwykle ryzykowne i niebezpiecznie. Wierny swoim poglądom zdecydował się na potrójną grę. Był agentem niemieckiego wywiadu, należał do frakcji spiskowców w ramach Abwehry, z którą nie we wszystkim się zgadzał, prowadził też swoją własną grę. Swą działalność prowadził w oparciu o przyjaźnie i znajomości zawarte w międzynarodowym ruchu ekumenicznym, gdzie ufano mu bezgranicznie. Ryzyko było olbrzymie, każdy nierozważny ruch, każda pomyłka mogła się skończyć tragicznie.

Z wewnętrznych odkryć, z życiowych doświadczeń zrodziły się rozważania na temat „bezreligijnego chrześcijaństwa". Męczeńska śmierć pastora nadała jeszcze głębszą wymowę jego poglądom. Pisma teologa wywarły istotny wpływ na wielu ludzi: intelektualistów, działaczy opozycji, teologów różnych wyznań.

LISTY Z WIĘZIENIA

Bonhoeffer w styczniu 1943 r. zaręczył się z Marią von Wedemayer. 5 kwietnia tego roku, wobec braku konkretnych dowodów uczestnictwa w spisku, został aresztowany pod ogólnym zarzutem „osłabiania potencjału wojennego Niemiec". Wpływy Canarisa w tym czasie zaczęły już słabnąć, nie wystarczyły, aby Bonhoeffera uwolnić, ale pozwoliły na przeniesienie go z aresztu policyjnego Gestapo do względnie spokojnego więzienia w Berlinie. Miał szansę na ucieczkę z więzienia, ale z niej nie skorzystał.

Po nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 r. i wykryciu powiązań Canarisa i grupy współpracujących z nim oficerów z Bonhoefferem pastor został w październiku 1944 r. ponownie przeniesiony do więzienia Gestapo. Stamtąd trafił do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Z więzienia pisał: „Ewangelia każe zdać się na bezsilność i na cierpienie Boga. Tylko cierpiący Bóg może pomóc. [...] [Nawrócenie] to nie myśleć przede wszystkim o własnych niedolach, pytaniach, grzechach i trwogach, tylko dać się zagarnąć bez reszty na drogę Chrystusową [...]".

Hitler nie zapomniał o nim nawet w obliczu katastrofy Niemiec: na jego osobisty rozkaz 8 kwietnia 1945 r. Bonhoeffer wraz z admirałem Canarisem i generałem Osterem został postawiony przed trybunałem doraźnym, skazany i następnego dnia stracony na szubienicy w obozie Flossenbürg.

Literatura:

A. Morawska „**Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy**", Warszawa 1970.
D. Bonhoeffer „**Wybór pism**", Warszawa 1970.
D. Bonhoeffer „**Naśladowanie**", Poznań 1997.
D. Bonhoeffer „**O odpowiedzialności**", Kraków 2001

eprasa.pl 24062b618d

Litwa–Polska:
powrót do „historycznej jedności”?

Fot. shutterstock

eprasa.pl 24062b618d

Przewrót ów następuje w ślad za trwającą już dwa lata restytucją normalnych stosunków politycznych pomiędzy Polską a Litwą, jaką rozpoczął po objęciu władzy premier Saulius Skvernelis. Symbolem tej powracającej normalności stała się bez wątpienia zawarta uroczyście w czerwcu 2017 r. umowa regulująca zasady tranzytu paliw do należącej do Orlenu rafinerii w Możejkach, wcześniej sekowanej przez litewskie koleje z trudnych w istocie do pojęcia powodów. Wtedy Skvernelis publicznie dziwił się temu, iż tak oczywista rzecz nie mogła się na Litwie dokonać przez długi czas, skoro chodzi przecież „o dwie bardzo ważne dla Litwy spółki". Potem Litwini wykonali wiele mniej lub bardziej istotnych posunięć mających przezwyciężyć wcześniejszy stan polsko-litewskiej „zimnej wojny". Chociaż nadal, mimo otwartego wsparcia rządu dla tej inicjatywy, litewski sejm nie potrafił rozwiązać najbardziej jątrzącego problemu oficjalnego używania polskich nazwisk i polskiej pisowni. A to właśnie w tej sprawie złamana w 2010 r. przez Litwinów obietnica złożona prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu dała asumpt do tamtej „zimnej wojny", trwającej przez sześć lat, aż do chwili nadejścia premierostwa Skvernelisa.

JAN ROKITA

Jeśli dzień 3 maja 2019 r. potraktować jako świadectwo rysującego się trendu, to jesteśmy świadkami początków przewrotu w litewskiej polityce historycznej

ŹRÓDŁA KONFLIKTU

Ale jedna rzecz to normalne stosunki polityczne i gospodarcze, a inna – to historyczny litewski „kompleks Polski", nieustannie zatruwający szanse na sąsiedzką normalność. Przykład Ukrainy dowodzi, że gdy idzie o nasze trzy narody tworzące niegdyś przez wieki wspólne państwo, radykalna odmienność interpretacji wspólnej historii paraliżuje w gruncie rzeczy możliwości prowadzenia racjonalnej polityki, opartej na rozumieniu własnych interesów. W jakimś sensie to, co po tragicznej śmierci prezydenta Kaczyńskiego zaczęło się dziać pomiędzy Wilnem a Warszawą, teraz ma swoją powtórkę, tyle że między Warszawą a Kijowem.

W 2010 r. szef polskiej dyplomacji zarzekał się, iż „jego noga nie postanie już w Wilnie", a nieco później (jak wiemy z „afery taśmowej") nakłaniał szefa Orlenu w słynnej Sowie, aby ten zastosował wobec Litwinów takie środki jak „bojkot taki sam, jak Ruscy zrobili Ukraińcom". I to nawet, jeśliby Polskę miało to kosztować, byle Litwę kosztowało więcej! Dwa lata temu, w roku 2017, szef polskiej dyplomacji pochodzący z całkiem przeciwnego obozu politycznego, groził Ukrainie, że jeśli nie zmieni swego podejścia do kwestii historycznych, to Polska może zablokować jej starania o członkostwo w NATO. W obu przypadkach powraca cały czas w gruncie rzeczy ten sam syndrom. Skoro Litwini i Ukraińcy tak ostentacyjnie chcą wykładać wspólną historię przeciw Polakom, to Warszawa, nawet gdyby sama miała działać na szkodę własnych państwowych interesów, nie będzie puszczać tego płazem. To w istocie rzeczy mówił swego czasu Litwinom Radosław Sikorski, w ślad za nim Ukraińcom – Witold Waszczykowski.

U źródeł fundamentalnego konfliktu narodowych tożsamości zawsze leżała w gruncie rzeczy przedrozbiorowa I Rzeczpospolita. W oczywisty sposób my, Polacy, traktujemy ją po prostu jako ojczyznę, a Litwini i Ukraińcy w gruncie rzeczy nie wiedzą, jak ją mają traktować, ale żywią wobec niej wszelkie negatywne przesądy i emocje. Historyczne powody tej percepcyjnej odmienności są dobrze znane, ale to, co naprawdę doniosłe dla dzisiejszej i przyszłej polityki, to ewolucja takiego podejścia u obu naszych sąsiadów.

W Wilnie swego rodzaju kluczem do całego tego problemu jest Konstytucja 3 maja. Jak to objaśniał w dniu 3 maja 2019 r. największy żyjący litewski poeta – Tomas Venclova – podczas uroczystości zorganizowanych przez litewski sejm oraz mera Wilna w tamtejszym kościele św. Katarzyny: „W 1791 r. w Wielkim Księstwie świętowano Ustawę Konstytucyjną huczniej i radośniej aniżeli w Warszawie, ale w ciągu XIX w. Litwini wyparli to ze swojej świadomości i tak samo uczynili potem komuniści". Pogląd Venclovy, który zwykł mieszkać między Wilnem, Krakowem i Ameryką, nie jest niczym nowym ani zaskakującym. Poeta od lat należy do grona Litwinów zdecydowanie zorientowanych na Polskę. Ale tym razem, w roku 2019, Venclova mówił o tym do czołowych litewskich polityków i wileńskich samorządowców, którzy ściągnęli go jako lidera tych uroczystości, wiedząc dobrze, co on tam może powiedzieć. I co ciekawe, sami postanowili wtórować narracji poety.

Mer Wilna Remigijus Šimašius (wybrany w marcu na drugą kadencję) przywoływał ponoć XVIII-wieczne litewskie powiedzenie: „Bez czego nie może istnieć Litwa? Bez wolności i związku z Polską". I przekonywał, że dla państwa litewskiego Unia Europejska to w istocie „czwarta unia z Polską, tyle że najbardziej stabilna". Ale niewątpliwym głównym politycznym bohaterem obecnego 3 Maja okazał się jeden z liderów konserwatystów i były premier Andrius Kubilius. To właśnie on jakiś czas temu stworzył w litewskim sejmie Parlamentarną Grupę 3 Maja, argumentując, że „trzeba najpierw zrozumieć dobrze własną historię, aby rozumieć teraźniejszość i to, co może przynieść przyszłość". A teraz, w imieniu swojej partii (która dodajmy nawiasem, zdecydowanie dominuje w aktualnych sondażach) wygłosił w sejmie kluczową mowę podczas posiedzenia z okazji ćwierćwiecza polsko-litewskiego traktatu zawartego 26 kwietnia 1994 r. W czasie tej sesji sejmu mowy wygłosili także m.in. marszałkowie polskiego Senatu Stanisław Karczewski i litewskiego sejmu Viktoras Pranckietis. Ale to mowa Kubiliusa nadała

eprasa.pl 24062b618d

ton całości posiedzenia. Nie sposób nie przywołać z niej co najmniej kilku fragmentów.

NOWA NARRACJA HISTORYCZNA

Były premier zaczął od tego, iż traktat 1994 r. to w dziejach Litwy „zdarzenie epokowe i niedoceniane", gdyż pokazało ono inną twarz Polski – „Polski bez kompleksu wielkości", kultywującej myśl i idee Jerzego Giedroycia. „Litwa dopiero czeka na swojego Giedroycia" – dodał, aby mogła w pełni pojąć, iż dziedzictwo 3 Maja to nie tylko kwestia aktu konstytucji, lecz przede wszystkim tradycja „historycznej jedności z Polską". Kubilius otwarcie zakpił z obowiązującej ciągle na Litwie ustawy o nazwiskach, mówiąc posłom, iż nie może pojąć, dlaczego Litwinka, która wyszła za mąż za Francuza o nazwisku Jacquet, musi występować w swoim kraju jako „pani Žakė", gdyż Litwinom nie wolno używać liter W, Q, X. Dla każdego było jasne, że bynajmniej nie o Francuzów naprawdę idzie tutaj mówcy.

Po czym – jakby tego było mało – Kubilius przeszedł do kwestii, która stanowiła dotąd tabu litewskiej debaty publicznej. „Musimy sami siebie zapytać, czy za rok będziemy czcić na Litwie stulecie Cudu nad Wisłą oraz wkroczenie 19 kwietnia 1919 r. marszałka Piłsudskiego na białym koniu do Wilna?". „Bądźmy uczciwi" – mówił były premier. „Przecież bez Piłsudskiego i bez Cudu nad Wisłą zostalibyśmy już wówczas częścią Litbelu", czyli połączonej przez Lenina sowieckiej Białorusi i Litwy. Kubilius przekonuje także swoich rodaków, iż dopiero wtedy mogą uczciwie czcić także pamięć potyczek z Polakami pod Giedrojciami i Szyrwintami, gdzie rok później zmusili do odwrotu „zbuntowane" oddziały Żeligowskiego.

Nie trzeba dodawać, że taki punkt widzenia na dzieje kraju oznacza całkowite roztrzaskanie historycznej narracji XIX- i XX-wiecznego litewskiego nacjonalizmu. A jego akceptacja byłaby równoznaczna z rewizją całej litewskiej narodowej tradycji, która w historii wspólnego polsko-litewskiego państwa musiałaby odnaleźć korzenie dzisiejszej litewskiej państwowości. Zapewne jeszcze daleko do takiego „tożsamościowego przełomu" na Litwie. Ale to, co prawdziwie niezwyczajne w tych zdarzeniach, to to, że ów wysiłek historycznej rewizji zostaje podjęty nie przez jakiegoś litewskiego poetę czy liberalnego intelektualistę, ale jednego z liderów konserwatystów, czyli partii stworzonej przez Vytautasa Landsbergisa i będącej w ciągu poprzedniego ćwierćwiecza matecznikiem nacjonalistycznej wizji historii Litwy, jako fundamentu jej nowoczesnej państwowości. Co więcej, Kubilius to wieloletni premier prawicowego rządu, a z czasem jego premierostwa w latach 2008–2012 (tzw. drugi gabinet Kubiliusa) wiąże się właśnie owa zapaść relacji polsko-litewskich po katastrofie smoleńskiej oraz animozje nieznoszących się nawzajem i robiących sobie na złość ministrów spraw zagranicznych: Sikorskiego i Ażubalisa. Tamta wzajemna wrogość obu szefów dyplomacji wzrosła jeszcze po tym, jak Ażubalis najpierw obiecał publicznie Sikorskiemu poparcie jego starań o funkcję sekretarza generalnego NATO, a gdy zorientował się, że szanse Polaka są nikłe, przerzucił litewski głos na zwycięskiego Duńczyka.

Oczywiście można powiedzieć: Kubilius teraz jest taki odważny, jak już nie jest ani szefem partii, ani premierem. I będzie w tym zapewne jakaś część prawdy. Rzecz jednak w tym, że wszystko to, co działo się teraz w Wilnie przy okazji 25-lecia traktatu oraz 3 Maja, zdominowane było przez powracającą ideę „litewsko-polskiej historycznej jedności". Hasło owo, tak dotąd obce litewskiej tradycji historycznej, powtarzane było w mediach i podczas niezliczonych imprez, jakie ostatnio miały miejsce w Wilnie. Bo to nie tylko sesja sejmu z mową Karczewskiego i uroczystości u św. Katarzyny, lecz i polski pochód, seminaria w Pałacu Prezydenckim (z udziałem ustępującej właśnie pani prezydent) oraz w Sejmie, wystawa w kancelarii premiera poświęcona Lechowi Kaczyńskiemu, a do tego jeszcze zbiegające się imprezy muzyczne ku czci Stanisława Moniuszki w dwusetlecie jego urodzin. A w końcu Kubilius zapraszał nawet na rajd rowerowy, który także podążyć miał (jak mówił) „szlakiem historycznej jedności".

Zaraz po tej fali obchodów zaczęły się następne: tym razem związane z 15-leciem wejścia Polski i Litwy do Unii Europejskiej, z mową marszałka Marka Kuchcińskiego na forum sejmu litewskiego. Co prawda nagromadzenie obchodów może u Litwinów budzić już nawet przesyt „polsko-litewskiej miłości", tym razem jednak trudno nie mieć wrażenia, że po raz pierwszy dzieje się w ich trakcie coś ważnego i nowego dla budującej się ciągle litewskiej narodowej tożsamości.

Ballada o dwóch takich, którzy lubią stare filmy

Właśnie ukazała się nowa książka Krzysztofa Logana Tomaszewskiego, pisarza, autora piosenek m.in. „Już nie ma dzikich plaż", kompozytora, malarza, współpracownika tygodnika „Sieci".

„Kino Samotnych Psów" to ballada o miłości człowieka i psa, ich niezwykłej więzi oraz o przemijaniu. A także o filmach, które razem oglądają, jakich już dziś nikt nie nakręci. Głównym bohaterem tej ciepłej i mądrej opowieści jest pies Salomon, ukochany towarzysz autora, dzielący z nim wiernie radości i smutki.

Krzysztof Logan Tomaszewski jest autorem m.in. takich książek, jak „Bohdan Tomaszewski – poeta mikrofonu", „Zawodowiec", „Stadion Zachodzącego Słońca" poświęconych swojemu ojcu, a także emigracyjnych wspomnień „Zawsze możesz powrócić" czy opowiadań o miłości – „Najpiękniejsi są kochankowie" i „Odpoczynek Casanovy".

eprasa.pl 24062b618d

Rosyjska wersja programu „The Voice Kids" stała się symbolem współczesnej Rosji, w której układy decydują o losie człowieka – piszą oburzeni internauci. Dlaczego finał ostatniej edycji programu skończył się skandalem?

Tak można zabrać ludziom ostatnie marzenie

Jeden z rosyjskich internautów napisał: „Jest to historia o tym, jak jedna niebiedna rodzina zepsuła wieczór całemu krajowi". Inni byli bardziej stanowczy, pisząc, że w Rosji, kraju, który na przekupstwie stoi, doszło nawet do tego, że programy telewizyjne z udziałem dzieci zostają zmanipulowane, przekształcone w rywalizację dorosłych, gdzie liczą się pieniądze, wpływy i koneksje, a nie talent i praca. Inni, nie kryjąc swego oburzenia, argumentują, że to, co się stało w piątkowy wieczór w tygodniu poprzedzającym majowe święta, jest symbolem współczesnej Rosji, w której układy decydują o losie człowieka.

NAJSŁABSZA WYGRYWA

Tę falę komentarzy i emocji wywołał finał znanego i u nas programu „The Voice Kids", w Rosji nadawanego pod nazwą „Gołos dieti" (niektórzy internauci kąśliwie proponowali, aby zmienić jego nazwę na „Gołos diengi", czyli pieniędzy.) Kolejną edycję, ku zaskoczeniu większości widzów, z ogromną przewagą wygrała Mikella Abramowa, zdobywając ponad 56 proc. głosów.

Nie miała ona łatwej drogi do finału. Najpierw dosłownie w ostatniej sekundzie została wybrana przez Switłanę Łobodę, uczestniczącą w programie w charakterze jurorki znaną ukraińską piosenkarkę, robiąca karierę w Rosji. Później, w kolejnej fazie, Łoboda postawiła na dwoje innych dzieci uczestniczących w konkursie, a Mikella odpadła. Zorganizowano wówczas specjalną dogrywkę, po której zdołała się zakwalifikować do finału.

Zdaniem wielu obserwatorów i krytyków muzycznych, którzy już zdążyli zabrać w tej sprawie głos, była z całej finałowej trójki wokalnie zdecydowanie najsłabsza. Inni pisali, że miała problemy w wyższych rejestrach, a jej wcześniejsze wykonania, zwłaszcza te o szybszych rytmach, pozostawiały wiele do życzenia, bo dziewczynka gubiła tempo. Jeden z internautów napisał, że Abramowa ma talent, ale nie tej miary, aby wygrać ogólnorosyjski kon-

Autopromocja

eprasa.pl 24062b618d

kurs, nadaje się, by śpiewać w chórze, w trzecim rzędzie po prawej stronie, i to raczej dopiero w drugim, a jeszcze lepiej w kolejnym składzie.

Uznane rosyjskie gwiazdy – takie jak Ałła Pugaczowa, która po konkursie zaprosiła na kolację wszystkich finalistów, z wyjątkiem zwyciężczyni, i wręczyła im własne nagrody – były bardziej stanowcze. Padały słowa o ustawieniu czy, używając terminologii piłkarskiej, wydrukowaniu wyniku. Oskarżenia o nieuczciwość, niejasne machinacje i oszustwo przewijały się w wielu wypowiedziach.

W efekcie zareagowała nawet dyrekcja rosyjskiego Programu 1, który emitował „The Voice Kids". Na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej szef kanału Konstantin Ernst poinformował, że zatrudnił specjalną firmę specjalizującą się w tropieniu przestępczości internetowej, aby przeprowadziła niezależne dochodzenie i stwierdziła, czy esemesowe głosowanie było uczciwe. Jeśli miałoby się potwierdzić, że oskarżenia o machinacje mają podstawy, to wynik konkursu zostanie anulowany, a finał powtórzony. Podobne dochodzenie prowadzić będą też Holendrzy, właściciele formatu.

Oczywiście zwyciężczyni straci też czek na 1 mln rubli (ok. 14 tys. euro), który stanowił główne trofeum w rywalizacji młodych artystów i miał służyć finansowaniu ich przyszłej kariery.

GŁOS PIENIĘDZY

Cała sprawa ma wymiar po części polityczny, ale również, a może przede wszystkim, społeczny. Mikella Abramowa nie jest bowiem zwykłą 10-latką, ale córką wpływowych i dobrze urodzonych przedstawicieli nowej elity. Może nie ze szczytów rosyjskiej listy „Forbesa", ale na pewno nie wychowywała się w postsowieckich blokowiskach. Jej mamą jest znana w Rosji piosenkarka Alisa, a ojcem przedsiębiorca Jan Abramow, którego majątek liczony jest w setkach milionów dolarów. Abramow jest zaangażowany w biznes rolniczy i samochodowy, a media już ujawniły korespondencję rozsyłaną przez menedżerów firm, które kontroluje (m.in. grupy spółek z branży motoryzacyjnej Awilon – 12 tys. zatrudnionych, funduszu Agro Invest – 1,5 tys. pracowników, czy producenta pieczarek Agrogrib – 1 tys. pracujących), aby ci wspierali córkę szefa w głosowaniu. Piosenkarka Alisa jest zaś córką Ralifa Safina, jednego z byłych top menedżerów koncernu naftowego Lukoil, którego majątek rosyjski „Forbes" wycenia na 500 mln dolarów. Safin na początku ery putinowskiej wybrany został do Rady Federacji, rosyjskiego odpowiednika Senatu, gdzie zasiada do dzisiaj.

Rosyjskie media w kolejnych dniach ujawniały, jak wyglądało organizowanie poparcia dla 10-latki. I tak w Kursku, w przedsiębiorstwie Awiaawtomatika, produkującym dla wojska, poproszono ok. 500 przedstawicieli załogi, aby stawili się w pracy w piątek o godz. 21.00. Wówczas każdy z nich dostał 3 tys. rubli i polecenie, aby na początku oraz w trakcie programu wysłać po 20 esemesów z poparciem dla Abramowej. Po wypełnieniu tego zadania każdy z nich otrzymywał dodatkowy, niewielki, bo tysiącrublowy bonus. Tylko pracownicy tego jednego przedsiębiorstwa mogli wysłać, jak się oblicza, nawet 10 proc. wszystkich głosów, jakie oddano w trakcie konkursu.

I to właśnie, jak chcą jedni, dzięki pieniądzom rodziny młoda piosenkarka mogła zdominować głosowanie za pośrednictwem telefonów i esemesów. Jak podano w oficjalnym komunikacie, zdobyła ona bowiem 92 proc. pierwszych i 59 proc. drugich. Wersja prezentowana przez innych jest nieco tylko dla zwyciężczyni łagodniejsza. Otóż zwolennicy tej tezy są zdania, że zwyciężyły znajomości matki w rosyjskim show-biznesie oraz wsparcie jej przyjaciół, takich jak np. znany rosyjski showman Kirkorow. Ich portale społecznościowe są śledzone przez dziesiątki tysięcy osób. Krytycy zarzucają też zwyciężczyni, a raczej jej rodzinie, że w trakcie rywalizacji uciekła się do nieczystych zagrywek, np. wykonania

Fot. YouTube

REKLAMA

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE

eprasa.pl 24062b618d

w finale piosenki zmarłej w marcu piosenkarki Julii Naczałowej, co służyć miało uzyskaniu dodatkowych punktów od fanów przeżywających nadal jej śmierć.

Wira Koczarjan, producentka i pedagog, która przygotowywała jednego z uczestników finału, pochodzącego z Armenii 10-latka Michaiła Grigoriana, zwraca uwagę na jeszcze dwa przynajmniej czynniki, które mogły zdecydować o wynikach konkursu. Otóż mogli w nim głosować tylko ludzie mieszkający w Federacji Rosyjskiej, a uczestniczyły osoby z całego obszaru byłego ZSRR. Jej podopieczny mieszka w Armenii, był też uczestnik finału z Kazachstanu, ale ich rodacy nie mogli wyrazić swego poparcia – taki był regulamin. W jej przypadku cały, niewielki zresztą, budżet na przygotowanie młodego piosenkarza wydany został na jego przeloty. „Policzcie – powiedziała dziennikarzom – jeden bilet lotniczy kosztuje 250–300 dolarów, a rodzice Michaiła to robotnicy, którzy nie dysponują takimi pieniędzmi. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby na czas programu mogli zamieszkać w Moskwie, gdybyśmy nagrali klip promujący młodego artystę, ale to już zdecydowanie przekraczało możliwości finansowe rodziców. I jeszcze jedno. Dzieci uczestniczące w finale, zarówno tym szerokim kilkuosobowym, jak i ścisłym, w którym brała udział trójka wykonawców, zaśpiewały gorzej niźli wcześniej. Ale przez te kilkanaście tygodni pracy w programie wszyscy bardzo się zżyli, wiedzieli o sobie wszystko, i może przez skórę czuli, że jeszcze przed końcową rozgrywką wszystko jest poukładane" – zastanawia się producentka.

KONIEC MARZEŃ

Skandal z finałem rosyjskiej edycji „The Voice Kids" wydarzył się w momencie najgorszym z możliwych, z punktu widzenia władz Rosji. Po sukcesie na Ukrainie Wołodymyra Zełenskiego w rosyjskich sieciach społecznościowych, w zapisach znanych intelektualistów, ale i zwykłych ludzi dało się odczuć nutę zazdrości, że Ukraińcy mogą świętować pokojową zmianę władzy, a w Rosji ciągle jest tak samo. Iwan Kurilla, wybitny rosyjski amerykanista związany z opozycją, napisał, że „chciałby choć raz w życiu" zobaczyć taką zmianę władzy w Rosji.

> To, co wydarzyło się w rosyjskiej edycji „The Voice Kids", ośmieszyło silne w Rosji przekonanie, że jeśli tylko człowiek jest uczciwy, utalentowany i pracowity, to daleko w życiu zajdzie. Pokazało, że liczą się tylko koneksje i pieniądze. Wielu widzom odebrano ostatnią nadzieję

Późniejsza wymiana uwag między prezydentem Putinem a Wołodymyrem Zełenskim na temat ewentualnych konsekwencji przyznawania paszportów obywatelom sąsiednich krajów też nie zakończyła się dla Kremla triumfem. Zełenski dość łatwo skwitował wymianę zdań uwagą, że Rosjanie mogą chcieć gremialnie stać się obywatelami Ukrainy, w której w przeciwieństwie do Rosji jest wolność, demokracja i szacunek dla odmiennych poglądów.

Na to nakładają się rekordowo niskie notowania obozu władzy, a wybory za pasem. Dlatego jego kandydaci, jak zdecydowano niedawno, będą brać udział w wyborach jako „niezależni", a nie wysunięci przez Jedną Rosję – partię władzy.

Jak to wszystko ma się do tego, co wydarzyło się w rosyjskiej edycji „The Voice Kids"? Dziennikarze pytali o to m.in. Denisa Dragunskiego, znanego w Rosji pisarza i blogera. Jego zdaniem zdumiewa przede wszystkim skala reakcji i temperatura emocji ludzi, którzy, głównie w sieciach społecznościowych, postanowili się wypowiedzieć w tej sprawie. Przecież, jak zauważa, wszyscy powinni już się przyzwyczaić do tego, że w Rosji wybory nie są uczciwe, każde głosowanie jest zmanipulowane, a czasem wręcz sfałszowane. Ale w tym przypadku, podkreśla, zbiegły się trzy czynniki. Po pierwsze, w sposób naoczny w brudne gry rodziców wciągnięte zostały dzieci, które w Rosji nadal traktowane są „jak świętość". Po drugie, na oczach milionów widzów nie tylko zakwestionowano, lecz również ośmieszono nadal silne przekonanie, że jeśli tylko człowiek jest uczciwy, utalentowany i pracowity, to daleko w życiu zajdzie. Oczywiście, zauważa Dragunski, ludzie w ubiegłych latach wielokrotnie widzieli, jak dzieci możnych rosyjskiej polityki namaszczane były na eksponowane stanowiska, ale zawsze w takich sytuacjach pozostawał cień nadziei, że synowie Rogozina czy Patruszewa awansowali dzięki swoim przymiotom, a nie protekcji ojców. A teraz gołym okiem widać, że nie liczą się talenty tylko koneksje i pieniądze. A to, zdaniem rosyjskiego pisarza, odbiera ludziom ostatnią nadzieję, marzenie, że mogą coś w swoim życiu zmienić. To może być główny powód, dlaczego tak zareagowali.

„A czy myślisz – zwraca się w konkluzji swej wypowiedzi do przeprowadzającego z nim wywiad dziennikarza – że ludzie, którzy w 1917 r. w Petersburgu wyszli na ulicę pod hasłem obalenia caratu, bo robotnicy nie mieli chleba i głodowali, sami byli głodni i cierpieli niedostatek? Nie, 90 proc. z nich wyszło na ulicę, bo straciło ostatnią nadzieję; to, że nie ma chleba dla robotników, było w ich przypadku tą ostatnią kroplą, tym ostatnim utraconym marzeniem. A kiedy ludziom odbiera się ostatnie marzenie, to zaczynają się dziać straszne rzeczy".

Marek Budzisz
analityk zajmujący się Rosją i postsowieckim Wschodem

eprasa.pl 24062b618d

Zbawienie przychodzi ze Szwecji

Nowa lewica ma dziś nową ikonę. Współczesną Pippi Langstrumpf rodem ze Szwecji. 16-letnią dziewczynkę z warkoczykami, która pojawiła się znikąd i nie przestaje zawstydzać dorosłych. Wciela w sobie nowy mit polityczny, świecką religię oraz wielkie interesy finansowe

GRZEGORZ GÓRNY

Greta Thunberg – w odróżnieniu od postaci wymyślonej przez Astrid Lindgren – wykreowana została przez współczesnych producentów mitów politycznych. Już kilkadziesiąt lat temu niemiecki filozof Ernst Cassirer (notabene po wyemigrowaniu z Trzeciej Rzeszy obywatel Szwecji) pisał, że najpotężniejszą bronią są mity polityczne, fabrykowane w sposób równie przemyślany jak czołgi, bombowce czy karabiny.

NOBEL ZA WAGAROWANIE

Od kilku miesięcy Greta Thunberg kontynuuje swój triumfalny pochód przez świat. Na punkcie nastolatki, która postanowiła wagarować w piątki, by ocalić świat, oszalały media na wszystkich kontynentach. Młoda Szwedka, przedstawiana jako wzór nieposłuszeństwa obywatelskiego, podróżuje od kraju do kraju, strofując miejscowych przywódców i wywołując entuzjazm lokalnych autorytetów. Wszędzie przyjmowana jest z honorami przysługującymi niemal głowie państwa. Otoczona nieustannie wianuszkiem działaczy pozarządowych i operatorów telewizyjnych, gdziekolwiek się pojawia, wzbudza powszechne zainteresowanie.

Jean-Claude Juncker kłaniał się jej w pas i szarmancko całował w dłoń. Przemawiała w Parlamencie Europejskim w Strasburgu, w trakcie międzynarodowej konferencji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 24062b618d

klimatycznej w Katowicach czy podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. W ponad stu krajach uczniowie i studenci przyłączyli się do jej wezwania i rozpoczęli piątkowe strajki szkolne, by ratować klimat Ziemi przed globalnym ociepleniem. W uznaniu zasług norwescy parlamentarzyści wysunęli jej kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla.

Jest pytana niemal o wszystko, niczym starcy w kulturach pierwotnych. Po pożarze katedry Notre Dame w Paryżu stwierdziła, że świątynia i tak „zostanie odbudowana, ale nasz dom się rozpada, a czas ucieka i nic się nie dzieje", dając tym samym do zrozumienia, że są na świecie sprawy ważne i ważniejsze. Dopytywana, czy planuje spotkanie z Donaldem Trumpem, odpowiedziała, że nie ma czasu. W Wielką Środę znalazła natomiast czas na „handshake" z Franciszkiem w Watykanie. Media uznały, że to spotkanie na szczycie dwóch osób najbardziej zaangażowanych w walkę z globalnym ociepleniem na naszej planecie.

Dlaczego potężni politycy, trzęsący swoimi państwami, nagle jak uczniacy stają na baczność przed nastoletnią dziewczynką, która łaja ich publicznie, powtarzając w kółko te same oklepane hasła, a oni wydają się tym zachwyceni? Wygląda to tak, jakby dzieci z Bullerbyn rozstawiały po kątach bohaterów z filmów Quentina Tarantino.

DECYDUJĄCE STARCIE

Wielkie tournée Grety Thunberg po naszym kontynencie nie jest jednak przypadkowe. Zbliżają się wybory do europarlamentu, podczas których spodziewana jest wielka ofensywa partii tożsamościowych, suwerenistycznych i eurosceptycznych. Staje się coraz bardziej widoczne, że w obliczu realnych problemów (brexit, imigranci, strefa euro) unijne elity nie mają pomysłu na przezwyciężenie kryzysu. Na gwałt potrzebują programu i wizji, które wytyczą nowe cele i zmobilizują elektorat.

W tej sytuacji Greta staje się idealną personifikacją mitu politycznego, który narzuca nową narrację. Walka o klimat to walka o przyszłość naszej planety, to walka na śmierć i życie, walka między absolutnym dobrem a absolutnym złem, między istnieniem a nieistnieniem. Kto w tym starciu opowie się za unicestwieniem życia na Ziemi? Kto zaatakuje bezbronną, niezepsutą przez świat, pełną szlachetnych ideałów dziewczynkę? Kto z dorosłych może powiedzieć, że nie popełnił grzechu – że zrobił wszystko, by ratować klimat? Kto nie ma w tej sprawie sobie nic do zarzucenia?

Krajem, który najbardziej spędza dziś sen z oczu eurobiurokratom są Włochy, gdzie sondaże wskazują na zwycięstwo Ligi Matteo Salviniego. Nieprzypadkowo więc Greta przebywała na Półwyspie Apenińskim od 15 do 19 kwietnia, mając każdy dzień szczelnie wypełniony spotkaniami. Na jej wezwanie studenci i uczniowie masowo wyszli w piątek na ulice. Chociaż w Italii bezrobocie wśród młodych sięga 30 proc., nie demonstrowali z powodu braku miejsc pracy czy socjalnego bezpieczeństwa, lecz przeciw bezczynności polityków w sprawach klimatycznych. Wpisywali się tym samym w narrację lewicy, dla której walka z globalnym ociepleniem sytuuje się na szczycie priorytetów.

NOWY ZIELONY ŁAD

Medialna operacja z Gretą w roli głównej stała się z pewnością jednym z elementów kampanii wyborczej do europarlamentu. W Polsce nie odczuwamy tego tak bardzo, ponieważ sprawy ekologii nie stanowią dla nas tak ważnej kwestii jak w krajach zachodnich. Nawet przedwyborcza mobilizacja nie tłumaczy jednak międzynarodowego fenomenu szwedzkiej nastolatki. Jej oddziaływanie wydaje się częścią szerszego zjawiska, które nazwać można nową świecką religią.

Miejsce cofającego się dziś chrześcijaństwa zastępują w krajach zachodnich nowoczesne gnozy polityczne. Często są oparte na marksistowskiej strukturze wierzenia. Oznacza to, że winne całego zła na ziemi są różne struktury społeczne (własność prywatna, patriarchalna rodzina, religia chrześcijańska itd.), które należy zniszczyć, by doprowadzić do emancypacji ludzkości i osiągnąć stan szczęśliwości. W tym procesie awangardą zmian jest predestynowana do tego grupa społeczna. W ekoreligii rolę proletariatu jako tarana transformacji odgrywa młodzież oskarżająca pokolenie rodziców o zniszczenie planety.

Greta Thunberg nie jest sama. W Stanach Zjednoczonych jej odpowiednikiem jest 16-latka Jamie Margolin, organizatorka wielkiego marszu amerykańskiej młodzieży w obronie klimatu, który odbył się 21 lipca 2018 r. w Waszyngtonie. Nagłaśniana jest też działalność młodzieżowego ruchu Zero Hour, który stawia sobie za cel zaprowadzenie na świecie „sprawiedliwości klimatycznej i ekologicznej". Innymi słowy: budowę Nowego Zielonego Ładu.

GORĄCZKA MESJANISTYCZNA

Nowa wiara dociera nawet do Kościoła. Metropolita Berlina abp Heiner Koch oświadczył, że społeczeństwo potrzebuje dziś prawdziwych proroków, takich jak Greta, piątkowe demonstracje organizowane przez nią przypominają mu zaś „biblijną scenę wejścia Jezusa do Jerozolimy" w Niedzielę Palmową. Jego wypowiedź spotkała się z wieloma krytycznymi komentarzami. Nawet felietonista dalekiego od Kościoła „Berliner Zeitung" pytał, czy skoro szwedzka aktywistka urodziła 3 stycznia 2003 r., to dziś żyjemy już w 16. roku po narodzinach Grety? Hierarcha musiał potem gęsto się tłumaczyć, że nie uznaje wcale dziewczynki za mesjasza, a jedynie jej przesłanie uważa za prorocze dla naszych czasów.

Było jednak coś wielce symbolicznego w tym, gdy nastolatka ze Skandynawii stanęła na czele pochodu młodzieży w Wiecznym Mieście, stolicy Kościoła katolickiego, dokładnie w Wielki Piątek, gdy chrześcijanie celebrują początek misterium zbawienia. Jawiła się niczym wcielenie nowej idei mesjańskiej wiodącej w przyszłość rzesze wyznawców, którzy zapomnieli już o religii swych przodków.

Kiedy dwa dni wcześniej spotkała się na placu św. Piotra z Franciszkiem, nie usłyszała z jego ust orędzia o Wielkim Piątku. Sama natomiast nie omieszkała przypomnieć mu wagi najbliższego piątku („Join the climate strike"), czyli dnia kolejnego strajku szkolnego i wiel-

eprasa.pl 24062b618d

kiej manifestacji młodzieży w Rzymie. Taki też był przekaz mediów, jaki poszedł w świat po tym wydarzeniu: „natural environment first".

To wrażenie pogłębił wpis, jaki zamieścił w wielkanocny poniedziałek na Tweeterze jeden z najbardziej zaufanych ludzi Franciszka – jezuita ks. Antonio Spadaro, redaktor naczelny „Civiltà Cattolica". Napisał: „Świat ratują dzieci", pod spodem zaś wkleił zdjęcie Grety.

Tweet wywołał lawinę komentarzy, z których warto zacytować kilka, by oddać klimat kontrowersji: „A my, głupcy, wciąż myślimy, że zbawieniem jest nasz Pan Jezus Chrystus". „Zamiast świątecznej mszy mała dziewczynka ogłaszająca apokalipsę". „Świat uratowany przez młodą dziewczynę z pustym spojrzeniem, która przemawia do ludzi z równie pustymi spojrzeniami, by wyjaśnić im, że na świecie istnieje zanieczyszczenie. Wielki papież Jan Paweł II dałby jej klapsa i wysłałby ją z powrotem do szkoły, zamiast strajkować". „Kościół, który wspiera wykorzystywanie dziecka do celów czysto politycznych i gospodarczych, jest skandalem w oczach świata, zwłaszcza gdy są chrześcijanie, którzy umierają jako męczennicy za swoją wiarę i Prawdę".

DZIECI JAK MIĘSO ARMATNIE

Ostatni z wpisów wskazuje na motyw wykorzystywania dzieci przez dorosłych do własnych rozgrywek. Oficjalnym celem ma być ratowanie życia na naszej planecie. Jednak stawką w tej grze są władza i pieniądze. Coraz więcej kompetencji otrzymują bowiem różne biurokratyczne instytucje międzynarodowe, oenzetowskie i unijne, które nakładają, monitorują i kontrolują erupcję gazów cieplarnianych. Zadowoleni są także ci, którym handel „limitami emisji" pozwala na zarobienie grubych miliardów dolarów. Najbogatsze państwa świata również mają w tym swój interes, gdyż osiągają spowolnienie wzrostu starających się ich doścignąć konkurencyjnych krajów, których gospodarka jest oparta na spalaniu węgla kamiennego lub brunatnego (a więc na emisji dwutlenku węgla). Poza tym najbogatsi zmuszają biedniejszych do przechodzenia na wytwarzane przez siebie nowe „ekologiczne" technologie, które nie mają uzasadnienia ekonomicznego, ale przynoszą ich producentom krociowe zyski. Realizacja postulatów wysuwanych przez ruchy młodzieżowe oznaczałaby de facto likwidację branży energetycznej w dotychczasowym kształcie oraz zastąpienie jej nowymi rozwiązaniami. W blokach startowych czekają już koncerny gotowe wykorzystać ten najbardziej dochodowy sektor gospodarki.

> Dlaczego potężni politycy trzęsący swoimi państwami nagle jak uczniacy stają na baczność przed nastoletnią dziewczynką, która łaja ich publicznie? Wygląda to tak, jakby dzieci z Bullerbyn rozstawiały po kątach bohaterów z filmów Tarantino

Za medialnym sukcesem Grety Thunberg nie stoją bynajmniej nastoletni amatorzy, lecz doświadczeni fachowcy, którzy z niejednego pieca jedli chleb. To m.in. specjalista od wywierania wpływu społecznego i zarządzania emocjami Ingmar Rentzhog oraz radykalny działacz ekologiczny Bo Thorén. Wykorzystują przy tym to, że Greta cierpi na zespół Aspergera, ukierunkowując behawioralne cechy jej zaburzenia w pożądanym przez siebie celu.

Wykorzystanie młodzieży do „walki o klimat" nie jest niczym nowym. Podobna strategia wypracowana została 14–15 czerwca 2012 r. podczas warsztatów finansowanych przez Fundację Rockefellera w Instytucie Oceanografii w La Jolla w stanie Kalifornia. Wzięło w nich udział około 20 naukowców, prawników, socjologów, działaczy na rzecz zmian klimatycznych oraz ekspertów do spraw kształtowania opinii publicznej. Z inicjatywy prof. Mary Christiny Wood, wykładowczyni prawa na uniwersytecie stanowym w Oregonie, stworzono wówczas plan polegający na wytaczaniu procesów branży energetycznej przez młodzież. Podczas operacji ma zostać wykorzystane doświadczenie, które wcześniej przyniosło już sukces w kampaniach sądowych przeciw przemysłowi tytoniowemu. Chodzi o oskarżanie władz federalnych i stanowych oraz koncernów bazujących na paliwach kopalnych o szkody spowodowane przez emisję dwutlenku węgla.

W 2015 r. w stanie Oregon wytoczony został pierwszy tego typu proces, który już przeszedł do historii pod nazwą Juliana vs Stany Zjednoczone. Stroną skarżącą jest starannie wyselekcjonowana grupa dzieci i młodzieży w wieku od 8 do 19 lat, wspierana przez ekologiczną organizację Our Children's Trust. Grono nieletnich łączy jedno – wszyscy są ofiarami klęsk żywiołowych: huraganów, powodzi lub pożarów. Ich adwokaci chcą przekonać sąd, że te kataklizmy zostały wywołane przez zmiany klimatyczne, spowodowane przez branżę energetyczną, rząd USA zaś nie zrobił nic, by temu zapobiec.

Rozprawa trwa już czwarty rok, a reprezentanci obu stron wciąż przerzucają się argumentami, by udowodnić swe racje. Wiele mediów relacjonujących proces przedstawia dzieci jako ofiary nie tyle żywiołów natury, ile bezdusznych kapitalistów. Główny oskarżyciel branży energetycznej – klimatolog James Hansen – jest natomiast ukazywany jako niekwestionowany autorytet naukowy, wygłaszający rzekome oczywistości o antropicznej genezie globalnego ocieplenia.

Nie wiemy, jakim wynikiem zakończy się proces w Oregonie. Wiemy natomiast, że strategia wykorzystywania dzieci jest z powodzeniem wcielana w życie. Casus Grety Thunberg jest tego najlepszym przykładem.

eprasa.pl 24062b618d

Fot. East News/Gigarama.ru via AP

Stary czy nowy świat

Uszkodzona przez pożar katedra Notre Dame w Paryżu ma powstać jak feniks z popiołów i uczynić z prezydenta Macrona odnowiciela Francji. To, w jakiej postaci zostanie odbudowana, jest jednak przedmiotem ostrych sporów

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Troska o uniwersalność przekazu i obsesja na punkcie pokoju społecznego doprowadziły do usunięcia z przestrzeni publicznej jak najwięcej z tego, co stanowi tożsamość francuską oraz zachodnią. Jak pokazała trauma, którą wywołał pożar Notre Dame, Francuzi pozostają jednak przywiązani do własnej rzeczywistości" – tak reakcję Francuzów na kwietniowy pożar średniowiecznej katedry, symbolu Paryża i francuskiego katolicyzmu, podsumował socjolog oraz dyrektor w Krajowym Centrum Badań Naukowych (CNRS) Philippe d'Iribarne na łamach dziennika „Le Figaro".

Francuzi może i są przywiązani do swojej – wciąż chrześcijańskiej – rzeczywistości, a ponad połowa z nich (56 proc.), jak wynika z sondażu instytutu YouGov, chce, by katedra została odbudowana „dokładnie taka, jaka była", francuski rząd jest w tej kwestii zdecydowanie mniej stanowczy. W końcu spektakularna odbudowa tak ikonicznej oraz bliskiej sercom obywateli budowli poprawiłaby notowania niepopularnego i zmagającego się ze społecznymi protestami „żółtych kamizelek" Emmanuela Macrona. A jeśli to nie wystarczy na prezydencką reelekcję, to pozwoli mu choćby zapisać się pozytywnie w historii. Jako budowniczy katedr, odnowiciel kraju, a nie jako nielubiany prezydent bogatych, niszczący klasę średnią. „Odbudujemy Notre Dame, bo tego oczekują Francuzi, bo na to zasługuje nasza historia i dlatego, że jest to naszym przeznaczeniem" – zadeklarował nieco patetycznie Macron.

MEGALOMANIA MACRONA?

Tak więc zaledwie dwa dni po tym, jak ostatnie zgliszcza Notre Dame przestały się tlić, premier Édouard Philippe ogłosił konkurs na odbudowę iglicy. Jednocześnie ogłoszono „narodową" zbiórkę pieniędzy. To wprawdzie państwo jest właścicielem 95 proc. kościołów we Francji, w tym Notre Dame, ale środków w kasie państwa na ich utrzymanie na ogół brak. Tuż przed pożarem ruszyły prace renowacyjne iglicy, które miały trwać co najmniej dekadę i kosztować według „Le Monde" ponad 100 mln euro, z czego marne 2 mln euro rocznie miało pochodzić od państwa. Poważnych napraw wymagały też dach, przypory, witraże, gargulce i rzeźby. Francuski Kościół już w 2017 r. zaczął prosić o pieniądze na ratowanie sypiącej się budowli. Arcybiskup Paryża utworzył nawet fundację Przy-

eprasa.pl 24062b618d

jaciele Notre Dame, która miała się zająć zbiórką pieniędzy, przede wszystkim w USA, gdzie katedra jest symbolem popkultury. Bo chętnych nad Sekwaną, by łożyć na jej remont, zabrakło. Jak podkreślił prezes Przyjaciół Notre Dame Michel Picaud, wielokrotnie zwracał się do czołowych francuskich bogaczy o darowizny na katedrę. „Za każdym razem słyszałem: nie możemy dawać na kościół. Francja to kraj laicki. Będziemy mieli z tego powodu problemy" – podkreślił.

To się zmieniło wraz z pożarem. W krótkim czasie zebrała się pokaźna suma – ponad 1 mld euro. To głównie dzięki kilku francuskim miliarderom, jak François-Henri Pinault, właściciel takich marek jak Gucci czy Balenciaga, jego biznesowy rywal Bernard Ayrault, prezes grupy LVMH (Louis Vuitton, Moët & Chandon, Dior), oraz właściciele koncernu L'Oréal, rodzina Bettencourt. Wywołało to oburzenie wśród „żółtych kamizelek" oraz w kręgach skrajnej lewicy, które zarzuciły prezydentowi, że zlikwidował podatek solidarnościowy od fortuny, dzięki czemu francuskich miliarderów stać na zabawę w budowniczych katedr, a „dla biedaków pieniędzy znów brak".

Spór trwa też o ramy czasowe i formę odbudowy Notre Dame. Prezydent chce, by stało się to w ciągu pięciu lat, w sam raz na letnie igrzyska olimpijskie w Paryżu w 2024 r. Katedra ma się stać według niego „jeszcze piękniejsza", niż była. Zdaniem ekspertów to jednak zbyt mało czasu na tak dużą operację. Według nich na odbudowę potrzeba minimum 15 lat, a powinna się ona odbyć z poszanowaniem przepisów o ochronie zabytków. W otwartym liście 1170 architektów i konserwatorów zabytków zarzuciło Macronowi „megalomanię". „On chce zrobić z Notre Dame symbol polityczny swojej prezydentury. Dowód na to, że odnowił Francję. To niebezpieczne" – piszą. Według nich „odbudowa katedry daleko wykracza poza prezydenturę Macrona".

REKONSTRUKCJA LUB INNOWACJA

Z jednej strony mamy więc wygórowane ambicje prezydenta, chęć zrobienia z katedry symbolu uniwersalnego, łączącego coraz bardziej podzielone francuskie społeczeństwo, a z drugiej charakter sakralny Notre Dame, który może zostać w tym procesie utracony. Syn znanego filozofa Andre Glucksmanna, przywódca ruchu Place Publique, Raphaël Glucksmann zaapelował o rekonstrukcję Notre Dame „bez niszczenia jej ducha". „Nie powinniśmy hołdować kultowi modernizmu w przypadku budowli, która ma przekazywać coś z naszej przeszłości. Musimy zadać sobie pytanie, jak właściwie traktujemy nasze dziedzictwo" – podkreślił Glucksmann w rozmowie z radiem Europe 1. Minister kultury Franck Riester już ogłosił narodową debatę oraz konsultację w sprawie odbudowy katedry, na wzór tej, którą Macron przeprowadził w sprawie swoich reform. „Każdy będzie miał szansę się wypowiedzieć i dopiero potem podejmiemy decyzję" – zaznaczył minister. A raczej Macron podejmie decyzję, bo nie ulega kwestii, że odbudową Notre Dame chce sobie sam postawić pomnik. Pytanie tylko, który świat zwycięży: stary czy nowy? W ciągu minionych trzech tygodni internet wprost zalały propozycje odbudowy dachu i iglicy katedry. Są wśród nich propozycje zarówno estetyczne, jak i absurdalne, w tym wyposażenie dachu Notre Dame w panele słoneczne czy wyciąg krzesełkowy. Studio architektoniczne B Nuts Visual proponuje odbudować iglicę najbliższą oryginalnej i pomalować ją na biało, a włoscy projektanci Massimiliano i Doriana Fuksas sugerują, by dach oraz iglicę odbudować z kryształu, który jest symbolem „kruchości, ale też duchowości". Studio Vizumatelier zaproponowało stworzenie nowej, smukłej iglicy z materiału przypominającego mleczne szkło, ze szczytu której ku niebu unosiłby się snop światła. Zespół architektów z Cypru Kiss The Architect marzy o klatce schodowej wijącej się wokół iglicy z platformą otoczoną łukami i futurystycznymi złotymi kulami na samym szczycie. Pojawiły się też pomysły pokrycia iglicy szkłem, stalą lub witrażami. Ale na tym koniec w miarę sensownych propozycji.

Architekt Nicolas Abdelkader chce stworzyć na dachu katedry ogród, gdzie bezrobotni mogliby „uprawiać rośliny" i w ten sposób „znaleźć drogę powrotu na rynek pracy". Iglica zaś miałaby się stać pasieką wyposażoną w ule. Francuscy architekci Godart+ Roussel z Dijon chcą stworzyć szklany dach połączony z platformą widokową, bo katedra to „przede wszystkim atrakcja turystyczna". Jak wieża Eiffla czy Łuk Triumfalny. Brytyjski architekt Norman Foster, który zbudował kilka wieżowców w Londynie wyglądających zdaniem Londyńczyków „jak cebule wiosenne sterczące do góry nogami z ziemi", uważa, że Notre Dame powinna się zamienić w „dzieło sztuki o świetle".

ODBUDOWAĆ MOŻE TYLKO FRANCUZ?

Jak podkreśla brytyjski pisarz Theodore Dalrymple, „Wszystkie wielkie ego światowej architektury rzuciły się na paryską katedrę". Zupełnie zapominając o jej sakralnym charakterze. „Nie powinno się dopuścić do odbudowy Notre Dame brytyjskich modernistycznych architektów. Nie, żeby francuscy byli o wiele lepsi. Nie są. Iglica kościoła to świadectwo wielkości Boga, a nie jakiegoś architekta" – grzmi pisarz. Propozycje jednak nadal napływają i jest w nich mowa o zrównoważonych materiałach budowlanych oraz hodowli warzyw, co proponuje m.in. architekt Vincent Cabellaut, który chce stworzyć pod dachem katedry szklarnie, a na nim umieścić panele słoneczne. Holenderska firma Conc3rde chce wydrukować brakujące elementy katedry na drukarce 3D, używając do tego „popiołu pozostałego po pożarze". W tej wielości różnych projektów jedno jest wspólne – na żadnym z nich na szczycie iglicy nie ma krzyża.

Kontrowersje wywołują jednak nie tylko same projekty, ale także to, że napłynęły one w ramach międzynarodowego konkursu. Francuski architekt Philippe Prost uważa, że katedrę może odbudować tylko Francuz, bo stanowi ona część „narodowego dziedzictwa". „Czy Francuzowi by pozwolono, aby odbudował japońską świątynię lub włoski kościół? Ta katedra należy do francuskiego państwa. Mamy swoich architektów. To część naszego dziedzictwa religijnego i do nas należy obowiązek, by je odtworzyć. Tak blisko oryginału, jak się tylko da. Nie delegujmy tej odpowiedzialności na innych" – przekonuje Prost w rozmowie z tygodnikiem „Le Point".

eprasa.pl 24062b618d

Budżet państwa ma być dla ludzi, a nie – jak to bywało przez wiele ostatnich lat – ludzie dla budżetu

Budżet ma być dla ludzi

JANUSZ SZEWCZAK

Eksperci ekonomiczni opozycji, niektórzy analitycy bankowi, a nawet politycy i przedstawiciele fiskusa najwyraźniej zapominają, że budżet państwa pełni wiele funkcji, nie tylko tę dochodową. Budżet to nie tylko „winien" i „ma", przychody i rozchody, dochody, wydatki i rezerwy, czyli funkcja fiskalna gromadzenia dochodów i dokonywania wydatków. Warto też pamiętać, że tylko strona wydatkowa budżetu jest prawnie wiążąca i ma swoje konsekwencje polityczne. Sama więc walka z tzw. klinem podatkowym, racjonalizacja wydatków, zmiana skal podatkowych czy matryc VAT-owskich nie wystarczą, choć są potrzebne.

Ważna jest również idea i sposób podziału nowo wypracowanego dochodu narodowego (PKB), dochodów podatkowych i budżetowych na szczeblu centralnym, czyli funkcja redystrybucyjna budżetu państwa. O tym całkowicie zapomniano w czasach rządu PO-PSL, choć stosowano wówczas metodę Janosika, tyle że na odwrót: zabierano biednym i rozdawano bogatym, obcym czy mafiom VAT-owskim, choćby poprzez możliwość wyłudzania setek miliardów złotych w ramach zwrotów podatków VAT i CIT oraz akcyzy. Na szczęście rząd PiS ma inne podejście do funkcji redystrybucyjnej budżetu, stara się oddać tym, którym wcześniej zabierano.

Łącznie straty dochodów budżetowych państwa w latach 2007–2015 za rządów PO-PSL można oszacować na ponad 400 mld zł, czyli tyle, ile Polska otrzymała, i to netto, w ramach dotacji i subwencji z Unii Europejskiej przez 15 lat (440 mld zł). Jednocześnie warto przypomnieć, że od 2004 r. legalnie wytransferowano z Polski w postaci zysków, dywidend, optymalizacji podatkowej, konsultingu czy renty monopolowej już ok. 800 mld zł, a więc dwukrotnie więcej, niż weszło do polskiego systemu gospodarczego i finansowego środków z zagranicy, w tym z UE.

Według teorii fiskalnych, reguł prawa finansowego i zasad finansów publicznych chodzić powinno nie tylko o to, jak wytwarzać PKB, gromadzić dochody budżetowe, lecz także, jak sprawiedliwie dzielić efekty wzrostu gospodarczego czy uszczelnienia systemu podatkowego. Czyli czy budżet ma być dla ludzi, dla polskich rodzin, czy dla wskaźników, reguł wydatkowych, planów konwergencji i dobrej opinii brukselskich biurokratów? O żadnym rozdawnictwie nie może więc być mowy, bo są to pieniądze polskich podatników, przedsiębiorców, rolników czy pracowników budżetówki. Efekty finansowe powinny bowiem wracać do Polaków i gdyby poprzednicy dbali o polski interes narodowy, gospodarczy, o budżet państwa i na wyścigi nie wyprzedawali podmiotom zagranicznym i „kolesiom" najbardziej dochodowych części majątku narodowego z bankami i np. handlem wielkopowierzchniowym na czele, to z obecnej piątki PiS w kwocie 40 mld zł znacznie więcej niż 10 mld zł pozostałoby w Polsce, choć i tak znacząca część w formie dochodów podatkowych z VAT, CIT czy akcyzy wróci do budżetu państwa.

Jest oczywiste, że pieniądze z 500+ czy 1,1 tys. zł brutto dla emerytów i rencistów nie zostaną ulokowane ani na giełdzie w Londynie, ani na koncie w szwajcarskim banku. Te pieniądze błyskawicznie zostaną wydane na leki, prezenty komunijne, wreszcie kupno nowej pralki czy telewizora – co oczywiście nakręci import do Polski sprzętu AGD, artykułów wyposażenia mieszkań czy nawet nieosiągalnych dotąd dla rodzin wielodzietnych używanych samochodów, jak też sprzedaż wczasów nie tylko nad polskim morzem. To oczywiście może wpływać na wielkość importu do Polski czy deficytu w handlu zagranicznym, ale też bilans płatniczy, choć w pierwszym kwartale 2019 r. polski eksport do krajów strefy euro rośnie o 4–5 proc., i to w sytuacji, gdy niemiecka gospodarka bardzo ostro hamuje, a nad Europą krąży widmo

Fot. Shutterstock | 5/0419/F

eprasa.pl 24062b618d

brexitu. Oczywiście trudno o dochody budżetowe, gdy wyprzedało się blisko 70 proc. majątku narodowego, gdy nie ma się własnych fabryk leków, cukrowni, cementowni, gdy twórcy PO tacy, jak np. były minister finansów Andrzej Olechowski, potrafili sprzedać włoskiemu koncernowi Fiat FSM w Bielsku-Białej z 20-letnim zwolnieniem od ceł i podatków.

Żeby nadal się rozwijać tak szybko jak teraz (4–5 proc. wzrostu PKB), będziemy musieli dokonywać importu technologii, dóbr inwestycyjnych, maszyn, urządzeń oraz surowców energetycznych, choć może w tej materii wreszcie nieco taniej i z innego kierunku. Czymś więc tę koniunkturę gospodarczą obok ruszających inwestycji trzeba będzie napędzać i stymulować, a to kolejna istotna funkcja budżetu państwa – funkcja bodźcowa. Wydawane pieniądze publiczne winny czemuś sensownemu służyć, coś wspierać i pobudzać finansowo np. politykę społeczną, prorodzinną, przedsiębiorstwa, ludzi młodych, emerytów, rolników. To nie tylko transfer pieniędzy, dziś już w kwotach 100–150 mld zł od bogatszych i zagranicznych do tych biedniejszych, lecz również stymulowanie procesów społecznych i gospodarczych. Wreszcie budżet państwa pełni też funkcję kontrolną, a więc czuwa nad prawidłowością przepływów finansowych, legalnością, rzetelnością czy racjonalnością wydawanych pieniędzy polskich podatników.

Dopiero wszystkie te funkcje razem budżetu centralnego pokazują całą prawdę o wizji rozwojowej polskiego państwa, o praktycznej realizacji konstytucyjnej zasady sprawiedliwości społecznej czy też realizacji zasady zrównoważonego rozwoju kraju. Oczywiście budżet nie jest jedynym źródłem finansowania rozwoju gospodarczego, ale nadal jest najważniejszym instrumentem realizacji konstytucyjnych obowiązków państwa, który jeszcze w znacznej mierze znajduje się w polskich rękach. Podobnie jak nasz bank centralny NBP, który Komisja Europejska – w ramach pomysłu szybkiego przyjęcia euro wraz z 100 mld dol. naszych rezerw walutowych i 130 tonami złota – chciałaby szybko oddać pod kuratelę banku EBC we Frankfurcie. I to właśnie w dobrej współpracy rządu i NBP może się kryć tajemnica prawdziwego, kolejnego sukcesu gospodarczego na najbliższe lata. Chodzi o wspólne poszukiwanie nowych pomysłów i rozwiązań w polityce finansowej i gospodarczej, mechanizmów finansowania polskiego rozwoju, w tym w sferze finansowania długu czy wykorzystania obligacji skarbu państwa. Tego typu możliwości wspólnego wspierania rozwoju i finansowania gospodarki od dawna są już stosowane przez znacznie bardziej zamożne i najbardziej liberalne gospodarczo kraje. Polski złoty będzie nam jeszcze służył bardzo długo, o czym przekonuje nas nie tylko prezes Jarosław Kaczyński, premier Mateusz Morawiecki, lecz i prezes NBP prof. Adam Glapiński. I tę szansę rozwojową i synergię działań na rzecz naszej przyszłości koniecznie trzeba wykorzystać.

Fot. Shutterstock

REKLAMA

Bilion euro dla Trójmorza

Powołana w 2015 r. inicjatywa Trójmorza, jednocząca kraje znad Bałtyku, Adriatyku i Morza Czarnego, ma zacieśnić więzy gospodarcze w obszarze infrastruktury, energetyki i cyfryzacji państw regionu. Aby to osiągnąć, potrzebne są duże nakłady wspierające projekty transgraniczne i makroregionalne. Będą pochodzić z Funduszu Trójmorza i wsparcia inwestorów prywatnych

Członkami Trójmorza są: Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Węgry. Współzałożycielami Funduszu Trójmorza – wehikułu inwestycyjnego do finansowania kluczowych projektów infrastrukturalnych w regionie – będą europejskie banki rozwoju. Wśród nich dużą rolę odgrywa nasz polski Bank Gospodarstwa Krajowego. Poza krajami Trójmorza do funduszu zostaną zaproszeni międzynarodowi inwestorzy instytucjonalni oraz międzynarodowe instytucje rozwoju.

Lista strategicznych projektów infrastrukturalnych została przyjęta podczas trzeciego szczytu Trójmorza w Bukareszcie we wrześniu 2018 r. i stanowi punkt wyjścia w definiowaniu strategicznej infrastruktury tego regionu.

PROGNOZA DLA TRÓJMORZA

Trójmorze to region na pograniczu – i geograficznym, i ekonomicznym – położony pomiędzy Wschodem a Zachodem, między rynkami wschodzącymi a krajami rozwiniętymi. To zróżnicowanie czyni go obszarem atrakcyjnym inwestycyjnie – są tu kraje, które łącznie notują wyższy wzrost gospodarczy niż rynki rozwinięte (co jest cechą rynków wschodzących), ale także te znacznie bardziej stabilne pod względem instytucjonalnym niż typowe rynki wschodzące. Dla inwestorów takie połączenie oznacza perspektywę uzyskania wysokich, a jednocześnie bezpiecznych zwrotów z inwestycji.

Ścieżka PKB regionu Trójmorza przypomina tę, którą podążają Japonia, Korea Południowa, Singapur, Tajwan czy Hongkong. Kraje te w ciągu kilku powojennych dekad weszły do grupy najbardziej rozwiniętych. Ostatnie dwie–trzy dekady rozwoju krajów Trójmorza, szczególnie tych bliżej Bałtyku, są podobne do osiągnięć azjatyckich tygrysów, co stanowi dobrą prognozę na przyszłość.

Z raportu przygotowanego przez ośrodek analityczny SpotData we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego wynika, że w dekadzie do 2030 r. inwestycje w infrastrukturę w krajach Trójmorza mogą wynieść 1,1 bln euro, z czego

Fot. Shutterstock | 73/0419/F

eprasa.pl 24062b618d

prawie połowa tej kwoty ma być przeznaczona na infrastrukturę sieciową, czyli głównie drogi, tory, lotniska, sieci elektryczne i gazowe.

Finansowanie inwestycji będzie wymagało nowego podejścia. W krajach Trójmorza będzie rosło zapotrzebowanie na projekty finansowe, które będą angażowały kapitał prywatny do inwestycji infrastrukturalnych, ponieważ udział finansowania z funduszy strukturalnych Unii Europejskiej zostanie po 2020 r. obniżony. Rozpocznie się poszukiwanie nowych, prywatnych źródeł finansowania inwestycji – co jest trendem zauważalnym w całej globalnej gospodarce. „Musimy tworzyć mechanizmy, które pozwolą nam przyciągnąć inwestorów prywatnych do ważnych dla regionu inwestycji. Jeżeli rozbudujemy infrastrukturę, ułatwimy komunikację i współpracę między krajami, to będą one w stanie zwiększać wymianę gospodarczą i tempo swojego rozwoju z korzyścią dla inwestorów" – mówi Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK.

INWESTYCJE TRANSPORTOWE

W ostatniej dekadzie niektóre kraje Trójmorza, takie jak Polska, Rumunia czy Bułgaria, dokonały znacznego postępu pod względem jakości infrastruktury transportowej, ale luka wciąż jest duża.

Ze strategicznego punktu widzenia jednym z najważniejszych celów inicjatywy Trójmorza jest wzmocnienie sieci transportowych na linii północ–południe. To konieczne do osiągnięcia pełnej integracji jednolitego rynku w Unii Europejskiej oraz zapewnienia Europie bezpieczeństwa energetycznego. Waga tej inwestycji była podkreślana przez ekspertów, jeszcze zanim powstała koncepcja sformalizowanej współpracy krajów Trójmorza.

W obszarze transportu trzeba również położyć nacisk na zwiększenie roli inwestycji kolejowych, zwracając uwagę na połączenia międzynarodowe. W porównaniu z Europą Zachodnią infrastruktura kolejowa w regionie jest bardzo wyraźnie niedoinwestowana.

Duży i niewykorzystany potencjał tkwi w transporcie śródlądowym, czyli drogach rzecznych. Dotyczy to szczególnie korytarza transportu multimodalnego między portami na Bałtyku a krajami Europy Środkowej i Południowej. Wykorzystanie dróg rzecznych w dużym stopniu udrożniłoby sieci transportowe poprzez zmniejszenie ruchu na drogach samochodowych, a także sprzyjałoby środowisku poprzez obniżenie emisji gazów cieplarnianych.

INWESTYCJE ENERGETYCZNE

Presja na wprowadzanie technologii niskoemisyjnych jest duża, a to wymaga nowych inwestycji – również w infrastrukturę sieciową, w tym przede wszystkim w linie przesyłowe. Infrastruktura energetyczna jest obszarem szczególnego zainteresowania krajów Unii Europejskiej nie tylko z powodu chęci spełnienia wyśrubowanych celów klimatycznych. Dziś już powszechnie wiadomo, że sprawna infrastruktura energetyczna jest jednym z filarów bezpieczeństwa nie tylko energetycznego, lecz i politycznego.

Jednolity rynek energii elektrycznej wymaga większej liczby połączeń. Kilka krajów Trójmorza ma wciąż niskie wskaźniki integracji energetycznej z rynkiem ogólnoeuropejskim, co wskazuje na duże zapotrzebowanie na inwestycje w łączniki energetyczne między krajami. To szczególnie ważne w państwach bałtyckich, Polsce, Rumunii i Bułgarii. Kraje te będą miały również duże zapotrzebowanie na rozbudowę i unowocześnienie sieci energetycznych wewnątrzkrajowych – bez nich nie mogą funkcjonować rynki regionalne.

Rynek gazowy powinien być płynny i oparty na mechanizmach rynkowych. Ponad 75 proc. gazu zużywanego w Europie pochodzi z importu, głównie z Rosji, Norwegii i Algierii. Potrzebna jest budowa jednolitego rynku gazowego, opartego na zakupach w tzw. hubach, gdzie ceny będą wyznaczane rynkowo. To zastąpi dominujące do niedawna długookresowe kontrakty z kluczowymi dostawcami, indeksowane do cen ropy. Aby to było możliwe, potrzebne jest utworzenie połączeń gazowych między krajami, pozwalających na szybki przesył surowca. Niektóre kraje, jak Polska, Czechy czy Austria, dokonały znacznego postępu w dywersyfikacji dostaw i zwiększeniu płynności rynku, ale nawet te kraje wciąż opierają się głównie na długoterminowych kontraktach indeksowanych, a wiele innych państw regionu znajduje się dopiero na początku drogi do integracji rynków gazowych z resztą Europy.

INWESTYCJE ICT

Cyfryzacja to przyszłość. Jedną z kluczowych ról w inwestycjach cyfrowych będzie odgrywała budowa sieci 5G, czyli nowej generacji sieci komórkowej. To oznacza, że w najbliższej dekadzie zapotrzebowanie na inwestycje w sieci telekomunikacyjne o znaczeniu europejskim sięgnie ok. 800 mld euro. Bardzo dużą rolę będą też odgrywały inwestycje w digitalizację podstawowych operacji w branżach infrastrukturalnych, czyli w transporcie i energetyce. Szczególnie w Europie Wschodniej, gdzie cyfryzacja przemysłu i usług jest na znacznie niższym poziomie niż w Europie Zachodniej.

Inwestycje cyfrowe charakteryzują się innymi właściwościami niż inwestycje w infrastrukturę transportową czy energetyczną. Wymagają one najbardziej innowacyjnego podejścia do finansowania. W przeciwieństwie do transportu czy energetyki nie mają przetartych szlaków i w znacznie większym stopniu opierają się na aktywności sektora prywatnego.

Usługi to obszar, w którym Trójmorze ma szczególne przewagi komparatywne – ze względu na atrakcyjne koszty pracy i wysokie kompetencje pracowników. To sprawiło, że kraje regionu od dawna były adwokatem liberalizacji rynków usług w Unii Europejskiej. Ucyfrowienie usług może być zatem jednym z najważniejszych celów polityki wspierania inwestycji cyfrowych. Przykładem, w jaki sposób należy połączyć przewagi komparatywne i wzmocnione aktywa cyfrowe, jest branża logistyczna. Jest to branża, która w ostatniej dekadzie rozwijała się w Trójmorzu w bardzo szybkim tempie. Stąd też na liście priorytetowych inwestycji infrastrukturalnych, przyjętej na szczycie w Bukareszcie, pierwsze miejsce zajmuje budowa platformy transakcyjnej dla branży transportowej i logistycznej.

eprasa.pl 24062b618d

Rhinolophus hipposideros

Fot. Shutterstock

Nietypowi mieszkańcy klasztornego strychu

Od średniowiecza klasztory lokowane na ziemiach polskich niosły światło wiary w miejscach, w których nigdy wcześniej dźwięk dzwonów nie wzywał jeszcze chrześcijan na modlitwę. Niekiedy budowano je w miastach, czasem znowu w puszczach i na bezludziach. Stawały się miejscami wyjątkowymi i są takimi do dziś – także dla przyrody, a szczególnie dla przedstawicieli rzędu rękoskrzydłych, czyli inaczej dla nietoperzy Chiroptera

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jednym z takich klasztorów, które pojawiły się osiem wieków temu w pustce górskich rejonów południowej Polski, jest stojące zresztą po dziś dzień prastare opactwo cystersów w Szczyrzycu.

Od IV w. p.n.e. na terenach nazwanych później szczyrzyckimi, mieszkali Celtowie, których ślady ziemia wydaje jeszcze czasem na swoją powierzchnię. Kiedy Celtowie odeszli, na szczycie góry Ciecień, u stóp której wyrósł później Szczyrzyc, zbudowano drewniane słowiańskie grodzisko. Legenda mówi, że było siedzibą Dzika – władyki nazwanego tak od wielkiej siły – o którym pisze Karol Bunsch w swojej opowieści o początkach naszego państwa.

WŚRÓD BESKIDZKICH WYSP

Celtowie zniknęli dawno temu, w wiekach przez nikogo niespisanych ani nieopowiedzianych. Dzikowe grodzisko starły walki i najazdy, drewniane belki i palisada zmurszały, oplecione korzeniami buków i jodeł porastających miejscowe góry nazwane Beskidem Wyspowym ze względu na podobieństwo do zielonych wysp rozsianych pośród skłębionych, płynących dolinami mgieł.

Do takich właśnie lesistych pustek w 1234 r. przybyli cystersi. Klasztor o białych murach stał się punktem, wokół którego skupili się ludzie i z którego promieniowały wiara i nauka. Cystersi stali się gospodarzami i uczyli gospodarowania. Choć trudno w to uwierzyć, ziemie szczyrzyckiego opactwa rozciągały się od podnóży Tatr daleko na północ poza Kraków.

Szczyrzycki klasztor nie był jednak nigdy ciałem obcym w górsko-leśnym świecie. Był i jest jego integralną częścią, także częścią lokalnego ekosystemu. Kościół, zabudowania i całe zakonne gospodarstwo stały się nowym siedliskiem dzikiego życia, które dzięki cysterskiemu zrozumieniu natury rozkwitło – i kwitnie do dziś. W klasztornych stawach pływają traszki i kumaki,

eprasa.pl 24062b618d

Myotis emarginatus

Fot. Shutterstock

po ogrodach spacerują salamandry plamiste, nad stadami krów starej rasy czerwonej polskiej hodowanych przez mnichów śmigają stada prędkich jaskółek dymówek gnieżdżących się w oborach, w sadach jabłoniowych pokrywających się co wiosnę biało-różowymi kwiatami fruwają rzadkie gatunki motyli, na strychu opactwa przychodzą na świat kolejne pokolenia nietoperzy.

PODKOWCE I NOCKI

Nietoperze potrzebują trzech rzeczy: bogatych w zieleń i owady terenów łowieckich, jaskiń o stałej temperaturze, umożliwiających przezimowanie, oraz miejsc spokojnych, ciepłych, odpowiednich na kolonię rozrodczą. Szczyrzyc, dziś mała osada z centralnie umieszczonym klasztorem cystersów, tak jak przed wiekami otoczony jest lasami. Las i doliny rzeczne dostarczają nietoperzom pożywienia. Korzyść jest obustronna, bo polowania nietoperzy są jednym z głównych czynników regulujących liczebność owadów i zabezpieczających las przed nadmiernym rozwojem żarłocznych gąsienic.

Miejscami zimowania szczyrzyckich nietoperzy są liczne jaskinie i szczeliny skalne budującego okoliczne góry fliszu karpackiego, ciągnące się niekiedy setkami metrów pod mszystym dnem lasu.

Idealnym natomiast miejscem, w którym od wieków przychodzą na świat kolejne pokolenia nietoperzy, są strychy i zakamarki zabudowań klasztornych.

CZY EUROPA USŁYSZY O POLSKICH NIETOPERZACH?

W kolonii lęgowej na strychu u cystersów bytuje ok. 320 rzadkich podkowców małych *Rhinolophus hipposideros* (to druga co do wielkości kolonia tego gatunku w Polsce). Przy okazji Szczyrzyca i podkowców warto wspomnieć o projekcie Life Podkowiec+ zrealizowanym przez Polskie Towarzystwo Przyjaciół Przyrody „pro Natura", które od lat specjalizuje się w ochronie nietoperzy, m.in. tych szczyrzyckich. Projekt ten, łączący remonty zabytkowych świątyń z ochroną nietoperzy, został nominowany do kilku nagród europejskich (Life to fundusze unijne). M.in. wyróżniony jako jeden z trzech do nagrody obywatelskiej LIFE Citizen's Prize 2019. Kto chciałby pomóc nietoperzom i Towarzystwu „pro Natura" w zwycięstwie, może wejść na stronę www.lifeawards.eu i wybrać Podkowiec+. Uwaga, głosować można tylko do połowy maja.

Szczyrzyccy cystersi goszczą także ok. 300 nocków orzęsionych *Myotis emarginatus* (największa kolonia gatunku w Polsce). Dla wyróżnienia tego miejsca utworzono chroniony obszar przyrody Natura 2000 „Opactwo Cystersów w Szczyrzycu", formę ochrony w ramach wielkiego systemu całej europejskiej wspólnoty. W trosce o nietoperze strych wyremontowano: naprawiono dach, zabezpieczono otwory, którymi wlatują i wylatują, utrwalono belki i chropowate powierzchnie, których chwytają się pazurzastymi łapkami, a żeby mieszkało im się higienicznie, zamontowano łatwe do posprzątania półki zbierające guano. Na stronie Instytutu Ochrony Przyrody PAN stwierdzono, że cysterski strych „to najcenniejszy dla ochrony nietoperzy strych w Polsce".

Szczyrzyc nie jest zresztą jedynym miejscem, w którym krzewiąc naukę Chrystusową, jednocześnie chroni się nietoperze. Kolonie różnych gatunków latających ssaków zamieszkują zabudowania klasztoru karmelitów bosych w Czernej, podkarpackie kościoły w Równem, Sieniawie, Skalniku i Rzepniku, kościół w Górkach Wielkich na Pogórzu Śląskim i w żywieckich Radziechowach, kościół w dolnośląskim Konradowie i w suwalskim Jeleniewie, świdnicką katedrę i kujawsko-pomorski kościół pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej.

Każde z tych miejsc jest wyjątkowe, każde warte odwiedzenia i zobaczenia chmar nietoperzy, które wiosennym, ciepłym wieczorem wylatują z klasztornego strychu.

Wiosną szczyrzyckie nietoperze wracają z jaskiń na ciepły strych

Fot. Przemysław Barszcz

eprasa.pl 24062b618d

Targowiska różnorodności

Trudno jest mi wyodrębniać konkretne smaki, gdy wszystko wokół jest wielowymiarowe, pulsuje. Szczególnie w większych miastach. Każde z takich miast ma w sobie nie do końca rozpoznawalne strefy i rytmy. Przestrzenie i właściwości, o których nie wszyscy mają pojęcie, a nawet ci ich świadomi nie zawsze wiedzą, jak one funkcjonują. Głośny dziś serial „Ślepnąc od świateł", w którym zagrałem, również takie przestrzenie odsłania. Jednocześnie pokazuje Warszawę, która – także w tym swoim klubowym nocnym życiu – wciąż się zmienia.

W ubiegłym roku miałem okazję przez miesiąc obserwować brazylijskie São Paulo. Realizowaliśmy tam projekt razem z reżyserem Michałem Borczuchem i scenografką Dorotą Nawrot [aktor od kilku lat tworzy z tą dwójką m.in. kolektyw twórczy z wychowankami szamocińskiego domu dziecka]. W ciągu doby wszystko wokół zmieniało się trzykrotnie: otwarte przed południem sklepy zamykano o godz. 17, miasto brało dłuższy oddech, by o godz. 22 zacząć nocne życie. Zupełnie inny rytm. A smak? W pierwszym odruchu powiem: pikantny.

Rodzinny Lidzbark Warmiński, z którego wyjechałem, gdy miałem 18 lat, kojarzy mi się o wiele łagodniej. Z... grzybami [śmiech]. Uwielbiałem je zbierać. Razem z rodzicami. W okolicach Lidzbarku lasów nie brakuje.

Zapach i smak grzybów przywołuje wiele skojarzeń. I nie jest to odkrywcze, bo ze wspomnieniami jest jak z muzyką: z całym utworem czy jej motywem. Jeśli gdzieś głębiej zapadnie, to odtworzona po kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu latach budzi wspomnienia.

W Lidzbarku stałem się wegetarianinem. Zrezygnowałem z mięsa jako 12-latek. Nie potrafię dziś jasno powiedzieć, czy stało się to z powodu wrażliwości, dla szpanu, czy w efekcie buntu. Któregoś dnia po prostu odstawiłem mięso.

Chociaż – nie ukrywam – zdarzają się sytuacje, gdy zapach np. smażonego kotleta sprawia, że miałbym wielką ochotę go zjeść. Nie robię tego, bo nie zamierzam uczestniczyć w zabijaniu zwierząt. Nikogo jednak z tego powodu nie oceniam ani nie staram się przekonać do swoich odczuć.

Przyznam przy tym, że najbliżsi nie od razu zaakceptowali mój wegetarianizm. Gdy nie dawałem się odwieść od swojego postanowienia, mama stwierdziła: „To sam sobie gotuj", więc próbowałem.

Nie byłem w tym doświadczeniu sam. Należałem do quasi-punkowej grupy, której wspólnym doświadczeniem stało się też... znajdowanie wegetariańskich przepisów. We wczesnych początkach lat 90. [aktor urodził się w 1979 r. – przyp. red.] nie było to wcale łatwe. Odkryciem tamtego czasu okazała się ciecierzyca. Odmieniana na wszelkie kulinarne sposoby.

Kolejną dekadę (i tysiąclecie) zacząłem już w Krakowie, gdzie studiowałem na PWST. Studenckie życie to – wiadomo – czas najtańszych i najbardziej sycących kulinarnych rozwiązań. W tym także zapiekanek na Kazimierzu, który był naszym rewirem.

Przez jakiś czas mieszkałem też przy Kleparzu, najstarszym krakowskim targowisku, i strasznie dużo czasu na nim spędziłem. Znałem handlujących tam ludzi, z niektórymi się nawet dobrze zakolegowałem. Wiedziałem, gdzie – wśród znakomitych produktów: jaj, serów, warzyw – znaleźć najlepsze. Poza tym ten klimat...

Kiedy przeprowadziłem się do Warszawy, nawet próbowałem znaleźć podobne miejsca, ale akurat to wciąż kiepsko mi idzie. Nie potrafię powiedzieć, z jakim smakiem kojarzy mi się Warszawa. Może też dlatego, że w nowych miejscach liczą się dla mnie przede wszystkim ludzie, atmosfera.

W São Paulo również nastawialiśmy się bardziej na wsłuchiwanie w rytm miasta (znalazłem tam też fascynujące wielkie targowiska) niż smakowaniem kuchni. Szczególnie że strasznie dużo jedzą tam mięsa. Z drugiej jednak strony było coś, co kulinarnie bardzo mi odpowiadało: ostre, pikantne smaki. Zajadałem się tamtejszymi papryczkami i dodawałem je do czego tylko mogłem. Można więc powiedzieć, że São Paulo smakowało mi na ostro.

Notowała ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Brazylijskie bułeczki serowe – Pão de queijo

przepis z bloga W poszukiwaniu slow life

Składniki: 1 szklanka pełnego mleka, 1/2 szklanki oleju, 1 łyżeczka soli, 2 szklanki tapioki, 2 jajka, 1 szklanka parmezanu

Wykonanie: W garnuszku wymieszać mleko, olej i sól. Podgrzewać do zagotowania, zdjąć z ognia i wsypać tapiokę. Wymieszać dokładnie, aż tapioka się wchłonie. Gdy nieco ostygnie, dodawać roztrzepane jajka, cały czas miksując. Dodać starty ser. Przestać miksować, gdy ser się wchłonie. Blachę wyłożyć papierem do pieczenia. Bardzo lepkie, ciągnące i miękkie ciasto nakładać łyżką moczoną w wodzie. Piekarnik rozgrzać do 220 st. C. Po włożeniu bułeczek zmniejszyć temperaturę do 175 st. C. Piec 25–30 minut, aż urosną jak ptysie i lekko się zrumienią. Można jeść na ciepło, wtedy są najsmaczniejsze, ale po wystudzeniu też są doskonałe.

Fot. Krzysztof Bieliński

eprasa.pl 24062b618d

SŁODKO-SŁONY

Aż się przegryzie

ANNA MONICKA

Kiedy ostatnio znalazłam na straganie piękne czerwone papryki, jędrne i soczyste, bardzo się ucieszyłam, zwłaszcza że miały smak i zapach warzywa, a nie tektury pokolorowanej na cito w chłodni. To sygnał, że wreszcie nadchodzi czas pełni, gdy warzywa są najsmaczniejsze. Te pierwsze są pewnie jeszcze ze szklarni, bo na nasze polskie papryki z gruntu trzeba będzie trochę poczekać. Sezon zacznie się za jakieś dwa miesiące, ale już teraz warto potrenować z nowymi daniami i jeść je jak najczęściej, bo to wybitnie zdrowe warzywo, które można przygotować na wiele sposobów, a nie tylko w nieśmiertelnej sałatce greckiej.

Najsłodszą paprykę zjadam po prostu pokrojoną w słupki. Jest dla mnie absolutnym must have, gdy wybieram się w podróż samochodem. Robię sobie w dużym pudle warzywno-owocowy mix (bo papryka to owoc, podobnie jak pomidor) z czerwonej i żółtej papryki, kalarepy i marchewek i mogę siedzieć za kierownicą kilka godzin. Polecam takie warzywne zestawy podróżne – pełne witamin, soczyste, nie obciążają żołądka w czasie drogi. Już sam odgłos chrupania działa orzeźwiająco, a witaminy C mają więcej niż cytryna.

Kolejny patent – grill. Paprykowe łódeczki są idealnymi „zielonymi" naczyniami (zielony to hasło umowne, bo najsmaczniejsze są te najbardziej dojrzałe, które wygrzewały się na słońcu, a więc żółte i czerwone) do nadziewania. Używam niemal wyłącznie słodkich odmian, a nadzienie z fety zmiksowanej z orzechami albo migdałami z dodatkiem nasion pinii zawsze wszystkim bardzo smakuje.

Największym hitem jest jednak papryka marynowana, specjał bałkański i grecki. Przepis jest prosty, a smak genialny. Dojrzałe strączki myjemy i wkładamy do piekarnika nagrzanego do 180 stopni. Po 15 minutach, gdy skórka się przypiecze czy wręcz spiecze, przekładamy z piekarnika do miski i nakrywamy przykrywką. Po kilkunastu minutach, gdy przestygną, ściągamy skórki i wykrawamy gniazda nasienne. Teraz gotujemy przez chwilę szklankę octu z posiekaną cebulą, czosnkiem, selerem naciowym, odcedzamy, ale nie wylewamy octu. Paprykę układamy w kamiennym naczyniu, przekładamy warzywami, dodajemy nasiona kolendry, każdą warstwę posypujemy solą i pieprzem. Ocet mieszamy z oliwą i dokładnie wszystko zalewamy, dociskamy i zamykamy naczynie.

Wkładamy do lodówki i z niecierpliwością czekamy, aż się przegryzie.

WILCZYM OKIEM

Chiński hit eksportowy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jednym z największych, ponadczasowych hitów chińskiego eksportu, a zarazem przykładem wpływu, jaki Państwo Środka od wieków wywierało nawet na odległe od swoich granic rejony świata, są owoce cytrusowe. Chociaż obecnie rzadko się o tym pamięta, to owoce tak popularne jak pomarańcze, cytryny, mandarynki, limonki, grejpfruty i kilka innych, mniej u nas znanych, pochodzą właśnie z Chin, najprawdopodobniej z ich południowo-wschodniej części. Oczywiście owoce cytrusowe uprawiane są dzisiaj w ciepłych krajach całego świata w dziesiątkach rozmaitych odmian, różniących się od dzikich przodków (przypuszczalnie pierwszą krzyżówką wyhodowaną przez Chińczyków jeszcze przed naszą erą jest cytryna). W niektórych krajach cytrusy napotkały też lepsze warunki do uprawy niż w swojej pierwotnej ojczyźnie – Chiny pozostały wprawdzie największym producentem mandarynek, ale już na przykład najwięcej pomarańczy dostarcza Brazylia, następnie USA, Meksyk, Indie i dopiero Państwo Środka, któremu po piętach depcze Hiszpania; potentatem zaś w uprawie cytryn i limonek są Indie i Meksyk – tu Chiny są na trzecim miejscu.

Chociaż handlowa historia cytrusów ma wiele białych plam, pierwszymi, jakie rozpowszechniły się poza Chiny, były pomarańcze, które już kilkaset lat przed naszą erą trafiły na Półwysep Malajski oraz w przeciwnym kierunku – do Indii i Persji, a stamtąd wraz z armią Aleksandra Macedońskiego w rejon śródziemnomorski. Dalsze ich rozpowszechnianie w Europie i Afryce Północnej następowało za sprawą Rzymian, kupców arabskich i rycerzy krzyżowców.

Do Europy cytrusy trafiły jeszcze raz, niezależnie od starożytnej drogi lądowej, w epoce wielkich odkryć geograficznych, kiedy Vasco da Gama wytyczył, okrążającą Afrykę, morską drogę do Indii. Wówczas też rozpoczęła się cytrusowa konkwista Nowego Świata, do którego pomarańcze i cytryny podążyły w ładowniach karak i karawel jako cenne źródło witaminy C, przeciwdziałającej szkorbutowi. Prawdopodobnie cytrusy popłynęły za ocean już podczas drugiej wyprawy Krzysztofa Kolumba, nie tylko zresztą jako prowiant, miały także posłużyć do założenia nowych plantacji.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 24062b618d

Wybiorą nam przyszłość

Wynik najbliższych wyborów może nadać dynamikę kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu, mocno wpłynąć na jej efekt. Pozornie więc nudne i mało ważne eurowybory tym razem są arcyważne, mogą decydować o przyszłości Polski i Europy na dekady

Mało nas idzie do eurowyborów. Bo i po co? – myślimy. Strata czasu, zawracanie głowy. Większość olewa eurowybory hałaśliwym strumieniem, uznając, że nie mają realnego wpływu na nasze życie. A eurocwaniaczki, pieczeniarze i smakosze eurowina mało nas obchodzą, traktujemy brukselskich pasibrzuchów jak konieczny haracz za rzekome unijne dobrodziejstwa. Ale tym razem jest inaczej, jeśli serio myślimy o przyszłości, eurowyborów nie da się zlekceważyć. Wskazanie polskich europosłów może mieć potężny wpływ na Europę i na Polskę na długie lata.

Czas wybierać. Koalicja Europejska, jak pokazały jej składowe części, gdy były przy władzy, jest konglomeratem oportunistów czołgających się przed interesami Niemiec, Rosji czy Brukseli, uzupełnionym o oszalałych lewaków. W swoich niby-różnicach złożyli się w jeden kształt, który oznacza gotowość na wszystko, byleby tylko koryto było dostępne, jak przecież zostało umówione. Oznacza to, że KE bezoporowo i radośnie popłynie z nurtem cywilizacyjnej inżynierii, która zmienia Europę z chrześcijańskiej, tolerancyjnej i wolnej na antychrześcijańską, nietolerancyjną i coraz bardziej totalitarną. A nawet – jak pokazuje przykład Warszawy – postara się być w jej awangardzie, żeby zasłużyć na nagrody i poklepania.

Narodowcy są zagadką. Czasem błyskotliwi i ideowi, nagle skręcają w dziwaczność i ortodoksję destrukcyjną. Korwin – przy swojej przekornej inteligencji – jest politycznym świrem, który za chwilę wsiądzie na słonia, powie coś skandalicznego o Katyniu, o niepełnosprawnych czy kobietach, co wywali cały polityczny projekt w powietrze. Brat Krzysztofa Bosaka jest dyrektorem lichwiarskiej firmy rosyjskiego oligarchy i to jest kłopot. Czy jednak mamy zakładać, że wschodzący polityk czyni obietnice w zamian za dyrektorską pensję brata? Przecież braci Kurskich nie rozliczamy z rodzinnej jednomyślności. Gdy Danuta Hübner, negocjując z Unią Europejską „w imieniu Polski", jednocześnie negocjowała swoją wysokopłatną posadę unijnego komisarza, nie była w większym konflikcie interesów? Konflikcie, który fatalnie nad Polską zaciążył, a my go nie zauważyliśmy?

Słyszymy, że jedna z kandydatek Konfederacji spotyka się z Szarymi Wilkami, popiera aneksję Krymu i prawdopodobnie lubi Putina. Źle, to chyba zła kobieta jest. Ale czy to wystarcza, żeby skompromitować całą polityczną formację? Nie wiem. Martwię się. Nie chcę promoskiewskiej, agenturalnej prawicy. Chciałbym jednak wiedzieć. Chciałbym rozmawiać. Chciałbym otwartej publicznej, telewizyjnej dyskusji, nawet kilkugodzinnej, w której reprezentanci i rzecznicy Prawa i Sprawiedliwości zmierzą się z reprezentantami i rzecznikami Konfederacji. Chcę, by odpowiadali na pytania, a ja ocenię.

Bo może jest tak, że Konfederacja jest potrzebna PiS, jak Jobbik potrzebny jest Fideszowi? Orbán może mówić: jeśli nie my, umiarkowani, pragmatyczni konserwatyści, przyjdzie skrajna prawica i zobaczymy, czy do nas nie zatęsknicie. Może Jarosław Kaczyński powinien mieć takie samo pole politycznego manewru i wzrostu, jakie ma Viktor Orbán?

PiS. Czyli „Ja-ro-sław". Słusznie uznawany za najwybitniejszego polskiego polityka – i to od dawna. Trafne diagnozy, właściwe strategie, świetne taktyki i manewry. Ale różne decyzje personalne. Na szczęście decyzja najważniejsza okazała się sukcesem. Mateusz Morawiecki, którego kiedyś sam uważałem za „bankstera", jest bardzo dobrym premierem. Krótko i długoterminowo. Czytelnikom „Sieci" licznych sukcesów wyliczać nie muszę, ale dopowiem, że dla moralnego i politycznego spokoju musi PMM uporządkować sprawę miliona Polaków oszukanych przez banki na sprzedaży toksycznych instrumentów dla niepoznaki nazwanych „kredytami walutowymi".

Wynik najbliższych wyborów może nadać dynamikę kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu, mocno wpłynąć na jej efekt. Pozornie więc nudne i mało ważne eurowybory tym razem są arcyważne, mogą decydować o przyszłości Polski i Europy na dekady. Wybieramy między antyrodzinnym, antynarodowym szałem i nowym totalitaryzmem libertynów plus wszechwładzą biurokratów a wolnością, obroną rodziny i państw, o których polityce decydujemy sami.

Jeśli zostaniesz w domu, od razu załóż obrożę, smycz, kaganiec. Bo wybrałeś zniewolenie.

Maciej Pawlicki

61/0319/F

eprasa.pl 24062b618d

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

ŚWIAT MARYJNYCH OBJAWIEŃ

WINCENTY ŁASZEWSKI

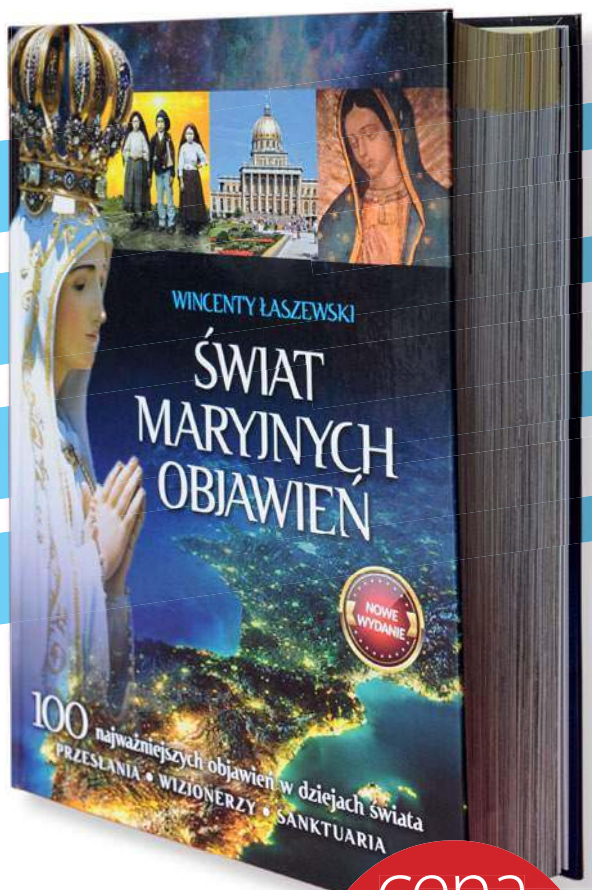

100 NAJWAŻNIEJSZYCH OBJAWIEŃ MARYJNYCH

1000 STRON HISTORYCZNYCH RELACJI ŚWIADKÓW I WYPOWIEDZI WIZJONERÓW

2600 ZDJĘĆ I ILUSTRACJI

200 MAP MIEJSC KULTU I OBJAWIEŃ

Gdy czytasz te słowa, trwa kilkadziesiąt objawień – na całym świecie. Jeśli chcesz wiedzieć, przed czym ostrzega Maryja i na co powinniśmy się przygotować – ta książka jest właśnie dla Ciebie.

Luksusowe wydanie w eleganckim, kolekcjonerskim, lakierowanym pudełku zabezpieczającym książkę przed uszkodzeniem.

cena **159 zł** Z KOSZTAMI WYSYŁKI

KSIĄŻKA IDEALNA NA NIEPOWTARZALNY PREZENT

DOSTĘPNA W KSIĘGARNI „NIEDZIELI”

ZAMÓWIENIA

pocztą:
Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

www.ksiegarnia.niedziela.pl
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52**
pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl 24062b618d

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Powrót wojowniczego ateizmu

www.wojciechreszczynski.pl

Często cytujemy słowa Jana Pawła II: „Demokracja bez wartości łatwo zamienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm". Jan Paweł II zawarł je w swojej encyklice Centesimus Annus będącej hołdem dla papieża Leona XIII w stulecie jego słynnej encykliki zaczynającej się od słów „Rerum novarum". Ilekroć przywołuję tę encyklikę, mam wrażenie, jakbym słyszał w oddali prześmiewcze zapytanie Donalda Tuska do Jarosława Kaczyńskiego z czasów negocjacji nad tworzeniem rządu Jana Olszewskiego w 1991 r. Powiedział wówczas: „Wy jesteście chadekami, więc kierujecie się encykliką »Lelum polelum«". Tak pewnie było, bo to bardzo typowe dla Tuska; cyniczny, niejednokrotnie wręcz szyderczy stosunek do ludzi („moherowa koalicja", „wyginiecie jak dinozaury", „współcześni bolszewicy") i ten szczególny brak szacunku dla wszelkich polskich imponderabiliów („Polska to nienormalność"), ale także chrześcijańskich. Co oczywiście nie przeszkadzało mu robić na pokaz różnych gestów, jak katolicki ślub przed wyborami. Teraz próbuje usprawiedliwiać nieszkodliwość sprofanowania wizerunku Matki Boskiej gejowską tęczą zamiast aureoli, przywołując tęczę z obrazu „Sąd ostateczny" Hansa Memlinga. W oczywisty sposób kłamie, wiedząc doskonale, czym jest dla środowisk LGBT, nienawidzących Kościoła, wymyślona przez nich sześciokolorowa tęcza, a czym jest naturalna, pełna tęcza znana z przyrody, zdjęć i obrazów. Oczywiście jak przystało na liberała kochającego tylko siebie, nawołuje do poszanowania wolności słowa i w pełni solidaryzuje się z „bohaterką" skandalicznego plakatu, którą policja przesłuchała zgodnie z prawem.

Hołd Jana Pawła II oddany, jak to on sam nazwał – „nieśmiertelnemu dokumentowi" papieża Leona XIII, ale także jego własne encykliki i adhortacje koncentrują się na stale aktualnym zagadnieniu zapewnienia maksymalnych gwarancji ludzkiej godności. Już sto lat temu Kościół katolicki nie akceptował ani marksistowskiego socjalizmu, ani liberalnego kapitalizmu. Rozwiązywanie trudnych problemów społecznych zalecał solidarnie zarówno Kościołowi katolickiemu, jak i państwu narodowemu. Te dwa autonomiczne organizmy miały zgodnie wypracowywać „dobro wspólne". To właśnie w „Rerum novarum" z 1891 r. zawarte jest ostrzeżenie przed zachłannym liberalizmem, kulturowym produktem socjalizmu, który nieuchronnie prowadzi wyznawców Chrystusa do szybkiej utraty wiary. I tak jak wtedy, tak i dziś jedynym antidotum zalecanym przez Kościół jest powrót do nauki Ewangelii i szacunek dla uniwersalnej etyki katolickiej.

Współcześni liberałowie, zwolennicy tzw. społeczeństwa otwartego, szeroka europejska „nowa lewica", którą bez żadnych wahań, wręcz z satysfakcją, zaakceptowała stara komunistyczna gwardia, podejmują dziś tę samą co sto lat temu walkę z Kościołem w imię wolności, równości, tolerancji itd. Najnowsza odsłona tej walki w Polsce rozpoczęła się wraz z pojawieniem się Donalda Tuska na Uniwersytecie Warszawskim w dniu święta Konstytucji 3 maja. To moment, w którym można dostrzec wyraźne przyspieszenie walki z religią katolicką w Polsce, przyspieszenie dodatkowo wymuszone terminami wyborów do europarlamentu oraz polskiego Sejmu i Senatu. W sumie banalny wykład Tuska, słuchany wręcz z nabożeństwem przez władze rektorskie i całą polską opozycję, poprzedziło wystąpienie jego młodszego kolegi, liberała, redaktora naczelnego kwartalnika „Liberté!" Leszka Jażdżewskiego. Jego atak na Polskę, na wiarę katolicką i Kościół w Polsce był obrzydliwy i bynajmniej nie przypadkowy. Tym razem chodziło o ścisłe powiązanie Kościoła w Polsce z obecną partią rządzącą. Zdaniem Jażdżewskiego „PiS jest zbrojnym ramieniem Kościoła (...), a Kościół związał się z jedną partią, zrobił skok na kasę i na władzę". Szczerze mówiąc, oczekiwałbym teraz od przedstawicieli Kościoła jakiejś reakcji. „Liberał" powinien doświadczyć na własnej skórze, czym jest naruszenie cudzej godności, czci i równocześnie wolności poprzez niczym nieuzasadnione pomówienia i oszczerstwa. Dobrze, że są już pierwsze zawiadomienia do prokuratury w sprawie profanacji obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Tylko dzięki skutecznej egzekucji obowiązującego prawa jest szansa na zatrzymanie naruszania art. 196 kk, który penalizuje przestępstwo obrazy uczuć religijnych. Trzeba egzekwować to prawo szybko i konsekwentnie, gdyż liberałowie, postkomuniści i wszelcy wrogowie Kościoła w Polsce będą chcieli, na wzór europejski, wykreować faktycznych przestępców na ofiary zamachu „pisowskiej" autorytarnej władzy. Tak wykreowano we Francji przestępców, tzw. satyryków z pisma „Charlie Hebdo" na ofiary walki o wolności obywatelskie, w tym podstawową, jaką jest wolność słowa. Ten scenariusz może się powtórzyć w Polsce, tym bardziej że niektóre polskie sądy prowadzą politykę sprzeciwu wobec oficjalnej władzy, licząc na wsparcie europejskich instytucji, w tym TSUE.

eprasa.pl 24062b618d

LOKAL DLA AWANTURNYCH

A tu tylko Podleśna

Witold Gadowski

Można uznać, że ustępstwo wobec głupiego jest czynem mądrym. Co jednak w sytuacji gdy takie ustępstwo sprawi, że głupi będzie jeszcze głupszy i będzie dalej parł naprzód? Czy wtedy nie należy po prostu twardo stanąć przy swoich racjach i nauczyć rozbestwionego chama nieco pokory?

Polska lewica wybudziła się z kilkuletniego snu. Jednak zamiast przygotować program walki o poprawę warunków życia najuboższych obywateli, zamiast przemyśleń prowadzących do ochrony słabszych przed silniejszymi, obrała zupełnie inny cel. Kto by tam bowiem zadawał sobie trud, aby wyrównać szanse młodych ludzi z prowincji, kto wreszcie zajmowałby się tzw. ścianą wschodnią, która in statu nascendi od początku dziejów nieprawej III RP była poszkodowana i niedoinwestowana. Lewicy nie chce się analizować, liczyć ani forsować konkretnych rozwiązań. Ba, polskiej lewicy nie chce się nawet bronić praw pracowników, które nagminnie są deptane w koncernach i korporacjach działających na terenie kraju. Nasza lewica woli przystąpić do walki z... Kościołem katolickim i jego „nadużyciami". Początkowo wydawało się, że różni działacze lewicy wyskakują przed szereg, że zbyt wcześnie rzucają pewne hasła. Tak było, kiedy Paweł Rabiej – dzisiejszy wiceprezydent Warszawy – ogłosił, że już niedługo w Polsce powinno zostać wprowadzone prawo zezwalające na adopcję dzieci przez pary homoseksualne. Kilka dni temu inny zagończyk – Leszek Jażdżewski – po raz pierwszy w polskiej debacie publicznej rzucił ostre wyzwanie katolikom, przyrównując ich do świń tarzających się w błocie. Wtedy jednak też odezwały się głosy, że to odosobniony wyskok łaknącego sławy działacza. Minęło jednak kilka dni i okazało się, że „eksces" Jażdżewskiego to element szczegółowo zaplanowanej i prawdopodobnie finansowanej także z zagranicy kampanii uderzania w polskie świętości.

To będzie rosło – ktoś, kto za to płaci, zniecierpliwił się i wymaga. Idą wybory europejskie i lewica (nieformalnie z Donaldem Tuskiem na czele) gra na ostry konflikt. Wielu nawet marzą się uliczne sceny żywcem przeniesione z Zachodu, z 1968 r. Blady Kramek już dawno się o to modlił do lewicowego boga Mamona. Jak nie Majdan, to chociaż Berlin i Berkeley z lat 60., to chociaż nowy Joschka Fischer z koktajlem Mołotowa w dłoniach. Niechby wreszcie kogoś solidnie pobiła policja, niechby wreszcie ktoś zginął „za sprawę" – modlą się lewicowe dewoty. A tu nic... Elżbieta Podleśna – nie te czasy, nie te emocje, nie ten rozum.

Porównania

Lech Makowiecki

Drażnią mnie porównania ludzi i zdarzeń z różnych, zwykle nieprzystających do siebie epok. Celowali w tym komuniści, a dziś – wszelakie lewactwo. Przeciwstawianie sobie losu chłopa pańszczyźnianego i rolnika rodem z PRL miało być argumentem na korzyść „postępowej" władzy ludowej. Ale wystarczyło zestawić poziom życia peerelowskich gospodarzy i pracowników PGR ze statusem współczesnych im farmerów francuskich czy amerykańskich – i czar „postępu" pryskał. Nawet dziś średniowieczna dziesięcina (czyli dziesięcioprocentowy podatek dochodowy) to marzenie większości podatników! Pozbycie się mieszkaniowej pętli kredytowej (chłop pańszczyźniany użytkował swą kurną chatę bez żadnych dodatkowych opłat) jest zaś szczytem marzeń wielu zadłużonych w bankach (i to na dziesiątki lat) młodych małżeństw.

Współczesny świat, wbrew cywilizacyjnemu progresowi, co rusz zaskakuje nas swą brutalnością. W Cesarstwie Rzymskim ustrój niewolniczy był (jak na tamte czasy) nowoczesnym i najwydajniejszym systemem funkcjonowania państwa, ujętym zresztą w ówczesnym systemie prawnym. Ten model gospodarowania skończył się oficjalnie wraz z wojną secesyjną w USA. Nastąpiło to z powodów stricte ekonomicznych – praca wolnych ludzi okazała się bardziej efektywna i opłacalna. Dlatego nie pojmuję, jak w dzisiejszej cywilizowanej Europie – w krajach mających nieograniczone wręcz możliwości inwigilacji społeczeństwa i niezwykle skuteczne organa ścigania – funkcjonować może handel niewolnikami? Do tego w większości kobietami i dziećmi. Przy czym los nałożnicy w starożytności i piekło narkotyzowanej, bitej i gwałconej współczesnej niewolnicy z dzielnicy rozpusty w Hamburgu czy Paryżu to niebo a ziemia. O traumie dzieci sprzedawanych dla rozrywki bogatym pedofilom trudno mi tu nawet pisać, ich krzywda boli najbardziej. Ale czegóż można się spodziewać po rządach odbierających rodzicom (często z błahego powodu!) ich własne dzieci.

eprasa.pl 24062b618d

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Uniwersytet w błocie

Aleksander Nalaskowski

Nie wierzę, że Donald Tusk nie miał pojęcia o tym, co powie jakiś Jażdżewski, traktowany jako support głównego „wykładu" najważniejszego Europejczyka z Polski. Taki wytrawny i wyczulony na spiski i knowania, sam knujący i spiskujący polityk na taką improwizację sobie nie pozwala. Nie z nim takie numery. Doskonale wiedział, czego po tym facecie może się spodziewać. Ale nie o to idzie. Co do Tuska nie mam żadnych złudzeń. Wiem, że idąc po władzę, chętnie kroczy po cmentarzach, bo tam są trupy w dużej liczbie. A on idzie i pójdzie po trupach. Dla mnie jednak ważniejsza była metawymowa całego zdarzenia.

Support to w języku popkultury lub estrady zespół, wykonawca poprzedzający występ gwiazdy. Rozgrzewa publikę przed głównym koncertem. Prawdziwi giganci, tacy jak McCartney (w Krakowie), nie mają supportów. Nie muszą się podpierać takimi protezami. Są na to zbyt wielcy. Ale nawet gdyby, to trudno mi sobie wyobrazić, by Budka Suflera wybrała jako support piskliwych discopolowców albo pokaz erotyczny na żywo w wykonaniu Dolores z Bułgarii i Richarda z Ukrainy. A tak właśnie zrobił Tusk. Zaprosił na swój show skandalistę obyczajowego czy estetycznego. I tutaj pojawiają się pewne hipotezy.

Uniwersytet to miejsce swobodnego głoszenia myśli, a nawet bezmyślności

Pierwsza. Nawet na najlepszych polskich uniwersytetach może wystąpić każdy z ulicy. Wystarczy, że zapłaci. Przy czym „każdy" ma znaczenie postmodernistyczne, postprawdziwe. I oznacza, że na żadnej uczelni nie mogą wystąpić obrońcy życia ani sceptyczni wobec homoseksualizmu heterycy. To takie nowe „każdy". Proszę się przyzwyczajać do tego znaczenia, bo niebawem będzie to jedyne znaczenie tego zaimka upowszechniającego!

Druga hipoteza. Uniwersytet to miejsce swobodnego głoszenia myśli, a nawet bezmyślności. Możliwa jest na nim radosna twórczość, tzn. takie działanie, które z jednakową powagą traktuje rzeczy miałkie i głupie z rzeczami doniosłymi i ważnymi. Zatem obok wykładów autorytetów w zakresie zaawansowanej biologii molekularnej czy literatury francuskiej możliwy jest występ pospolitych idiotów. Trzecia. Okazuje się, że mit Herostratesa nie jest tylko fantazją. Ten szewczyna, który złakniony sławy spalił świątynię Artemidy w Efezie, ucieleśnił się w postaci jakiegoś Jażdżewskiego, który będąc nikim, chce być kimś. To tacy wypinają na estradzie goły tyłek na premiera, bluzgają publicznie na nauczycieli, przebierają się za motyla na procesji. Niktosie szukający szansy na bycie ktosiem. Może i Herostrates był dawno, ale nie cały umarł.

Hipoteza czwarta. Nie mamy zielonego pojęcia o naszych mniejszych braciach, czyli innych niż my ssakach. Nazywanie bowiem supportu na UW „zbydlęceniem" jest ohydnym pomówieniem zwierząt domowych, a zwłaszcza bydła. Kto ma wątpliwości, niech sobie zaśpiewa „Dzisiaj w Betlejem", zwłaszcza frazę „bydlęta klękają". Bo może i bydło nie jest zbyt subtelne, może i uznaje tylko najprostsze prawa, ale dla świętości ma wiele szacunku. Zatem proszę nie obrażać zwierząt, które dają mleko, wełnę, mięso, ciągną pługi czy strzegą domu. A jeśli jakiś wieprz za mocno nas trąci, to wtedy możemy mu krzyknąć: „Trochę kultury, nie zachowuj się jak Jażdżewski na UW!". Ale zaraz potem powinniśmy przeprosić za to za daleko idące porównanie.

Hipoteza piąta. W Polsce nastąpiła karnawalizacja życia. To znaczy, że to co poważne może być obśmiewane, a to co durne stawiamy na ołtarzach. Karnawalizacja to także zmiana znaczeń. To jak kiwanie głową na „nie" i kręcenie głową na „tak". Zatem o tolerancję i zaprzestanie prześladowań wołają uczestnicy homoparad w centrach największych miast, nieszczelne oczyszczalnie ścieków wypuszczające z sejmowej mównicy nadmiar nieczystości pod adresem Kaczora, pezetpeerowscy weterani komunizmu aspirujący do europarlamentu, będącego przecież wymysłem imperialistycznego i zgniłego Zachodu, czy profesorowie od Holokaustu, którzy pisząc fałszem, przekonują, że to prawda. A my, prawacy, antyaborcjoniści, sceptyczni wobec islamu katole czy wątpiący w polskie autorstwo zagłady Żydów, mamy się wstydzić, chować po kątach, nie nosić medalików, nie przeszkadzać kierowcom swoimi procesjami i nie obrażać się, gdy nazwą nas świniami w błocie. Mamy przecież uzyskaną drogą demokratycznych wyborów władzę. I to powinno nam wystarczyć. Resztę pozostawmy niezawodnej „Gazecie Wyborczej".

No to teraz czekam na występ Jażdżewskiego w „Tańcu z gwiazdami", w jury „Mam talent!", rólkę tegoż w popularnym serialu, konferencje prasowe, spotkania z młodzieżą szkolną, wydanie pamiętników pod tytułem „W kraju świń, w kraju błota", ostentacyjny przemarsz w tzw. chryi pod Radiem Maryja lub udział w wyścigu kolarskim, koniecznie „dedykowanym" LGBT.

Rzeczywiście, polski uniwersytet potrafi być niekiedy zaskakująco inspirujący.

eprasa.pl 24062b618d

PRZEZ ŚWIETLIK

Stand-up z Brukseli

W popularnym – i niestety coraz bardziej wypierającym kabaret – stand-upie można dziś zauważyć dwa różne nurty. Jeden to chamstwo, drugi – bardziej wysublimowana ironia.

Donald Tusk przy okazji długiego weekendu majowego zadbał o gusta miłośników obu nurtów. Pierwszy przykład jest powszechnie znany. Tak jak znany stał się nagle prezentujący go wykonawca z tuskowej stajni. Nieco w tle słynnego popisu Jażdżewskiego, który swoich porównań Kościoła do świni absolutnie nie ustalał z Donaldem Tuskiem, pozostało drugie wystąpienie „prezydenta Europy". Właśnie pełne ironii, a nawet autoironii. I trzeba przyznać – genialne, bo kiedy Donald Tusk prezentuje się jako obrońca swobód obywatelskich, to jest to naprawdę

Wiktor Świetlik

zabawne. Tak było też w przypadku szczerej troski o swobodę debaty akademickiej, wyrażonej przez zacnego gościa z Brukseli na ziemi poznańskiej.

Tusk lubi sobie tak żartować, a jeśli chcemy się dowiedzieć, co na serio myśli, musimy spojrzeć na jego ludzi. Tak właśnie dzięki Jażdżewskiemu i jego – absolutnie niekonsultowanej, przypomnijmy – mowie dowiedzieliśmy się, jak wygląda plan byłego premiera na regulację stosunków państwo–Kościół. Realizować go będą głównie stand-uperzy z nurtu chamskiego, tak by ludziom jak najbardziej tę drugą instytucję obrzydzić. Pierwszą zresztą też.

Z kolei o tym, jak wygląda podejście do wolności uczelnianej debaty akademickiej, mogliśmy się przekonać po innym politycznym wychowanku Tuska. Trzy tygodnie temu w amerykańskim Middlebury College w stanie Vermont próbowano odwołać wykład prof. Legutki. Młodzi hunwejbini z tej uczelni dowiedzieli się od swoich polskich kolegów, że przyjeżdża jakiś straszny homofob i zagrozili awanturą. (W Poznaniu identycznie zrobili ich polscy koledzy z prof. Jackiem Trznadlem). Informację o tym na Twitterze podał m.in. Andrzej Halicki, były tuskowy minister i kolega partyjny, komentując radośnie: „Odwołano w USA wykład europosła Legutki (PiS) z powodu szerzenia rasizmu i ksenofobii. Zdumiony. Myślał, że leci na zlot Ku Klux Klanu?...". Wydawałoby się, że nawet człowiek o umysłowości Halickiego jest w stanie dostrzec, że zarzucanie Ryszardowi Legutce rasizmu jest idiotyzmem. Wydawałoby się.

Nawiasem mówiąc, wykład był zatytułowany „Demony w demokracji. Totalitarne pokusy w wolnym społeczeństwie". Jak widać, bohater książki i filmu „Pod Mocnym Aniołem", który mówił, że „każdy ma takiego demona, na jakiego sobie zasłużył", nie miał racji. Nic tak złego nie zrobiliśmy, by karano nas gromadą stand-uperów spod szyldu D.T.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Jeśli chcemy się dowiedzieć, co na serio myśli Donald Tusk, musimy spojrzeć na jego ludzi

Izabeli Zielińskiej

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TEŚCIA

składają

Zarząd i pracownicy z Grupy Medialnej Fratria

eprasa.pl 24062b618d

Teraz Polska

Już nikt się nie łudzi, że dzisiejszy atak na Kościół to tylko seria oderwanych od siebie incydentów. Jesteśmy świadkami wojny

JAN POSPIESZALSKI

Prześladowanie Kościoła było znakiem rozpoznawczym PRL. Jako dziecko służyłem do mszy biskupowi Franciszkowi Musielowi. Temu, którego SB zatrzymała podczas „aresztowania" kopii jasnogórskiej ikony. W drodze do szkoły musiałem przechodzić obok radiowozów MO latami blokujących wyjazd z klasztoru. Rodzice opowiadali mi, jak zaczynały się represje, o uwięzieniu prymasa Wyszyńskiego, o protestach, gdy zdejmowano krzyże w klasach, gdy konfiskowano szkoły zakonne. Przykładem było moje Liceum Sztuk Plastycznych mieszczące się w budynku dawnej szkoły Sióstr Zmartwychwstanek, gdzie każdego ranka wchodziliśmy na lekcje przez klasztorną furtę.

Wielki wybuchu entuzjazmu po wyborze Karola Wojtyły sprawił, że przestaliśmy się bać. Dokładnie dziesięć lat po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II i przywołaniu Ducha św. na pl. Zwycięstwa komunizm upadł. Byliśmy podwójnie upojeni: wolnością Polski i Kościoła oraz dumą z obecności rodaka w Watykanie. Werset piosenki pielgrzymkowej „czy wy wiecie, że my mamy papieża" dobrze ilustruje postawę wielu z nas. My, Polacy, „mamy papieża" i to wystarczy. Jest wypełnieniem naszego religijnego życia, niemal załatwia nam zbawienie.

Gdy wieszczono, że wraz z transformacją nastąpi szybka laicyzacja, wzruszaliśmy ramionami. Życie religijne płynęło w rytm wizyt JP2, a biskupom zamiast tworzenia duszpasterskiego programu wystarczały przygotowania do kolejnej pielgrzymki. Z satysfakcją pokazywaliśmy statystyki dominicantes i pełne seminaria. To był błogi czas iluzji, że tak będzie zawsze. Choć dostrzegaliśmy stopniową dechrystianizację w Europie (przykładem pamiętna walka o preambułę do traktatu europejskiego), jednak niewielu katolików w Polsce potrafiło zrozumieć istotę nasilającego się procesu. Tak jak w czasach PRL oddzieleni żelazną kurtyną nie widzieliśmy uwiądu Kościoła na Zachodzie. Podobnie w pierwszej dekadzie III RP upadek komuny i pontyfikat Wielkiego Polaka uśpił naszą czujność.

Ks. prof. Andrzej Kobyliński wielokrotnie mówił, że przespaliśmy ostatnie dekady.

Gdy w Kościele powszechnym, szczególnie w Niemczech, Holandii, Irlandii, Hiszpanii, nasilały się groźne procesy, które Jan Paweł II w adhortacji apostolskiej „Ecclesia in Europa" (2003) nazwał „milczącą apostazją", polski Kościół nie miał przenikliwości, aby przygotować się na nadchodzące zmiany. Nagle te procesy przychodzą do nas, a my ich nie rozumiemy i nie potrafimy reagować. Dziś już nikt się nie łudzi, że da się pewne rzeczy przeczekać, że dzisiejszy atak na Kościół to tylko seria oderwanych od siebie incydentów. Jesteśmy świadkami wojny. Nie wiem, w jakim stopniu jest to zaplanowana i kontrolowana operacja, ale to wyraźny trend, w którym nie ma przypadkowości. Pod pozorem walki z nadużyciami w Kościele uderza się w istotę, w sacrum i święte symbole, nakręcając antychrześcijańską furię.

Z drugiej strony trwa socjotechniczna operacja narzucająca lewacką antropologię, atakująca rodzinę, afirmująca dewiacje, demolująca prawo naturalne i normy cywilizacyjne. Elementami są zarówno przyjęcie konwencji stambulskiej, jak i ofensywa genderowa na wielu polskich uczelniach. W tym nurcie mieszczą się czarne wtorki, strajki kobiet, kolejne marsze szmat, atak na prof. Bogdana Chazana.

W teatrach nie wystarcza już uporczywa afirmacja homoseksualizmu, więc mamy teraz jawnie bluźnierczy nurt („Klątwa", performance teatralne w Gnieźnie z profanacją Najświętszego Sakramentu). W szkołach warsztaty antydyskryminacyjne, standardy WHO, tęczowe piątki, a dla czterolatków równościowe przedszkola. Parady gejowskie z jawnie antykościelnymi hasłami, jak objazdowy cyrk, najeżdżają miasta, gdzie ich jeszcze nie było (tylko w 2018 r.: Częstochowa, Lublin, Rzeszów, Zielona Góra). To bardzo niekompletna lista, ale trzeba oczywiście wymienić jeszcze film „Kler" (5 mln widzów) i nachalnie promowany ostatni produkt Tomasza Sekielskiego.

Od śmierci Jana Pawła mija już 14 lat. W dojrzałe życie wchodzi pokolenie, które nie pamięta już wielkich wzruszeń, masowych celebracji przeżywanych we wspólnocie wiernych wsłuchanych w jego słowa. Czy potrafimy się obronić? Jak się przygotować do tej nowej sytuacji? O tym postaram się napisać za tydzień.

eprasa.pl 24062b618d

Organizacja powitania Tuska

Jerzy Jachowicz

Entuzjazm jest na mojej głowie. Dopilnuję, żeby było lepiej niż w Warszawie na uniwersytecie. Spokojnie, zawsze da się poprawić – mówił Paweł Graś do Donalda Tuska. – To dobrze, bo to ważne. Paweł, podaj mi maść na nadgarstki. Przedtem zamknij okno. Mam już dość tych bijatyk na Polach Elizejskich – powiedział Tusk.

Sąsiedzi z naprzeciwka brukselskiego mieszkania szefa Rady Europejskiej mieli zwyczaj puszczać telewizor na pełny regulator, a okna otwierać na całą szerokość. Szczególnie późnym wieczorem, gdy wokół panowała cisza, było to uciążliwe dla Tuska. Powodowało u niego podenerwowanie objawiające się dziwną przypadłością – nieprzyjemnym swędzeniem nadgarstków.

Graś po chwili przyszedł ze szklanką oraz butelką Jack Daniel's Tennessee Whiskey, zwaną przez jego pryncypała „ulubioną maścią". Tego wieczoru swędzenie nadgarstków stało się bardziej dokuczliwe niż zwykle, gdy zadzwonił ktoś z Polski i potrącił w rozmowie – jak się Graś zorientował po urywanych zdaniach Tuska – sprawę jego wystąpienia 3 maja na Uniwersytecie Warszawskim. – To zwykłe łobuzerstwo. Chciał się na mnie lansować. Na tle jego antyklerykalnego wystąpienia... mój wykład nie miał już tego pieprzu. Ja to od razu czułem. (dłuższa przerwa) Nie, no gdzie tam, absolutnie nie. Zostało jeszcze sporo czasu. Oczywiście, że zapamiętam. Nigdy nie zapominam – jak to się mówi – „o długach wdzięczności". Znasz mnie. Trzymaj się. Zadzwoń, jak będzie się zbliżał koniec twojego..., no wiesz, twojej sprawy.

W międzyczasie Graś wypełnił szklankę w jednej trzeciej złocistą whisky, podając ją Tuskowi. – Wróćmy do przygotowań do 4 czerwca – rozpoczął Tusk. – Żadnych wystąpień przede mną. Nawet piosenkarzy. Dużo telebimów. Ściągnij trochę celebrytów, nie może zabraknąć właściwie rozstawionych klakierów. W Warszawie w ogóle ich nie słyszałem. – Donek, tym razem osobiście dopilnuję, żeby żarliwym wiwatom nie było końca. Sam wiesz, Gdańsk to nie Warszawa. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy Grzesiek nie hamował tam nieco entuzjazmu. To jest do sprawdzenia.

CO MNIE MARTWI I WKURZA

Defilada kontra wykład

Katarzyna Łaniewska

3 maja, w rocznicę uchwalenia konstytucji z 1791 r., na Wybrzeżu Kościuszkowskim odbyła się defilada sił zbrojnych RP i naszych sojuszników. W tym samym czasie na Uniwersytecie Warszawskim „wykład" wygłosił Donald Tusk. Defiladę oglądało ok. 100 tys. osób – Polaków i gości z całego świata. Wykładu wysłuchało natomiast ok. 1000 osób. Sądzę, że czas zaproszenia byłego premiera nie był przypadkowy – Tusk zawsze w momentach ważnych dla Polski lubi zabierać głos.

Przedmówcą Tuska był młody człowiek – redaktor naczelny magazynu „Liberté!" Leszek Jażdżewski. W wystąpieniu mówił nieprawdziwie i wręcz arogancko o Kościele katolickim. Takie słowa w sercu Warszawy w radosnym dniu 3 maja? Krzyż, na którym Jezus zginął za nas, porównał do pałki do bicia! Tego wykładu słuchali oficjalni goście zaproszeni na wykład Tuska – totalna opozycja i rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Marcin Pałys. Po tej przedmowie ludzie bili brawo. Młodemu człowiekowi, który plugawił Kościół. Tak naszej wiary nie plugawił nawet Urban, a znany był ze swoich ostrych słów. Tusk, kiedy szedł do mikrofonu, poklepał Jażdżewskiego przyjaźnie, aprobując wystąpienie, i zaczął sam przemawiać.

Jeden z dziennikarzy trafnie skomentował, że wykładu Tuska należałoby słuchać, stojąc na głowie, bo wszystko to, czego PO za jego rządów nie robiła, przypisują teraz PiS. Jego „wykład" był inwektywą wobec rządu, ale Tusk był niezwykle zadowolony ze swojego przemówienia. Inni słuchali go, przyklaskiwali i zachwycali się. To podłe i naprawdę nie rozumiem, czemu i komu miałoby służyć. To smutne, że coś takiego odbyło się w gmachu uniwersytetu za przyzwoleniem pana rektora – tego, który dba, by nic niestosownego się tam nie odbywało. Np. dziennikarce Magdalenie Ogórek odmówił udziału w wykładzie mówiącym o odzyskiwaniu dóbr narodowych, bo jest osobą stronniczą. O jakiej bezstronności możemy mówić w dniu 3 maja? Przecież jako człowiek wykształcony posługuje się rozumem. A tu co się stało? Dlaczego? Normalny człowiek nie może tego zrozumieć, a musiał to usłyszeć i zobaczyć. To się odbyło!

Przeciwko takim działaniom chcę zaprotestować. Zastanówmy się, dokąd ta druga strona zmierza? Dokąd się posuną w swoich obrzydliwych oskarżeniach i podjudzaniu?

eprasa.pl 24062b618d

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Ulica, zagranica, profanacja

Płatnym prowokatorom puszczają nerwy i idą na całość

Ryszard Makowski

Donald Tusk nie ma łatwego życia. Mógłby spokojnie liczyć brukselskie srebrniki, ale nic z tego. Jest rozkaz: trzeba jechać do Polski! Tym razem misja była konkretna. Zniszczyć im święto narodowe 3 Maja. Nie można dopuścić do tego, żeby nad Wisłą mieli szczęśliwy dzień. Żeby cieszyli się wolnością, tańczyli, śpiewali, patrzyli na defiladę. Nie po to prawie cztery lata pompowano duże pieniądze z zagranicy, uruchomiono agenturę miejscową i europejską, żeby PiS organizowało beztroskie igrzyska i – co najgorsze – zapewniało obywatelom chleb.

W centrali uznano, że sytuacja jest poważna. Atak na wizerunek Matki Boskiej i zrównanie katolików ze świniami świadczą o tym, że macherom od obsadzania władzy w Polsce skończyły się pomysły. Sięgnęli po propagandową broń atomową. Czym innym jest kpić z proboszcza albo wikarego, a czym innym podnieść rękę na naszą największą świętość, Matkę Boską. Dalej nie ma już nic.

Ci tandetni profanatorzy najwyraźniej nie znają Polaków. Historia nauczyła nas cierpliwości i mądrości. Najważniejsze, co możemy zrobić, broniąc naszej wiary, to iść na wybory. Jak niewiele pokoleń mamy szansę walczyć pokojowo. Mamy szansę walczyć kartą wyborczą. Truizmy, ale warto je powtarzać w czasie intensywnego medialnego huśtania nastrojami. My, katolicy, jesteśmy w Polsce większością i pokażmy, kto tu rządzi. Żadne przybłędy nie będą nas obrażać. A druga kadencja dobrej zmiany nie musi oznaczać nadstawiania drugiego policzka.

eprasa.pl 24062b618d

***Zawistowski prezentuje:* Profan**

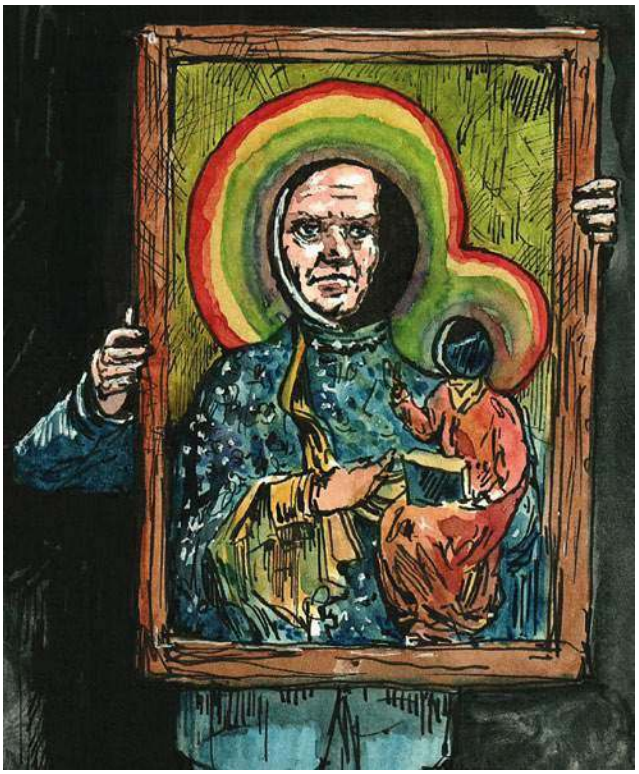

Wycinki z przeszłości

Jest w naszej biblioteczce książeczka chwilami zabawna, niekiedy naiwna, bywa, że inspirująca. Wydana w roku 1929 pozycja „Jak stać się mistrzem życia" to odpowiednik współczesnych poradników obiecujących receptę na sukces. Sięgnijmy zatem do rad sprzed 90 lat. Czy znajdziemy w nich coś dla siebie? Dziś część pierwsza, za tydzień – druga.

Niech wszystkie uczucia i myśli przechodzą przez filtr duchowy twego rozsądku i niech cały piasek szkodliwych afektów i negatywnych myśli odpadnie i zostanie tylko czyste złoto. W ten sposób na pewno unikniesz więcej niż osiemdziesiąt procent przykrości i codziennych tragedyj.

Każdego dnia, jak odbicie w zwierciadle, niech staje przed twymi oczyma wizja wielkiej przyszłości, a wtedy całkiem inaczej będziesz myślał i działał.

W chwili spokoju przymknij oczy i wyobraź sobie, że jesteś wodzem dowodzącym, który umie tylko rozkazywać i pierwszy najczęściej przechodzi do ofensywy. Im więcej przeszkód napotkasz, tym większa niech będzie twoja energia. Im więcej ciosów cię spotka, tym większa niech będzie twoja odporność.

W każdej sytuacji wyrób sobie odpowiedni pogląd. Naucz się wnikać w stosunki życiowe, aby otrzymać właściwą perspektywę dla stworzenia życiowego planu.

Zaprzestać wszelkich niepotrzebnych podróży, bezcelowych konferencyj i tzw. przypadkowych, świetnych interesów, które ci tylko czas zabierają, do niczego nie doprowadzając.

(mk)

Dawno nie było mnie w Kazimierzu...

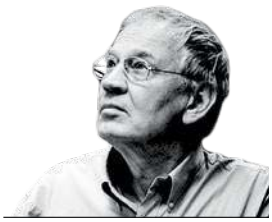

Leszek Długosz

Pamięci Jurka Gnatowskiego, Stefana Kurzawińskiego i innych bliskich ze wspólnego kiedyś tam kadru...

Dawno nie było mnie w Kazimierzu
I w Kazimierzu też się musiał zmienić świat?
Choć wąwóz zbiega pewnie jak i kiedyś
I Wisła od Janowca zmierza
I wiosną białe żagle ponad wzgórzem płyną
I Rynek stoi, tak jak stał?

Szum gwar przy stołach nieodmienny
– Lecz wokół blatów obce twarze
I nad szklankami cudzy śmiech...
Ktoś Bliski, po imieniu szepnął zza ramienia?
– Z głębokiej studni ktoś zawołał nas?

– Sezony do albumów odłożone...
Druhowie moi
Pod powiekami ze mną jeszcze dziś...
Panny madonny kazimierskie
W rozbłysku szkła was rozpoznaję
Ze śniegiem niegdysiejszym
Z dawnym refrenem w sepię was poniósł
Niegdysiejszy wiatr

Ach w Kazimierzu, w Kazimierzu – wszędzie
W wielkim czy gdzieś tam w małym świecie
Na ten sam sposób, w tych samych ramach
Odmienia malowidło czas
– Po latach znów na Rynku w Kazimierzu siedzimy
Smutnie uśmiechnięci
– Do innej wersji płótna, widać to wyraźnie
Przeznaczył nas tu kiedyś Mistrz
ów Malarz...
– Bezgłośnie gryzie blaty stołów, kornik
Ćmi serce
W niewielkim Kazimierzu wcale nie mniejszy przez to
Żal...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 24062b618d

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Sztukmistrz polityczny Tusk

Po kilku sztuczkach, jakie Tusk wykonał podczas swych niedawnych przemów na uniwersytetach, wnioskować można, że nadal cynicznie wykorzystuje rozczarowanie Polaków polityką

Zastanawialiście się kiedyś, do czego była/jest Donaldowi Tuskowi potrzebna władza?

Przypomnijcie sobie duże bilbordy z napisem „Nie róbmy polityki. Budujmy boiska", a na nich sympatyczne i jakby odmłodzone oblicze Donalda Tuska. To było jesienią 2010 r., podczas kampanii wyborczej do samorządów. Ciesząca się wtedy największym poparciem partia polityczna, od trzech lat rządząca krajem, rozmieściła na terenie niemal całej Polski bilbordy z takim właśnie przekazem.

Iście bałamutne.

A SKĄD BUDŻET?

Plakat miał jeszcze co najmniej dwa inne warianty drugiego zdania: „Budujmy szkoły" i „Budujmy Polskę". To nie było uczciwe.

Uderza logiczna niezgodność między pierwszym i drugim zdaniem (w każdym jego wariancie) hasła wyborczego. Szkoły i boiska powstają ze środków budżetowych. To, ile szkół i boisk powstanie, oraz gdzie zostaną wybudowane, zależy od decyzji polityków. To politycy konstruują budżet, ustalają, ile środków idzie na edukację, ile na sport, ile na obronność, na sądownictwo, służbę zdrowia etc. Szkoły i boiska powstają właśnie dzięki robieniu polityki, dzięki wyborowi takiej, a nie innej polityki rozdzielania środków publicznych przez osoby, które wcześniej zostały demokratycznie wybrane do sprawowania władzy, czyli do robienia dobrej polityki.

Nawet gdy szkoły lub boiska budowane są przez samorządy, to ich środki także zależą od wcześniejszych regulacji ustawowych, czyli decyzji politycznych. Również to, jak dużymi środkami dysponuje budżet danego państwa, zależy od jeszcze wcześniejszych politycznych decyzji rządzących – w tym od tego, czy polityka gospodarcza sprzyja przedsiębiorczości, czy wprost przeciwnie.

To od jakości „robienia polityki" zależy, jak wiele środków można dzielić przy konstruowaniu budżetu. To polityka, nie abstrakcyjne czary-mary, przesądza, czy boiska powstają po cenach rynkowych, czy korupcyjnie zawyżonych.

Skoro tak, to dlaczego wmawia się ludziom coś innego?

NIBY-POLITYK?

Do „nierobienia" polityki we wspominanej kampanii wyborczej wzywał ówczesny szef PO. Człowiek, który dzięki życzliwości wyborców zawodowym politykiem jest nieprzerwanie od 1989 r. Urzędujący wówczas premier, utrzymywany z podatków obywateli Donald Tusk publicznie wzywał swych wyborców – w pierwszej osobie liczby mnogiej „Nie róbmy polityki". Przecież gdyby poważnie potraktował swoje hasło, to następnego dnia powinien podać się do dymisji.

NIBY-OBYWATELSKA?

Jest jeszcze trzeci wymiar tamtej kampanii. Niezgodność przesłania „Nie róbmy polityki" z nazwą partii, której wtedy przewodziła twarz ze zdjęcia.

Platforma Obywatelska – to nie tylko sama nazwa, to także hasła, którymi posługiwano się zwłaszcza wtedy, kiedy partia ta wyłaniała się ze swej poprzedniczki, Unii Wolności. Hasła odnowienia polskiej polityki dzięki oddolnej, obywatelskiej właśnie aktywności, która miała – tak deklarowano – przełamać zastygłe, już spatologizowane struktury władzy III RP.

W istocie przecież być obywatelem, troszczyć się o sprawy publiczne, to angażować się w politykę. Łączyć jedne interesy z innymi, wypracowywać kompromisy, negocjować, przezwyciężać konflikty, tworzyć nowe formy koordynacji działań zbiorowych. Wzywać „Nie róbmy polityki", to jak wołać „Nie bądźmy obywatelami", „Nie troszczmy się o dobro wspólne"!

BAŁAMUCI DALEJ

Chwila obywatelskiej refleksji i widać, jak nieuczciwy był to przekaz. Z czego się brał? Pewnie z wiedzy o tym, że wielu Polaków było polityką III RP rozczarowanych, postrzegali ją jako coś brudnego, niedobrego. I może z przekonania, że nie poznają się na tej wyborczej manipulacji?

Po kilku bałamutnych sztuczkach, jakie Tusk wykonał podczas swych niedawnych przemów na uniwersytetach w Warszawie i Poznaniu, wnioskować można, że nadal cynicznie wykorzystuje rozczarowanie Polaków do polityki.

Ale w istocie, co zamiast „robienia polityki" proponuje Donald Tusk teraz? Co chciałby zbudować? Jako kto i dla kogo? Czy uczciwie odpowiedziałby na te pytania?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 1/0519/F

eprasa.pl 24062b618d

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL

HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BAREŁKOWSKI • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

WYGRAJ W ZŁOTEJ LOTERII

PONAD 660 NAGRÓD DO WYGRANIA

EURO JACKPOT

Weź udział w loterii od 10 maja do 7 czerwca 2019r.
Kup minimum jeden zakład gry Eurojackpot.

2x TOYOTA C-HR

41x ZEGAREK MĘSKI

41x ZEGAREK DAMSKI

25x SZTABKA ZŁOTA 10g

559x BON UPOMINKOWY YES 300 zł

Zwiększ swoją szansę na wygraną!

Kup minimum **2 zakłady** gry Eurojackpot na jednym kuponie i zarejestruj swój kod na **www.loteriaeurojackpot.pl**, a otrzymasz aż **3 szanse** na wygraną w losowaniach nagród I, II i III stopnia! Szczegóły dostępne w regulaminie loterii.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO

Zapoznaj się z regulaminem na **www.loteriaeurojackpot.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 10 maja 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 7 czerwca 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną od poniedziałku do piątku w godz. 8:00-16:00 z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl 24062b618d

My, ludzie wierzący, patrzymy na Maryję jak na naszą mamę, a przecież nikt nie chciałby, żeby imię jego mamy było poniżane i używane instrumentalnie. Jako wierzący musimy dbać o imię Tej, która jest naszą Matką

O. Marian Waligóra, przeor Jasnej Góry

Fot. Archiwum Zakonu Paulinów na Jasnej Górze

eprasa.pl 24062b618d

SERCE NARODU

W literaturze często można spotkać porównanie państwa do żywego organizmu. Jego głową jest zazwyczaj stolica. A gdzie mieści się serce?

Podczas swej pielgrzymki do Polski w 1979 r. Jan Paweł II powiedział: „Jasna Góra jest sanktuarium Narodu. Trzeba przykładać ucho do tego świętego miejsca, aby czuć, jak bije serce Narodu w Sercu Matki". W tej samej mowie papież przypomniał: „Przyzwyczaili się Polacy wszystkie niezliczone sprawy swojego życia, różne jego momenty ważne, rozstrzygające, chwile odpowiedzialne, jak wybór drogi życiowej czy powołania, jak narodziny dziecka, jak matura, czyli egzamin dojrzałości, jak tyle innych, wiązać z tym miejscem, z tym sanktuarium. Przyzwyczaili się ze wszystkim przychodzić na Jasną Górę, aby mówić o wszystkim swojej Matce – Tej, która tutaj nie tylko ma swój Obraz, swój Wizerunek – jeden z najbardziej znanych i najbardziej czczonych na całym świecie – ale która tutaj w jakiś szczególny sposób jest. Jest obecna".

Jan Paweł II celowo użył słowa „naród", a nie „państwo". Były bowiem w historii momenty, gdy Polacy nie mieli własnego państwa. Nie mieliśmy ani stolicy, ani rządu, jakbyśmy byli pozbawieni głowy. A jednak cały czas biło serce. To ono podtrzymywało życie, pompując krew do najdalszych części organizmu: do tych wszystkich rozsianych po bezkresach szlacheckich dworków i wiejskich chat, gdzie codziennie wznoszono modlitwy przed wiszącymi na ścianach wyblakłymi oleodrukami z wizerunkiem Jasnogórskiej Pani. W okresie niewoli pauliński klasztor był jedynym miejscem na świecie, w którym masowo mogli się spotykać Polacy z trzech zaborów i czuć razem jak wspólnota narodowa. „Tu zawsze byliśmy wolni", podkreślał Jan Paweł II.

Znakomicie oddał ten fenomen Władysław St. Reymont w swym reporterskim debiucie, który zapoczątkował jego drogę do literackiej Nagrody Nobla. Pisarz, kreśląc obraz pielgrzymki do Częstochowy, opisywał, jak w trasę wyruszali obcy sobie ludzie, a do celu docierała wspólnota. Na własne oczy widział, jak bierna masa z każdym etapem drogi zamieniała się w świadomą siebie społeczność. W jego ujęciu ta niezwykła podróż duchowa stawała się metaforą losów Polski, która w każdym pokoleniu nieustannie stwarza się na nowo: z samotnych monad przekształca w naród. Tym zaś, co sprawia ową przemianę, jest droga wiary.

Nieprzypadkowo więc ci, którzy chcieli zniszczyć polskość, zawsze uderzali w Matkę Bożą w Jasnogórskiej Ikonie. Mieli doskonałe rozeznanie sytuacji. Dokładnie wiedzieli, co robią. Mieli świadomość, że jest to cios w samo serce. Że nie wystarczy Polaków pokonać siłą, trzeba jeszcze zniszczyć ich ducha.

Także dziś są tacy, którzy uderzają w Maryję, choć nic złego im Ona nie zrobiła. Uderzają i czekają. Badają reakcję. Jeśli ktoś nie reaguje na to, że publicznie szydzi się i lży jego matkę, to znaczy, że dla kogoś takiego nie ma już żadnej świętości, że można z nim zrobić wszystko, co się zechce. Tak właśnie rozpada się wspólnota. Tak jak rozpada się rodzina, która nie staje w obronie poniżanej Matki.

Grzegorz Górny

Obchody Tysiąclecia Chrztu Polski na Jasnej Górze. Przeor Jasnej Góry o. Teofil Krauze podaje Prymasowi Polski ks. kard. Stefanowi Wyszyńskiemu korony papieskie

Fot. NAC

Tylko w sierpniu każdego roku z całego kraju na Jasną Górę zmierza ponad 40 pielgrzymek pieszych. Wędruje w nich ponad 250 tys. osób. „Tu zawsze byliśmy wolni", podkreślał Jan Paweł II

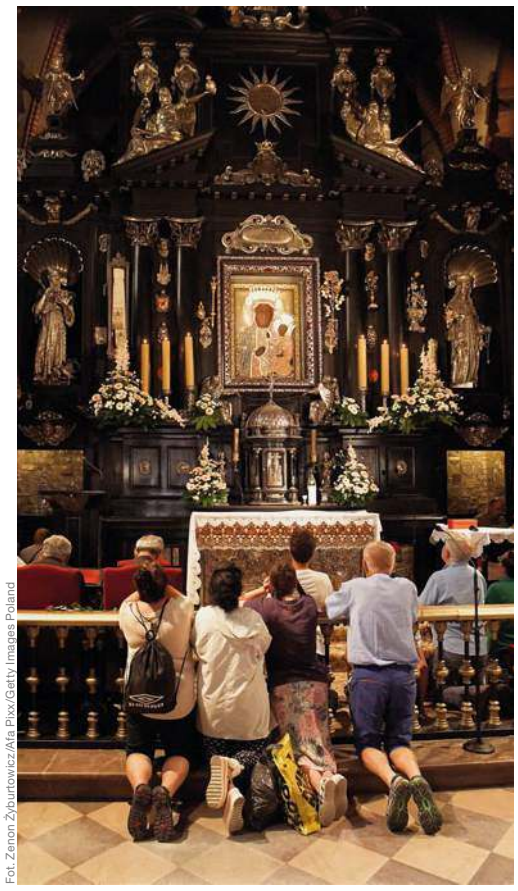

Fot. Zenon Zyburtowicz/Ala Pixx/Getty Images Poland

Jan Paweł II w czasie pielgrzymki w 1997 r.: Wiele razy powtarzałem, że Jasna Góra to sanktuarium narodu, konfesjonał i ołtarz. Jest to miejsce duchowej przemiany, odnowy życia Polaków

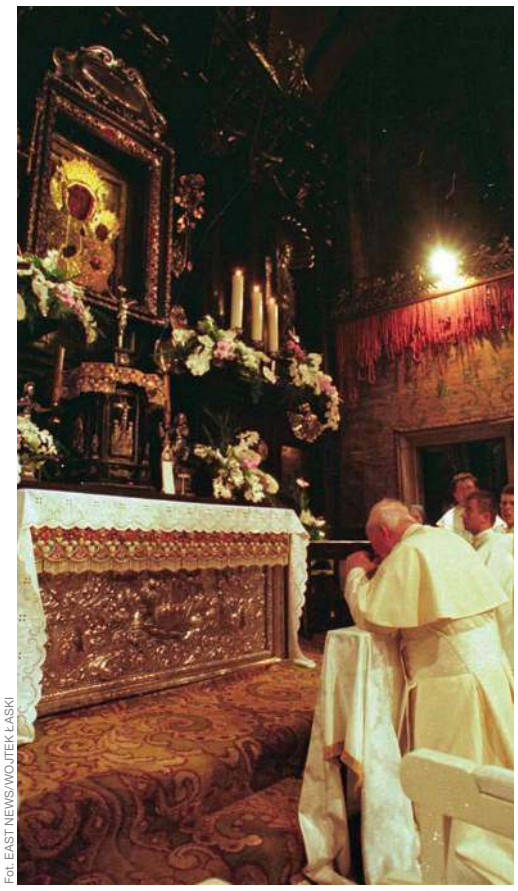

Fot. EAST NEWS/WOJTEK ŁASKI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE SIECI